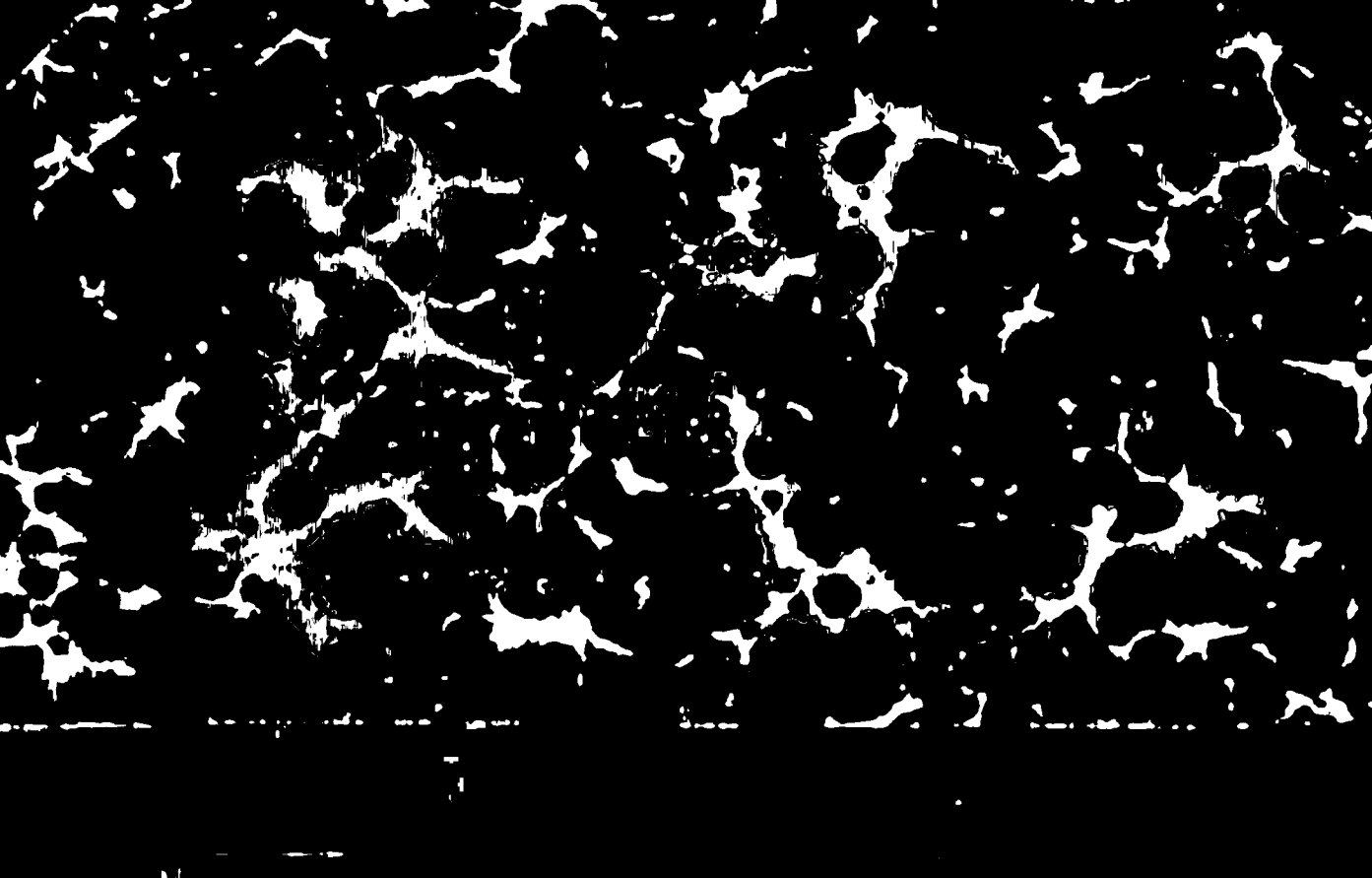

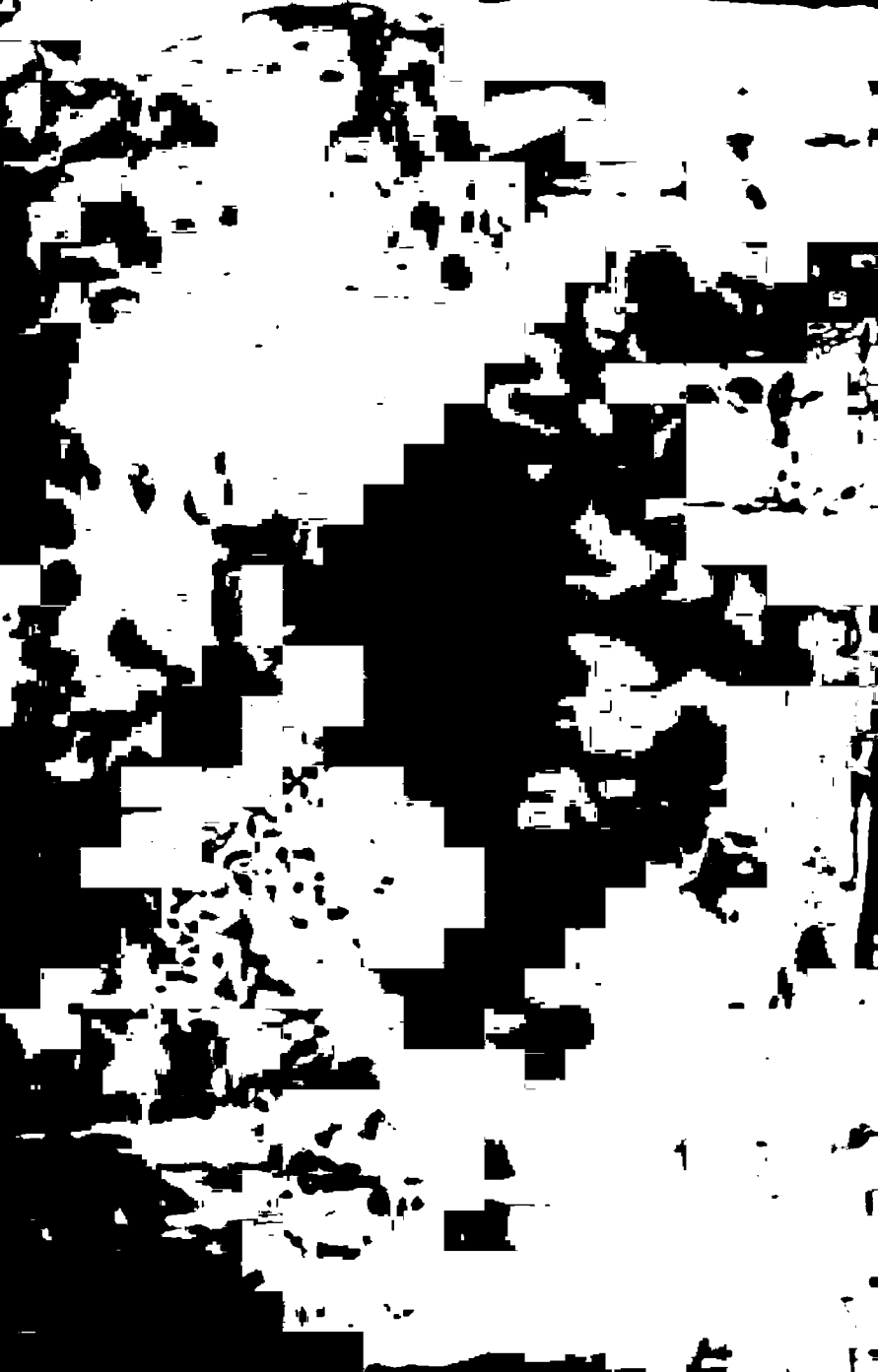

KWIATY I KŁOSY.

KWIATY I KŁOSY

Z NIWY OJCZYSTEJ

◆◆◆

ZBIÓR UTWORÓW
DO DEKLAMACYI

WYDAŁ

Ks. M. Br.

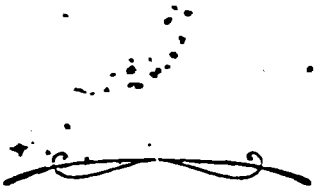

Poznań.
Nakładem i czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha.

K 20400

Przedmowa.

Ktokolwiek czynny bierze udział w pracy oświatowej naszych towarzystw, zwłaszcza towarzystw młodzieży, rozumie, jak znaczną odgrywa tam rolę dobra i jędrna deklamacya; jest ona bowiem nietylko miłą w towarzystwie rozrywką, ale także niepoślednim środkiem, kształcącym umysł i serce.

Kierownicy towarzystw nie zawsze mają czas i sposobność szperania po książkach i dziełach naszych poetów, aby wyszukać tam coś odpowiedniego do deklamacyi. Posiadamy wprawdzie kilka pięknych zbiorków poezyi — jak n. p. Antologia polska, »Kwiaty rodzinne«, »Lira polska«, Perły poezyi polskiej« i t. d. — są one jednak w pierwszej linii przeznaczone do użytku prywatnego i dla czytelników z literaturą lepiej obeznanych, i stąd utwory w nich zebrane nie nadają się w przeważnej części dla naszych towarzystw. Po za wspomnianemi wydawnictwami nie brak i zbiorków popularnych, wszakże i te nie odpowiadają należycie potrzebie.

Układając tedy niniejszy zbiorek, miałem na celu dostarczenie towarzystwom naszym i młodzieży podręcznika, któryby pod względem ilości i jakości utworów w jak największej mierze zaradził dotychczasowej potrzebie.

Zabierając się do przygotowania odnośnego materyału, zwróciłem się za pośrednictwem dwutygodnika »Ruch chrześciańsko-społeczny« w Poznaniu do kierowników towarzystw i osób sprawie życzliwych z prośbą o nadesłanie odpowiednich celowi utworów. Skutek prośby był prawie żaden. Zebrałem tedy, co było pod ręką, a co uważałem za stosowne — tak z utworów poetów dawniejszych jak i najnowszych — nie pomijając nawet rzeczy ogólnie znanych. Przy wyborze materyału miałem głównie na oku, aby »deklamacya« była łatwo zrozumiała, a przytem aby była treścią szlachetna, piękna i zajmująca.

Ponieważ wiem z doświadczenia, jak chętnie zabiera się młodzież do deklamacyi, lecz bezkrytycznie chwyta nieraz utwory tandetowe, liche co do formy, płaskie i nędzne co do treści — starałem się pomieścić w zbiorku niniejszym prawie wyłącznie utwory pierwszorzędnych i uznanych naszych poetów; — uczyniłem to też i w tej myśli, aby jak najszerszym kołom dać sposobność poznania choć drobnej cząstki tego, co literatura nasza w poezyi posiada pięknego i wzniosłego.

Co do zewnętrznego układu zbiorku przyjąłem ze względów praktycznych podział podług treści poszczególnych utworów. Ponieważ jednak nie dała się tutaj ścisła przeprowadzić granica, nie zaopatrzyłem poszczególnych działów w nagłówki — rozdzieliłem je tylko rzymskiemi liczbami.

W końcu winienem jeszcze przeprosić na tem miejscu Szanownych Autorów, iż pozwoliłem sobie umieścić w niniejszym zbiorku utwory Ich bez wiedzy i wyraźnego Ich zezwolenia; uczyniłem to w przekonaniu, że ze względu na cel książki nie odmówią Swego łaskawego placet.

Ks. M. Br.

Ku uwadze!

1. Zabierając się do deklamacyi, staraj się **zrozumieć należycie treść i myśli główne** utworu, który masz deklamować.
2. Rozważ sobie dobrze, **na które słowa wypada położyć większy nacisk**, co należy wypowiedzieć głosem podniesionym, co mówić spokojniej, co więcej z werwą.
3. **Ucz się głośno**, wymawiając każde słowo wyraźnie i dobitnie, i **naucz się doskonale na pamięć.**
4. **Deklamując mów wolno i głośno**; wymawiaj każde słowo tak, aby słuchacze każdą głoskę dobrze słyszeli.
5. **Strzeż się mówić** zbyt **miarowo** t. j. jak gdyby podług taktu.
6. Bacz także na to, aby **nie mówić monotonnie** t. j. zawsze równym, tym samym głosem. Niech deklamacya będzie **jędrna, żywa**, tak iżby słuchaczy zajęła i sprawiła na nich jak najdodatniejsze wrażenie.
7. Staraj się uwydatnić ważniejsze szczegóły utworu **głosem nieco podniesionym** lub przez większy nacisk na słowa, w których zamyka się jakaś myśl wybitna.
8. **Mów ze zrozumieniem i z uczuciem**; staraj się w głosie i lekkim wyrazem twarzy uwydatnić uczucia, które poeta w słowach wyraził np. gniew, żal, boleść, litość, radość, pogardę i t. p.
9. **Nie zniżaj głosu na końcu wiersza**, gdy myśl względnie zdanie nie jest skończone; zrób przystanek — głos zniżając — dopiero tam, gdzie odnośny znak wskazuje, iż zdanie skończone.
10. Wygłaszając deklamacyę, **stój swobodnie a przytem zupełnie spokojnie** unikając wszelkich gestów i ruchów.

I.

Z Głosy św. Teresy.

Przed życiem czuję — nie przed śmiercią — trwogę —
Bo takie światy widzę tam przed sobą,
Że mi ten ziemski, grobową żałobą,
I tem umieram — że umrzeć nie mogę!

Umrzeć lub cierpieć! — a cierpieć bez miary!
Bo mnie się z Tobą trza zlać w Twojem niebie,
Lub gdy nie można — żyć w piekle dla Ciebie!
Szlij mi więc męki jak niebieskie dary!
Im sroższe będą, tem mi więcej błogie —
Ja przed spokojem tylko czuję trwogę
I tem umieram, że umrzeć nie mogę.
Jedynej ulgi na moje męczarnie
— A jedna tylko i Śmierć się nazywa —
Śmierci dać sobie nie zdołam bezkarnie!
O bardzom, Panie, bardzom nieszczęśliwa!
Tę jednę szczęścia Tyś zamknął mi drogę
I tem umieram, że umrzeć nie mogę!

Czasem Cię tylko widuję w widzeniu,
Lecz Ty nie raczysz długo ze mną zostać,
Wnet niknie Bożo-człowiecza Twa postać
I w gorszem jeszcze konam znicestwieniu!

— Przed chwilą byłam w Wieczności rozlana —
— Nikt nie rozeznałby sługi od Pana —
Ty Bóg, Ty dla mnie stawałeś się mały
A ze mnie małej wyrastał Bóg cały!
Tyś się zamykał w mem sercu jak w grobie —
— Jam się jak bezmiar szerzyła ku Tobie!
Przez nieskończonej Łaski zezwolenie
Stwórca przechodził na chwilę w stworzenie —
Stworzenie w Stwórcę, przez jedno westchnienie.

Mnie już tak było jakby po pogrzebie —
Bez ciała byłam, na ziemi i niebie.
Na wieki z Tobą — przy Tobie — u Ciebie!
W twarz Ci patrzałam — ale nie oczyma —
Bo na to wzroku ócz śmiertelnych nie ma.
Głos Twój słyszałam — lecz nie ziemskim słuchem —
Wszystkom widziała i słyszała — duchem! —
A jednak, Panie, Tyś jaśniał przedemną
Jakby słońc słońce, w którem kształt człowieka!
Ach światło dzienne, nocą wiecznie ciemną
Przy tym promieniu co z Twych skroni ścieka.
— Choć nie cielesny — widomszy niż ciało —
I słowo każde, co z ust Twych spływało,
Dźwiękiem dźwięczniejszym niż dźwięk ssan przez uszy,
Niebrzmiące, brzmiało jak pieśń w mojej duszy!
I byłam z Tobą — oglądałam Ciebie —
Nie ukrytego w Przenajświętszym Chlebie,
Nie tajonego przesłonami Cudu —
Lecz jakim bywasz wśród Aniołów ludu,
Tam gdzie nad światem królujesz z Świętemi!
Takim Cię — takim — tu miałam na ziemi!

— Lepiej od Świętych widziałam Cię, Panie!
Bo silniej kocham, goręcej niż Oni!
— Już w domu wiecznym Tyś dał im mieszkanie —
A ja gdzie mieszkam? — co mnie strzeże, broni?
Gdy mnie porzucasz, zostaję w rozpaczy —
Lecz ból i rozpacz, cóż to dla mnie znaczy?
Im bardziej tęsknię, tem kocham goręcej.
Im więcej męki, tem miłości więcej,
W tem piekle bożem Bożego kochania,
Gdzie Twa obecność, mnie nawet rozrania —
Bo chwilę później Tyś znowu daleki.
I nim powracasz, upływają wieki!
Bez Boga mego — a z Boga wspomnieniem
Leżę na ziemi grobowym kamieniem —
A pod tym głazem mej niewzruszoności.
Smutek przejada do szpiku me kości!
Żądam bez miary — miłuję bez granic —
Miłość i żądza nie zdały się na nic —
Zmienionam cała w jedno upragnienie,
Lecz Twojej woli w tych chwilach nie zmienię!
Pan nieśmiertelny nie zstąpi do sługi.
Aż kiedyś — kiedyś — znowu po raz drugi!
I mimo Twoją, o Ty mój, przestrogę
Ja tem umieram, że umrzeć nie mogę!

Albo Ty myślisz, o Ty wiecznie żywy
Że Ciebie kocham za przyszłe nagrody,
Za obiecane w królestwie Twem gody,
Za palmy — harfy — i cuda — i dziwy —
Za jakąkolwiekbądź w niebie zapłatę,
Którąbyś spłacił mi dni mych utratę?

Ja kocham Ciebie — żeś był nieszczęśliwy!
Że przebolałeś tu wszystko co boli,
Że zniósłeś wszystko co tylko poniża,
Ty Bóg, w kajdanach cielesnej niewoli,
Ty Bóg, przez katów prowadzon do krzyża!
Ja Ciebie kocham — że Cię w tej chwili
Niebo odbiegło — i ludzie zdradzili!
Ja Ciebie kocham — żeś był przymuszony
Wołać do Ojca: »O Jam opuszczony« —
Ja Ciebie kocham za Twoje konanie
I za śmierć więcej niż za Zmartwychwstanie!
Bo mi się zdaje, że Ty Zmartwychwstały
Nie tyle biednej potrzebujesz sługi; —
Już wtedy służy Ci Twój wszechświat cały —
Stopą powietrzne przelatujesz smugi! —
Lecz kiedy konasz, mnie się wiecznie zdaje,
Że wracam duchem w widziane już kraje,
Że oglądałam gdzieś wprzódy to wzgórze
I krzyż ten zbroczon w Krwi Twojej purpurze!
Że Magdalena, ta święta, ta miła,
Co tam tak jęczy — to jam chyba była!
Bo w sercu mojem, jej serce mi płacze,
Bo drżą mi w oczach wszystkie łzy jej oka,
I rozpacz moja, tak straszna — głęboka —
Że być nie mogą dwie takie rozpacze!
Nie — Ona Ciebie więcej nie kochała —
Ja wiem, że Ona wielka a ja mała,
Bom mniej czynami Tobie zasłużona —
Lecz więcej Ciebie nie kochała Ona!
Jakżeż to będzie, mój Panie, mój Boże?
Jakżeż rozdzielić sądem Salomona

Tę jedną miłość, między te dwa łona? —
Bo dwóch miłości być takich nie może!

Nie — Ciebie więcej nie kochała Ona!
Raz tylko w życiu na Golgockim pyle
Leżała w płaczu, Krwią Twoją zroszona —
Raz jeden tylko — a ja razy tyle! —
Bo co noc prawie dla mnie się odtwarza
Kalwaryjskiego przytomność cmentarza
I z po za wieków upłynionych tyla
Wraca ta do mnie zobeczniona chwila,
W której śród Niebios i ziemi zaćmienia
Zmarł Wszechstworzyciel w obec wszechstworzenia!
Aż padnie z zorzą pierwszy promień dzienny,
Widuję w celi tej Krzyż Twój męczenny
I na tem drzewie oglądam Twe ciało
Ostatkiem światła jeszcze tlące biało,
Gdy wszystko w okół, jak w grobie zczerniało!

Ty i ja, Panie — nikt więcej — my sami —
Tak blizcy siebie — a tak rozdzieleni —
Bo ja tu w dole pod Twemi stopami,
A Ty nademną, w tej strasznej przestrzeni:
Do kłód tych z cedru przybity gwoździami!
Zrazu ja klęczę w milczeniu — a cała
Drgająca ciałem od mąk Twego ciała —
Kolcują w skroniach mi kolce Twych skroni,
Rwą mnie w mych dłoniach żelezca Twych dłoni —
W boku mnie szarpie boku Twego rana —
I choć tam w dole, takem z Tobą zlana
Żem z Tobą w górze tam ukrzyżowana!

Zygmunt Krasiński.

Westchnienie do Boga.

O Boże! ja w Ciebie wierzę,
Ja Ciebie kocham, o Boże!
Jabym tak chciał kochać Ciebie,
Kochać i wierzyć tak szczerze,
I z taką siłą, jak tylko ten może,
Komubyś zdarzył być chwilę w Twem niebie.

Od Ciebie tylko w tej chwili
Pełność mej wiary zależna —
Tobie dar taki jest niczem —
Daj mi go! oto do Twych stóp się chyli,
Pada przed Tobą pokutnem obliczem:
Dopełnij mojej miłości i wiary!

Jam nigdy nie wchodził w sprzeczkę,
Że co mam tylko, to są Twoje dary.
Ja zawsze widzę Twoją cząsteczkę —
W każdem uczuciu mego istnienia,
Uznaję siłę Twego ramienia.
Za każdą rozkosz sumienia
Wielbię Twą dobroć jedynie;
Czuję Ciebie w każdej cnocie,

W każdym wieszczego natchnienia polocie.
Alebym pragnął jaśniej, wznioślej, szczerzej
Czuć, kochać, wierzyć — pragnąłbym bez miary
Dopełnić mojej miłości i wiary!

Podnieś lot mej duszy wyżej,
Postaw mnie przy sobie bliżej,

Zabłyśnij mi choć na chwilę.
Choć jedną iskrę Twoją wszechświętą!
A ostatnią moc wysilę
Choćbym zdeptać miał nogami
Najkosztowniejsze ziemskie ponęty.
Stargać tę wstęgę co serce wiąże
Z najdroższemi sercami, miejscami:

Choćby natomiast to ciało
Trupem na mnie opaść miało,
Pójdę do Ciebie, podążę,
Byle tylko to sumienie,
Które tak Ciebie przeczuwa, zgadywa;
Byle ta dusza, co tak niecierpliwa
Puka ku Tobie w podniebne sklepienie,
Stanęły wreszcie przed Twoim tronem
Ujrzały Ciebie bez plam nocy
I uderzyły wiecznym pokłonem
Twojej po trzykroć świętej Wszechmocy.

S. Goszczyński.

W kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej.

Błogosław Matko naszej biednej ziemi,
Tej przebogatej w nieszczęścia i łzy,
O, chroń jej dzieci, idąc razem z niemi
Przez wichry, burze i przez ciemne mgły.

Błogosław cichej pracy nad ugorem,
By go nie zabrał obcy, wrogi lud —
Nad naszą chatą i tym czarnym borem
Wyciągnij ręce, a zmaleje trud.

Niech ci, co ciszy, ukojenia pragną,
Zobaczą innych, lepszych czasów blask
Niech nigdy burze czoła ich nie nagną,
Królowo święta, rozdawczyni łask.

Błogosław mężów, którzy silnie bronią
Ojczystej wiary i ojczystych słów,
Co wśród nieszczęścia zwątpień łez nie ronią.
A gdy upadną — powstawają znów.

Błogosław dalej i te łany żytnie.
Mogiły, sioła, cały polski kraj;
Niech w wszystkich naszych strzechach znów za-
Ten stary, cudny wielkich ojców maj. [kwitnie,

Ewan.

[redacted]

Litości, Panie!
Jam zwątpił na chwilę;
Lecz kiedyż tacy, co lady swe wiedli
Do celów mglistych, jak kraj ten daleki.
Nie upadali w swej wierze i sile —
I patrząc w przyszłość nie bledli?
Od brzemion cegły, od taczek od młotów,
Szli za mną bracia nasi niewolnicy.
I ocierali twarz swą z krwawych potów
A łzy z źrenicy?
Szli za mną smętni, posępni, zmęczeni.
Wśród spustoszenia krainy niewoli...
Hufiec wybladłych szkieletów i cieni.
Przez pół wierzący tylko lepszej doli.
Jam musiał jako matka swego syna —

Na ręku nosić duszę ich omdlałą...
A teraz, teraz, gdy przyszła godzina
Tutaj mam złożyć me ciało?

Marya Konopnicka.

Wieczerza Pańska.

Był wieczór Paschy. W milczeniu głębokiem
Siedli napoju pożywać i jadła —
Wieczernik szarym napełniał się mrokiem.

Półjasność zmierzchu, mglista i wybladła,
Na stół, białemi zasłany rańtuchy,
I na ich twarze łagodnie się kładła.

I cisza była: a w tej ciszej głuchej
Przez kratę okna powiew coraz rzadszy
Gnał z pól zielonych wiośniane podmuchy.

Wpośród rybitwów tych ubogich siadłszy,
Chleb w obie ręce wziął i kielich wina
I zadumany w twarze uczniów patrzy.

A w tych źrenicach Człowieczego Syna
Mistycznych brzasków grała światłość złota
I myśl ogromna jakaś i jedyna..

Z ich oczu — serca patrzała prostota.
Pierwsi pić mieli z kielicha Miłości,
Pierwsi pożywać mieli Chleb Żywota.
Iż byli jako ptaki leśne — prości.

Lucyan Rydel.

Chryste, o Chryste!

Z barłogu mego, z czarnej nędz otchłani,
Do Ciebie wołam krwawym serca płaczem;
Jak ci żeglarze wichrami chłostani,
I jak pielgrzymi w zbłąkaniu tułaczem,
Z głębi mej duszy w przestwory gwiaździste
Do Ciebie wołam krwawym serca płaczem:
Chryste, o Chryste!

I choć przesytem zmącone aż do dna,
Serce ku Tobie drży i Ciebie pragnie,
Jak ta spragniona rosy lilja wodna,
Co łagodnie grzęznąc w mętnem bagnie,
Twarz tęskną zwraca na zorze ogniste —
Serce ku Tobie drży i Ciebie pragnie,
Chryste, o Chryste!

Krom Ciebie, niebo i ziemia mi zbrzydły,
Ty jeden koisz smutki dusz sieroce,
Więc, jak ptak błędny z podartemi skrzydły
Do nóg Twych padłszy, duch mój się trzepoce
I wznosi na Cię oczy bólem mgliste.
Ty jeden koisz smutki dusz sieroce,
Chryste, o Chryste!

Usta do stóp Twych przybitych przyłożę,
Słodki Twych oczu spokój mię ogarnie —
Znękany jestem: — w nadchmurne przestworze
Rwałem się myślą i spadałem marnie,
Ściągałem ziemskich złud ogniki mgliste...
Słodki Twych oczu spokój mię ogarnie,
Chryste, o Chryste!

Chwytam się Ciebie rękoma drżącemi,
Nie daj mi zginąć w ciemnościach bezbrzeżnych!
Prochem jest ziemia, a jam prochem ziemi,
Lecz mię nie strząsaj z bieli szat swych śnieżnych —
Stwórz we wnętrznościach moich serce czyste,
Nie daj mi zginąć w ciemnościach bezbrzeżnych,
Chryste, o Chryste!

Jam kwiat więdnący na życia łodydze,
Weź mnie do siebie, bom już pójść stąd gotów:
Dość mi obłędów, które wkoło widzę,
Dość mi już własnych upadków i wzlotów.
Weź mię na ciszy łono wiekuiste.
Weź mię do siebie, bom już pójść stąd gotów,
Chryste, o Chryste!

Lucyan Rydel.

Hagar na puszczy.

Od słońca pożaru zczerniała mi głowa,
A w koło pustynia; — do Ciebie, Jehowa.
Podnoszę płaczący mój głos.
Spraw Panie! by niebo nademną wychłódło.
I skały granitu zmień. Panie na źródło,
A piasek czerwony na wrzos.

I nigdyż, Jehowa! i nigdyż do zgonu
Nie ujrzę już dolin kwiecistych Hebronu,
Ni miejsca, gdzie pan mój i ród?
I nigdyż już, nigdy, choć wyjdę z żywotem.
Nie usnę pieszczona pod jego namiotem.
Ni nocą wybiegnę do trzód?

Nam szaty od skwaru opadły w kawałach.
I rzemień popękał na naszych sandałach,
I cierpi i płacze mój syn.
Jam, Panie, kochała i była kochaną,
Szczęśliwą, — to słusznie, że jestem karaną,
Lecz syn mój Ismael — bez win.

Gdy wicher ogniowy po puszczy zawieje,
I żarnym popiołem gdy po nas posieje,
Ismael opada, jak kwiat:
Ja tobie o Panie! natenczas się kłaniam,
I syna mem ciałem przed wiatrem osłaniam
I chłodzę szmatami mych szat.

I nieraz czuwając gdy zdrzymię na piasku.
Przebudzam się trwożna śród nocy i wrzasku:
Dławionej gazeli to wrzask:
A w koło szakale oczyma mi świecą:
I wyjąc uchodzą, bo myślą, żem lwicą:
Tak z ócz mych rozpaczy gra blask.

I nieraz na białym szkielecie wielbłąda
Zczajona twarz ludzka źle ku nam pogląda:
Błędnego wędrowca to trup.
I nieraz sęp głodny zawiśnie nad nami,
A potem w mój zawój uderzy skrzydłami
I innym zakracze na łup.

I nieraz gdy uśnie, ja niosę... O Boże!
Ismael się zachwiał — iść dalej nie może,
Jak trzcina przechyla się z nóg,

I usta otworzył — o Panie! on pragnie,
O Panie! Twa łaska niech ku mnie się nagnie,
Tyś wielki, Tyś mocny, Tyś Bóg!

Jehowa! Jehowa! on krzyknął, on pada!
I usta spalone do ust mych przykłada,
A żar z nich wyciąga miast tchu.
Przed głosem, przed moim, czyś zaparł niebiosy?
Jehowa! Jehowa: och wody, och rosy,
Kropelki, kropelki choć dżdżu.

Kornel Ujejski.

Chrystus cudowny.

Na tłum prostaczków, co się doń zniża,
Na dostojniki starej Warszawy
Smutnem wejrzeniem z swojego krzyża
Spogląda Chrystus cichy i krwawy.
On najlichszemu skargi nie zabrania,
Boski opiekun nad sierotami...
Dawco zbawienia i zmartwychwstania,
Chryste, o, Chryste! czuwaj nad nami!

Ludzkiego fałszu rzucając maski,
Balsamem wiary łagodząc duszę,
Po słońce prawdy, po gwiazdę łaski,
Szli patrycyusze i plebejusze.
I nieraz postać w złotej koronie
Myła mu stopy kornemi łzami...
Królu błękitów! świata Patronie!
Chryste, o, Chryste! czuwaj nad nami!

Płynie duch ludzki na łasce fali,
Jakoby żeglarz na morskiej toni,
A życie woła: »Dalej a dalej!«
A wiedźma-troska, jak upiór goni!
Niechże pątnikom po cierniach wielu,
Jedna ścieżynka błyśnie różami...
Baranku Boży! Odkupicielu!
Chryste, o, Chryste! czuwaj nad nami!
Przerób łzy ciche na jasną przędzę,
I uczyń z onej zasłony złote
Na ludzkie smutki i na ludzką nędzę
Na wiekuistą ludzką tęsknotę!
Ta krew, co cieknie z Twojego boku,
Niech świat oczyści, jak przed wiekami
Szafarzu światła! Zwycięzco mroku!
Chryste, o, Chryste! czuwaj nad nami!
A kiedy konać będziem żałośnie
Na trwożnym duchu chwiejni i chorzy,
Niech nam Twój anioł mówi o wiośnie,
Niech nam Twój anioł mówi o zorzy!
Jak złoty pomnik dla naszych kości,
Zapal promyczek nad mogiłami...
Źródło nadziei! Tęczo miłości!
Chryste, o, Chryste! czuwaj nad nami!

Or-Ot.

II.

Święty Jan Kanty.

Błysła na wschodzie jutrzenka złota,
Gwiazdy w nieznane mkną światy:
Z rosą poranną łzami sierota
Nadwiślańskie skrapia kwiaty.

Nie dla niej piękny świeci poranek.
Świat w szatę światła ubiera;
Żałośnie trzyma w swej dłoni dzbanek,
A drugą łezkę ociera.

Już Krakowiaków gromadka wesoła
Na targ do miasta się spieszy:
Lecz na sierotkę nikt nie zawoła,
Sierotki nikt nie pocieszy.

Wtem mąż sędziwy, wolnym idąc krokiem,
Jan Kanty, chluba Krakowa,
Rzewną sierotkę zmierzywszy okiem,
W te do niej ozwał się słowa:

Dlaczego płaczesz, dziecino droga?
Bóg widzi te łezki twoje;
Wyznaj mi szczerze, ja w imię Boga
Może twą żałość ukoję.«

A Krakowianka w błękitnem oku
Fartuszkiem łezkę ociera
I kornie stojąc przy jego boku,
Drżące swe usta otwiera:

»Jestem sierotą, u mieszczki z Łobzowa
Służę; ach! ostra to pani!
Nigdy dobrego nie da mi słowa,
Lecz zawsze gromi i gani.

»Zaledwie tylko błyśnie poranek,
Na Kleparz na targ wysyła,
Abym przedawszy ten mleka dzbanek,
Krupek i soli kupiła.

»A że to jutro święto Boskiej Matki,
Chcąc przybrać obraz Jej w wianek,
Po drodze wonne zbierałam kwiatki:
Wtem z ręki wymknął się dzbanek

»I wszystko mleko spłynęło drogą.
Ot! ślady widać z daleka,
Któż się nademną użali niebogą?
Ach, wiem co w domu mnie czeka!«

»I czemuż dziecię tak rzewnie szlochasz
I główkę kryjesz w twej dłoni?
Ty Matkę Boską tak szczerze kochasz,
Ona cię pewnie obroni.

»A gdy powrócisz do twej zagrody,
Boska cię Matka pocieszy.
Pospiesz do Wisły, zaczerpnij wody!«
Sierota ufa i spieszy.

Przyniosła dzbanek, rączki złożyła
I klęcząc pacierz odmawia;
Główkę do ziemi kornie schyliła,
Przed Kantym dzban z wodą stawia.

Jan Kanty krzyżem dzban błogosławił,
Modlił się długo i szczerze;
A gdy modlitwę swoją odprawił,
Dzban wody do ust swych bierze.

Lecz woda w mleko się przemieniła.
Dziecię, Maryi złóż dzięki,
Ona cię w smutku twym pocieszyła;
Dzban mleka masz tu z Jej ręki.«

Na twarzy dziecka spłonął rumieniec,
Do nóg się Jana rzuciła;
Boga Rodzicy odtąd już w wieniec
Obraz codziennie stroiła.

K. Antoniewicz.

Święty Jacek.

Koło Krakowa, w rozkosznej dolinie,
Gdzie Wisła nasza srebrną wstęgą płynie,
Leży Kościelec, wieś piękna, wesoła,
Sady i niwy wieńczą ją do koła,
Na których Mazur, kmiotek pracowity,
Owoc swej pracy zbiera, snop obfity;
Tam ludek żyje wesoły, zamożny,
Bo pracowity, trzeźwy i pobożny.

Było to właśnie pod wieczór soboty:
Dojrzewał w polu kłos pszeniczki złoty,
A jęczmień, ostrym wąsem najeżony,
Na sierp czekając, pokrywał zagony.
Już gospodarze sprzątają stodoły,
Parobcy jarzma gotują na woły,
Dziewczęta hoże przy głośnej gawędzie
Pachnącą rutę zbierają po grzędzie;
A w chatce, stojąc przy dymnym kominie,
Prostą wieczerzę warzą gospodynie.
I cała wioska krząta się tak żywo,
By w poniedziałek już rozpocząć żniwo.

Lecz o, jak płonne są ludzkie nadzieje!
Jutro zapłacze ten, kto dziś się śmieje.
Boskich wyroków nikt zgłębić nie zdoła:
O wiosko, dzisiaj szczęśliwa, wesoła,
Ty doznasz wkrótce, na jakie odmiany
Człowiek w tej życia pielgrzymce skazany.

Wicher się nagle od północy zrywa
I błękit nieba chmurami pokrywa.
Runął grom; niebo i ziemia zadrżała.
A grad rozdarta chmura wysypała,
I leci z szumem, trzaskiem i hałasem
I ścina kłosy, ach! ścina przed czasem.
Zabłysnął dzionek i niebo się śmieje,
Ale na ziemi już znikły nadzieje.

Łzom gorzkim radość ustąpić musiała,
Kiedy na pole wyszła wioska cała.

Sąsiad sąsiada żałośnie się pyta:
Gdzież ma pszeniczka?« — »Ach tutaj... wybita,
Bo ją moc Boska przed czasem złamała,
I sierpów naszych już czekać nie chciała«.

A gdy tak wszyscy już wkoło dumają
I łzami kłosy złamane zlewają,
Pan wójt gromady z posiwiałym włosem
Takim do wszystkich odzywa się głosem:
Słuchajcie tylko, słuchajcie, gromada!
Tutaj już żadna nie pomoże rada;
Lecz Bóg w tej ciężkiej pociechy nas biedzie —
Oto ksiądz Jacek wprost tu do nas idzie!«
— Ksiądz Jacek!« wszyscy radośnie krzyknęli,
Z uszanowaniem czapki z głowy zdjęli.

Czegoż tak smutni pobożni wieśniacy?«
— »Ach, księże, patrzaj, owoc naszej pracy
Oto tu leży — potłuczone zboże.
Już nikt nam więcej dopomódz nie może.
Ach, cóżto teraz dziać się będzie z nami
I co z biednemi poczniemy dziatkami!«
— »Ach, ludku Boży! kto się Boga boi,
Takiemu rozpacz nigdy nie przystoi;
A gdy was ciężka dziś trapi niedola,
Rzeknijmy razem: Stań się Twoja wola!«
I rzekł i westchnął na kolana pada,
A z nim przyklęka i cała gromada:
Wszechmocny Boże, wiekuisty Panie!
Daj niech to zboże stłuczone powstanie!
Jakoś zasmucił, pociesz lud Twój wierny,
Pokaż o Boże, żeś jest miłosierny!«

Rzekł i ku ziemi korne chyli czoło.
Wtem wójt z przestrachem: »Cud!« krzyknął: wokoło:
»Cudo!« — powtarza gromada zdumiała!
»Wszakże w radości nie myli nas oko?
Ach, nie, nie! Kłosy wznoszą się wysoko
I każdy kłosek, ze źdźbłem swem spojony:
Ach! księże Jacku, wszakto prośby wasze
Gradem złamane wzniosły kłosy nasze!«

— »Nie mnie, lecz Bogu niechaj będzie chwała!
To, co widzicie, moc Jego zdziałała.
I to wyrzekłszy, lud pobłogosławił
I do Krakowa Wisłą się przeprawił.

K. Antoniewicz.

Garnek popiołu.

W czasach grabieży i niepokoju
Był człowiek, co przez lat wiele
Zebrany pieniądz o krwawym znoju
Przechował w garnku, w popiele.

Lecz się nie zwierzył w nagłem skonaniu
Ani przed żoną ni dzieckiem;
I długo, długo tak w zaniedbaniu
Ten garnek stał pod przypieckiem.

Jednego razu wszedł do tej chaty
Biedny, zgłodniały podróżny,
Ledwie okryty podłemi szmaty,
I kornie prosił jałmużny.

Biblioteka Śląska

Choć gospodyni w pośród rodziny
Przy jadle była za stołem,
Lecz bez litości, jakby na drwiny,
Dała mu garnek z popiołem.

Żebrak z modlitwą opuścił chatę,
Przyjąwszy datek z ochotą:
Bóg za pokorę dał mu zapłatę.
Bo znalazł w popiele złoto.

I. Hołowiński.

Św. Izydor.

W pośród wiejskie matki, córy,
Znużon drogą, wiekiem zgięty,
Zasiadł pielgrzym z Jasnej Góry.
I rozłożył towar święty.

Miał różańce, miał szkaplerze,
Mnóstwo krzyżów wydobywał,
A lud wierny swojej wierze
Za poczciwy grosz nabywał. —

I miał jeden obraz śliczny,
Każdy o treść jego badał,
Pytał, słuchał gmin rozliczny,
A on tak mu rozpowiadał:

O! nie wiecie wy ludkowie,
Jak za dawnej tam pamięci,
Byli z pośród was królowie,
Byli nawet nieraz święci.

Tam gdzie tacy, jak my ludzie,
Wśród dalekie stąd Hiszpany,
W ciągłych modłach, postach, trudzie.
Żył Izydor, Oracz zwany.

Takim jak wy, był on chłopkiem.
Tak się, jak wy, męczył, nużył;
Przecież mnogich cnót dorobkiem
Myta niebios się dosłużył.

Dziki nad nim pan przewodził,
Sprzęgał z bydłem, kuł do taczek,
Krzywdził, więził, chłostał, głodził,
Wszystko święty zniósł prostaczek.

Zniósł: bo męki Jezusowe
Stokroć bardziej go bolały:
Cierń, co w boską wrył się głowę,
Rany, co krew świętą lały.

Zniósł, bo sroższe widział dole,
Nieszczęśliwych szereg długi;
Zniósł, bo wiedział, że tu pole,
Nie nagrody, lecz zasługi. —

I raz pan ów bez sumienia
Podwójną mu orkę zadał;
A w przypadku niespełnienia,
Straszną karę zapowiadał.

Westchnął biedny, wstał przed świtem.
Zaprzągł wołki uporczywe,
Szedł z spojrzeniem w ziemię wrytem.
I tak zawiódł je na niwę.

A że w każdej trudnej porze
Wprzód do Boga się odnosił,
U stóp krzyża klął w pokorze
I gorąco błagał, prosił. —

Głowę w świętej schylił skrusze,
Sercem nieba przywoływał,
Korzył myśli, czyścił duszę,
I w Chrystusa się wpatrywał.

I tak długo i głęboko
Zatapiał się w męce krzyża,
Aż tu słońce już wysoko,
I południe się przybliża.

Zląkł się, jakby z snu przecucił,
I zapłakał w swej niedoli;
Gdy wtem w koło okiem rzucił:
Jakaś jasność, woń po roli!

Patrzy — widzi zadumiały
Niepojęte cuda! dziwy!
Anioł śliczny jak śnieg biały,
Dookoła jego niwy!

Każdy zagon wyciągnięty
Tak prościuchno i tak ładnie;
Nie ma bicza rataj święty,
Wołki przecież idą składnie.

Idą z okiem tak wesołem,
Pług tak lekko płynie w ziemi;
Pada chłopek, bije czołem,
Łzami zlewa się wdzięcznemi.

Gdy wtem anioł promienisty
Nagle w górę wzlata, leci;
A jak tęcza pas ognisty,
Długi ślad się za nim świeci.

Niknie, ginie, postać święta;
Ginąc, takie słowa głosi:
»Kto o Bogu swym pamięta,
Temu pomoc Bóg przynosi«.

Wiele, wiele wieków zbiegło,
Nim w tem samem miejscu cudu
Wielkie miasto się rozległo,
A w nim mnóstwo zlało ludu.

Od poranka do wieczora
Nie zliczyłbyś gmachów licznych,
Ni w kościele Izydora
Wszystkich bogactw, wotów ślicznych.

Król po królu w wielkiem mieście,
Włada, rządzi, rozkazywa;
A gdy przyjdzie umrzeć wreszcie,
Chłopka tego w pomoc wzywa«.

Fr. Morawski.

Przejście Pańskie.

Czasy dawnemi na polskiej ziemi
Bóg z swoją łaską panował;
Żył w niej widomie i dom przy domie
Lud Mu pobożny budował.

Włoście i złoto jemu z ochotą
Bogacze święcili w darze,
I prostaczkowie grosze swe wdowie
Nieśli na jego ołtarze.

Bo król i pany, i wszystkie stany,
Wierne Mu w świętem poddaństwie,
Wszystko składały dla jego chwały,
Aby podobał w swem państwie.

I spodobana u niebios Pana
Była ta ziemska dziedzina:
I była Bożą i wieczną stróżą
Stała w niej wierna drużyna.

Wierna i stała, wiarą się zwała,
Za wiarę biegała na boje;
A Bóg łaskawie w swej świętej sprawie,
Hetmanił żołnierstwo swoje.

I nieraz wrogi pierzchały z trwogi,
Przed małą garstką tysiące.
Święte anioły widząc wespoły
Z polskiem rycerstwem walczące.

Więc Bogu hojna, za Boga zbrojna,
Gdy Bóg ją wzajem zaszczyca,
Świetna, bogata, sławna u świata
Była Lechitów ziemica.

Sam opatrzony, z świętej skarbony
Bóg czerpał dary wciąż nowe;
W każdej potrzebie, walcząc za siebie,
Zwycięstwa dawał gotowe:

Ale powoli, w tej złotej doli,
Naród wpadł w żądze szalone
Cnotę porzucił z Bogiem się skłócił,
I Bóg-Król złożył koronę!

Bez Bożej części zbiór się nie szczęści,
Śród zbytków nędza i biada;
Bez Bożej sprawy boje bez sławy —
Męstwo bez plonu przepada...

I przyszła pora!... skrucha, pokora
Znów naród ku Bogu wiodły:
Lecz w złej godzinie nieraz świątyni
Brakło nieszczęsnym na modły!

Bo domy Boże, gdy na bezdroże
Lud nieobaczny się rzucił,
To z jego winy padły w ruiny,
Lub je sam Pan Bóg wywrócił;

Lub u podwoi w ognistej zbroi
Z mieczem Aniołom stać kazał,
By nie wniósł nogi człek za te progi.
Które niewiarą swą zmazał.

Więc we łzach, skrusze, wybrane dusze
Biegą w kapliczki cmentarne,
Śród lichej szopy Bogu pod stopy,
Ścielą swe serca ofiarne.

I dary znoszą i łaski proszą,
Już nie bogactwa nie sławy, —
Świętej ochrony gdzieby skruszony
Grzesznik wypłakał żal krwawy.

* * *

W lichej mieścinie, kędy świątynie
Bóg zamknął w karze swej srogiej,
Przez długie lata święta Objata
Brzmiała w lepiance ubogiej,

Gdzie lud zebrany, gdy ciasne ściany
Tłumy ogarnąć nie mogą,
Pośród cmentarzy, Bogu się skarży,
Jak istny żebrak nad drogą.

A pasterz prawy, dla świętej sprawy
Nie szczędząc własnego trudu,
W ducha pokorze, wziął w imię Boże
Żebrać pomocy wśród ludu.

Aż po szeląga w długim lat ciągu
Do szczupłej kościelnej skrzyni
Zebrał nie mało, bo jużby stało
Na fundamenta świątyni.

Więcej nie trzeba: resztę Bóg z nieba
Sam rzuci w cudownym darze;
Na mur gromami głazów nałamie,
Aniołom murować każe!

Dobra nowina krążyć zaczyna
I serca wiernych weseli,
Że lada dzionek radosny dzwonek
Dźwięknie na nowym kościele.

I już pospiesza pobożna rzesza,
Z nową serdeczną posługą:
Z groszem lub pracą kogo stać na co.
Byleby czekać nie długo.

Dobra otucha! Bożego ducha
Widać widocznie w tem tchnienie;
W potrzebie siła jego wzbudziła
Wierne swe sługi z kamieni.

Byle do dzieła rzesza się wzięła,
Z niczego cudem gmach stworzy!...
Lecz nowe troski na ziemi Boskiej
Brak miejsca pod domek Boży!

Jest-ci jedyny plac wśród mieściny,
Jak raz pod święte ołtarze;
Ale bezbożny pan jakiś możny
Wielki zań okup dać każe.

Wszystkie zapasy kościelnej kasy,
Lat wielu mozół kwestarczy,
Cała skarbona Bogu święcona
Żądaniom jego nie starczy.

Kapłan stroskany łzami zalany,
Z prośbą mu stoi u proga:
Ludu gromada do nóg mu pada,
Żebrząc o miejsce dla Boga.

Darmo bez grosza dumny panosza
I Bogu nie da swej roli.
Nie! bo sam wreszcie mieszkać chce w mieście
Plac zająć pod pałac woli.

Więc radzą biedni: jest plac sąsiedni,
Szczupły na Boże mieszkanie,
Lecz to mieszczańska własność, nie pańska,
Darmo się Bogu dostanie,

A ze swej strony pan uproszony,
Może kęs ziemi przyczyni,
By się dla Boga znalazła droga
Dokoła Jego świątyni.

Marna otucha! pan próśb nie słucha,
I piędzi ziemi swej skąpi:
Plac i tak mały pod gmach wspaniały,
Niech mu Bóg z drogi ustąpi!

Takież przykłady zacne pradziady
W świętej puściźnie mu dały,
Co całe włości w duchu radości
Święciły dla Bożej chwały...

Więc jako może mieszkanko Boże
Na szczupłem placu się ściska;
Za nim mur przy murze, w pysznej strukturze,
Wznoszą się wieże zamczyska:

Wspaniałe gmachy nad święte dachy
Dumnie strzelają w obłoki...
Wobec tej pychy kościółek lichy!
Lecz Pan weń wstąpił wysoki!

I lud się cieszy i tłumnie spieszy
Na poświęcenie kościoła;
A w tejże porze w magnackim dworze
Grzmi świetna uczta wesoła.

I wśród biesiady Boże sąsiady
Tak się ochocą bez miary,
Że w modłów ciszy lud wierny słyszy
Muzykę i pijane gwary...

Zagrzmiały dzwony: Bóg wywyższony
W monstrancyi do ludu schodzi;
Szumią sztandary zastępów wiary,
I w tryumfalnym pochodzie,

Śród hymnów chwały, z Bogiem lud cały,
Okrąża mury kościoła...
Lecz przy pałacu brak Bogu placu,
Z ludem swym przejść nie zdoła!...

Ciasna drożyna ledwie odcina
Od murów zamku dom Boży;
Rzesza wstrzymana zgina kolana
I ze czcią Bogu się korzy,

Co w Hostyi świętej w Niebo dźwignięty,
Jak w słońcu w monstrancyi świeci,
I cuda swoje i łaski zdroje
Zlewa na głowy swych dzieci...

I dziwna skrucha do głębi ducha
Przenika wiernych drużynę,
Skrucha i trwoga jakby głos Boga
Miał zagrzmieć w oną godzinę...

I ukorzony na twarz rzucony
Lud w łzach gorących na ziemię,
Powstać nie może, bo tchnienie Boże
Czuje nad głowy swojemi...

Tchnął Bóg widomie!... w straszliwem gromie
Zadrzała ziemia w około;
Z okrzykiem trwogi tłum wstał na nogi
I korne schylił znów czoło...

Bo wielkie dziwy ujrzał: sędziwy
Kapłan z monstrancyą stał blady.
Twarzą zwrócony do owej strony,
Kędy zwalony z posady,

Jakby rozwiany domek karciany,
Pałac się pański położył...
Gdzie przez ruiny mocarz jedyny
Drogę Swej chwale otworzył.

I znów grzmią dzwony i hymn wzniesiony:
Bogu cześć, chwała bądź!« woła.
I Pan nad Pany poświęca ściany
Swojego domu dokoła.

Adam Ptug.

Chleb.

Kazimierz panował, ze szczepu Piasta
Ostatni potomek męzki,
Gdy padła klęska na wioski, miasta,
Nad wszystkie straszniejsza klęski.

Bo ziemia latem zwędzona parnem
Z długiego słabła pragnienia,
Nie wypłaciła jesieni ziarnem
Wzięte na wiosnę nasienia.

Pierwszym to było w kraju przykładem,
Że Polak, co z łaski nieba
Chlebem się dzielił z swoim sąsiadem.
Dzisiaj umierał bez chleba

Wtenczas Król Chłopków swemu ludowi
Królewskie śpichrze otworzył;
Lud błogosławił temu królowi,
Którego ziarnem on ożył.

Kiedy się bliżsi do króla garną,
On widząc powszechną nędzę,
Gdzie nie mógł swoje dorzucić ziarno,
Tam on posyłał pieniądze.

Ale kraina rozległą była.
Wisły przepasana wstążką,
Czołem się w wodach Bałtyku myła
Stopę oparłszy o Śląsko.

A tak powszechny był niedostatek,
I wszędzie tak równe potrzeby,
Że nie do wszystkich dojść mogły chatek
Pańskie pieniądze ni chleby.

W onym to roku powszechnej nędzy,
Gdy z głodu naród umierał,
Był panek; zdzierstwem mnogo pieniędzy
I ziarna mnogo nazbierał.

I choć zamożny z łońskiego zbioru,
W kmiecią siermięgę się przebrał,
Do Oliwskiego chadzał klasztoru,
Nędzę udawał i żebrał.

Razu jednego gdy wracał z miasta
Chleb niosąc w zawoju szaty,
Z dzieciątkiem w ręku stara niewiasta
Z przydróżnej wybiegła chaty.

I woła: »Ratuj! jam z głodu chora.
Pan Bóg ci będzie odpłatą,
Ty wracasz z miasta, niesiesz z klasztoru
Chleba bochenek pod szatą.

Podziel się chlebem, i posil nieboge,
Jeżeli serce masz człeka:
Ja stara jestem, ranną mam nogę,
Droga do miasta daleka«.

»Babo!« rzekł panek, »pokój daj święty,
I nie zatrzymuj mię w drodze;«
I znów litością niby przejęty
Dodał: »Zawiodłaś się srodze:

»Nie chleb ja niosę, lecz kamień prosty;
U nas bo kamień jest rzadki,
A mam na rzece budować mosty.
Co płynie wedle mej chatki.«

Na to niewiasta: »Człeku! tyś skłamał:
Bo chleb ty niesiesz, nie kamień:
Lecz chleb, któregoś ze mną nie złamał,
Boże, w kamień Ty zamień«.

Ledwie co rzekła, panek postrzega,
Że chleba bochen ociężał:
Ciężarem swoim ramię przylega,
Na twardy kamień bo stężał.

Otruchlał, czołem na ziemię padł,
Inne prowadził już życie:
Za wszystkie chleby co głodnym skradł,
Odpłacił głodnym obłicie.

Dotąd w Oliwie w klasztornym ganku
Wisi ten kamień na ścianie;
I głośna powieść o skąpym panku
I chleba w kamień przemianie.

Adam Gorczyński.

Źródło św. Gangolfa.

Znużony Gangolf pielgrzymką długą
W piaszczystej Włoch okolicy,
W skwarne południe nagle nad strugą
Szumiącej stanął krynicy.
A gdy spragniony, chłodnym napojem
Orzeźwił siły mdlejące,
Wnet na kolana padłszy nad zdrojem,
Bogu niósł dzięki gorące.
Wtem nadszedł dziedzic i rzekł: »za złoto
Chętnie ci przedać zdrój mogę.« —
Pielgrzym zapłacił wartość z ochotą,
I w dalszą puścił się drogę,
I do burgundzkiej wracał krainy,
Uweselony z nabycia,
Gdzie łzy przyjaciół, gdzie łzy rodziny,
Mierzą czas jego przybycia.
A ledwie luba żona u progu
Z uśmiechem wita go miłem,
Rzekł: »Ciesz się żono! podziękuj Bogu,
We Włoszech źródło kupiłem«. —
— »Na cóż się przyda? cóż nam pomoże
Zdrój w tak dalekiej krainie?
O nierozważny! sądziłeś może
Że on za tobą popłynie?« —

— »Niewiasto!« Gangolf przerwał surowo,
Niech się gniew płochy uśmierzy!
Toż ci nieznane Chrystusa słowo?
Czy Mu twe serce nie wierzy? —
On rzekł: »zaprawdę mówię wam, który
Ze szczerem we mnie ufaniem,
Rozkaże górom, »pójdźcie!« wnet góry
Powstaną i pójdą za nim.«
Jam obietnicy Boskiej zawierzył.
Bóg szczerej wiary nie myli.« —
To rzekł i laską w ziemię uderzył.
I oto! w tejże wnet chwili,
Z ziemi obfite wytrysną zdroje,
Na podziw zlęklej małżonce;
I chłodne kwiatom niosąc napoje,
Z szelestem biegą po łące. —
Wieki minęły, a jeszcze płynie
Krynica czysta i chłodna,
Ale we włoskiej za to krainie
Zdrój hojny wysechł aż do dna.

Edw. Odyniec.

Brzoza Gryżyńska.

Wznosi się w gruzach na Gryżyńskiej ziemi
Kościół świętego Marcina.
Głośno on niegdyś hymny brzmiał boskimi,
Dziś głucha w polu ruina.
Mnóstwo tam grobów i mogił dokoła
Liczne kryje pokolenia,
A biała brzoza, jak skrzydłem anioła,
Cichy sen zmarłych ocienia.

Jeśli to drzewo, pierwszy wieniec wiosny,
Ciekawość twoją obudzi;
Skąd polubiło ten pobyt żałosny,
Gryżyńskich spytaj się ludzi.

Onego czasu, lecz ktoż wie, lat wiele?
W prostym ci rzekną sposobie,
Zmarło tu dziecię i przy tym kościele
W zimnym złożono je grobie.

Cicho, cichutko w swej mogile leżał
Antoś, matczyna nadzieja,
Kiedy wtem kopacz do księdza przybieżał,
I tak strwożył dobrodzieja:

»Jakieś nam licho na cmentarz się wdarło,
Próżno człek strzeże i czuwa:
Dziecię, co właśnie przed tygodniem zmarło,
Wciąż rączkę z grobu wysuwa.«

Dziwi się pasterz, krzyż i stułę bierze,
Biegnie na miejsca zjawiska,
I trzykroć żegna, i zmawia pacierze,
I sam rączkę w ziemię wciska.

Wznosi się sercem, duszą w niebo wznosi,
Przy drobnej klęczy mogile;
Ale daremnie i błaga i prosi,
Widmo powraca za chwilę.

Dzwoni więc pleban, całą wioskę woła,
Młodzież i starce i dziatki,
A kiedy już wszyscy staną do koła,
Tak się odzywa do matki:

»Co w syna twego dzieje się tu grobie,
Ja ludzką myślą nie schwycę;
Samej to tylko wiadomem jest tobie,
A więc wyjaw tajemnicę.«

Wzbrania się matka i zalewa łzami,
I ręce łamie z rozpaczy;
Gdy wtem strasznemi zaklęta słowami
Tak się wśród jęku tłómaczy:

»Kara to mojej matczynej ślepoty,
Bóg mi złem za złe odmierzył;
Synek ten memi popsuty pieszczoty
Raz mnie w swym gniewie uderzył.«

Bierz więc tę rózgę i chłoszcz rękę syna«,
Tak pasterz na nią zakrzyknął,
»Ziemskiej on się tu kary dopomina,
Aby wieczystej uniknął.

Uderz!« zawoła — i silnem ramieniem
Matka do grobu ciągniona
Odwraca oczy i z ciężkiem westchnieniem
Okropnej kary dokona...

I patrz! zaledwie różczkę puszcza z dłoni
I pada, jakby nieżywa,
Sama się rączka w grób swój wraca, chroni,
I znów ją ziemia pokrywa.

I wszystkie serca zimny przestrach ściska,
Śmiertelnym dreszczem przenika;
A ksiądz na pamięć strasznego zjawiska
Różczkę na grobie zatyka.

I drugim cudem, w pierwszej zaraz wiośnie,
Gęsty liść ją ozielenia,
Coraz się wyżej i wzmaga i rośnie,
W rozległe drzewo zamienia.

Runął kościółek i niejedne czasy,
Niejedna przeszła nawała,
Walą się dęby, całe walą lasy,
A brzoza stoi jak stała.

I wciąż liczniejsze przychodzą tam dzieci,
Patrzą nań w strachu i grozie;
I coraz dalej i słynie i leci
Powieść o Gryżyńskiej brzozie.

Franciszek Morawski.

Zachwycenie.

— Matulu moja! powiedzcie przecie,
Coście widzieli na tamtym świecie?

— O moje dziecię! byłam ja w raju,
Gdzie rosną drzewa, jak w naszym gaju:
Same jabłonie i wielkie grusze,
Na nich najczystsze, umarłych dusze,
Za dobry żywot, za świętą cnotę,
Poprzemieniane w owoce złote,
Na cienkich prątkach pod liśćmi wiszą,
W ciepłem się słońcu pięknie kołyszą,
Ale ich z drzewa zrywać nie trzeba:
Bo zaraz lecą w górę do nieba.

Potem widziałam jasne niebiosy,
Ową pszenicę z złotymi kłosy,
Co się pochyla pod Boże nóżki;
Oj! nie pszenica, lecz święte duszki;
Potem widziałam przedziwne kwiatki,
Te w bożych łąkach błękitne bratki,
Co się na ziemi bardzo kochali,
A potem w niebie powyrastali.

— Mateńko moja, proszęż ja ciebie,
Co też tam robi Pan Jezus w niebie!
Co robi w niebie gwiazda zaranna,
Królowa nasza, Najświętsza Panna?

— O! moje dziecko, o! kochające,
Jezus owieczki pasie na łące,
Jak śnieg bieluchne, co skubią trawę,
I nie boją się, takie łaskawe;
A to są dusze błogosławione,
Które cierniową zniosły koronę.
Matka najświętsza dla ludzkiej nędzy
Wyrabia płótno ze srebrnej przędzy,
I jużby wszystkie dzieci sieroty
Miały koszulki z owej roboty,
Gdyby w jesieni pochmurnej, słotnej,
Nie psuł w powietrzu przędzy wiatr psotny,
Tych srebrnych nici babiego lata,
Co się na naszych płotach oplata.

— Matulo moja! czyście widzieli,
Co też tam robią święci anieli?

— Anieli z nieba świecą nad nami
Bardzo wysoko temi gwiazdami,
A słysząc ludzi ubogich głosy,
Z litości płaczą kroplami rosy;
Rosa upada na obszar ziemi,
I przez tę litość zboże się pleni.

— Jest też jak u nas, matulu droga,
Taka wesołość u Pana Boga?

— Moja dziecino! jak ci się zdaje,
Musić mieć Pan Bóg, kiedy nam daje.

— A czy tam grają tak aniołowie,
Jak nasi wiejscy chłopcy w dąbrowie?

— O! jeszcze piękniej, jeszcze weselej
Na złotych skrzypkach grają anieli.

— A gdzie się uczą przeróżnych pieśni?

— Tam gdzie się uczą ptaszkowie leśni,
I nasi ludzie — w rumianej zorzy,
We zach radości, w miłości bożej.

— Matulu moja! powiedzcież przecie,
Co tam jest więcej na tamtym świecie?

— Widziałam jeszcze strasznej wielkości
Dwóch archaniołów stało w jasności,
Trzymając księgę białą otwartą,
A Potr apostół kartę za kartą

Przewracał zwolna z smutkiem głębokiem,
I patrzał na świat żałosnym wzrokiem;
Bo w owej księdze wszystko tam stoi
Co tylko człowiek na świecie zbroi;
I co się stało i co się stanie,
Jest o tem w niebie jasne pisanie.
Ta księga wszystko w sobie zawiera:
Czy się kto rodzi, czyli umiera;
Kiedy śmierć człeka nędznego blizko,
To zaraz anioł czyta nazwisko.

— Moiście drodzy! powiedzcie ino,
Widać tam naszą wioskę jedyną?
Naszą chałupkę, bydło na smugu?
Siostrę w zagonie, ojca przy pługu?
Widać tam dziewczę, co zbiera ziele,
I tego dziada, co przy kościele
Siedzi i obie wyciąga ręce —
Na małym wzgórku przy Bożej męce?

— O widać wszystko, gdzie się kto ruszy,
Wiedzą tam dobrze o każdej duszy,
Jeżeli ludzie w grzechy popadną,
To zaraz z żalu anioły bladną,
A ile razy dobrzy, cnotliwi,
To się i niebo całe ożywi.

Powiedzcie jeszcze, mateńko droga,
Czyście widzieli i Stwórcę Boga?

Nie! moje dziecko, przed Stwórcą świata
Tyle aniołów na skrzydłach lata.

Że jest okryty, jakby obłokiem,
Jak słońce srebrną chmurką przed okiem,
Tylko z promieni, co ztamtąd lecą,
I na wybranych czołach się świecą,
Przedwieczną jasność oglądać może
Ubogi człowiek, stworzenie boże.

— A jak daleko, matko do nieba?
To pewnie z miesiąc iść tamby trzeba?

— Bogać tam miesiąc, kochane dziecię!
Iść tam potrzeba przez całe życie,
Czyniąc po drodze dobrego wiele,
Biąc się mężnie, modląc w kościele,
Kochając ludzi jak braci własnych,
To w końcu dojdzie do niebios jasnych,
I Piotr mu święty, apostoł boży,
Złocistym kluczem niebo otworzy.

Teofil Lenartowicz.

Wyroki.

Czy to tak woda szemrze w strumieniu?
Czy ptactwo śpiewa ukryte w cieniu?
Ani to chłodne strumienie grają,
Ani w gaiku ptacy śpiewają, —
Lecz święci Pańscy w rajskiej ustroni,
Gwarzą ze sobą w cieniu jabłoni.

Święty Mikołaj staruszek siwy,
O ludzką nędzę wielce troskliwy.
Co ma w opiece nasze bydlęta,
O każdej wiejskiej krowie pamięta,

Wraca do trzody zbłąkaną w boru,
Chroni od wilka i od pomoru,
Wsparty na krzywym kiju pastucha
Pod gałęziami siedzi i słucha;
Łagodny wietrzyk rajskiej dąbrowy,
Rozwiał mu brodę na dwie połowy,
A wonne zioła perłową rosę
Strzęsły dziadkowi na nogi bose.
Przy nim Piotr święty przyrządza sieci,
W którą gdy złotych rybek naleci,
Zaniesie Panu przez jasne pole
I złoży w niebie na srebrnym stole!
Obadwaj siwi — gołąbki prawe,
Obudwu serca wielce łaskawe,
Gorliwi stróże około ludzi:
Lecz się i święty na świecie strudzi:
Trzy dni powraca Piotr bez połowu,
Co sieć wyciągnie to spuszcza znowu,
Posnęły rybki w tym świata stawie:
Więc się okropnie staruszek smuci:
Co powie Panu, jak próżno wróci?
Może mu Jezus sieci odbierze,
I sam założy srebrne więcierze,
A jak nie znajdzie nic w mętnej fali,
To spuści ogień i wody spali.
I drugi święty ma swoje troski,
Do nieba skargi przychodzą z wioski,
Że wilcy krówki z przed chaty biorą,
Że wczoraj zdechło jagniąt kilkoro,
Że spiekłej ziemi deszczyk nie rosi,
Że święty pasterz Boga nie prosi:

Niby to prawda... lecz na tej ziemi
Trudnoć się spierać z ludźmi grzesznymi. —

Gdy tak biadają schyliwszy czoła,
Słyszą z daleka skrzypki anioła.
Oj, to nie była anielska skrzypka,
Jeno wieść dobra, co leci szybka,
Że tam na ziemi na chmurnym świecie,
Powiła matka ubogie dziecię.
»A dziękiż Tobie, łaskawy Boże!
Toż mi zakładać niewód pomoże«.
A drugi rzecze: »Chwała na niebie,
Ja go do trzody wezmę dla siebie«.

Na święte głosy, matka królowa,
Gdy usłyszała dalekie słowa,
Z brylantowego zamku wychodzi,
I miłościwem spojrzeniem godzi,
I rzecze do nich: »Dla tej sieroty,
Nie miecz skrwawiony, ani laur złoty.
Nie kij pastuszy, nie sieć rybacka,
Jeno uboga skrzypka tułacka;
W odwiecznej księdze ona wyryta,
Cieniem żałobnym cała pokryta,
A na niej będzie pod niebem brzmiała
Wiernego ludu cicha pochwała.
Samotny pójdzie smętną doliną,
Dni jego łzami, pieśniami słyną...«

»Niechże więc idzie — rzekli miłośnie —
Niechaj mu serce w boleściach rośnie,
Niech mu na oczy w cichem uśpieniu
Przychodzą męże w stalnem odzieniu,

Niewiasty święte w śnieżnej bieliźnie,
Wszystko co wielkie w jego ojczyźnie,
I niech mu czasem w noc lazurową,
Twoje oblicze błyśnie, królowo!«
I wyciągnęli swe dłonie drżące
Trzy święte duchy, potrójne słońce...

A w biednej chatce wtedy schylona
Pieściła matka dziecię u łona,
Pełna miłości, sercem bogata,
Patrzała w dziecię, w swe skarby świata.

Teofil Lenartowicz.

III.

Piast.

Gdy Popiel w chwilach okropnego zgonu
Karzącej zbrodnie doświadczył prawicy, —
Naród, chcąc wybrać następcę do tronu,
Zebrał się w pięknych równinach Kruświcy.

Stały nad Gopłem Słowiany rozliczne,
Długie oszczepy, puklerze staliste:
Zamku Popielów wieże niebotyczne
Odbijały się o jezioro czyste.

Gdzie wielkie mnóstwo, ciężko szukać zgody:
Na głośnych sporach czas upływał drogi,
Głód się czuć dawał; a obce narody
Szerzyły w Polsce najazdy i trwogi.

Ale Bóg dobry spojrzał na Polaków,
Bo ich do wielkich przeznaczeń gotował;
W pośród Kruświcy spokojnych wieśniaków
Był Piast, co bogów i ludzi miłował.

Dom jego szczupły, ale zewsząd czysty.
Za Gopłem małą pasiekę posiadał;
Cienił lepiankę jawor wiekuisty,
A na nim bocian gniazdo swe zakładał.

Znaną sąsiadom była naokoło
I dobroć jego i gościnna hojność,
Znajdował (lemiesz prowadząc wesoło)
W pracy swą żywność, w sumieniu spokojność.

Dzień nadszedł święty dla skromnej drużyny.
Gdzie jak pogańskie prawo nakazało,
Pierworodnego syna postrzyżyny
Obchodzić miano przez ucztę wspaniałą.

Hoża Rzepicha i Piast nasz sędziwy
Od rana całym trudnią się obchodem,
Stół zastawiają tłustemi mięsiwy,
I duże czary napełniają miodem.

W gronie przyjaciół zaczęły się gody.
Pierwszymi dary już uczczone bogi;
Gdy dwóch młodzieńców przecudnej urody
Wchodzi w gościnne biesiadników progi.

Piast i Rzepicha z czołem nachylonem
Proszą, by miejsca chcieli zasiąść swoje;
Lud się gromadzi, a z tłumem zwiększonym
Mnoży się pokarm i słodkie napoje.

Po uczcie świetni zniknęli młodzieńcy,
A lud zgodnymi zawołał głosami:
Piast luby bogom, pocóż czekać więcej:
Niech będzie królem, rządzi Polakami!«

»Większej, Piast rzecze, potrzeba mądrości,
By berłem rządzić podług ludu woli;
Zostawcie Piasta w szczęśliwej mierności
Przy jego pługu, pasiece i roli!«

Gdy wieczór nadszedł, Piast głowę na ręce
Oparłszy, siedział pod jaworu cieniem;
Znów przed dom jego ciż sami młodzieńce
Przyśli, światłości okryci promieniem.

Postać ich Niebian mieszkańców wskazuje,
Od barków śnieżne skrzydła się podnoszą,
Białe ich szaty do ziemi zstępują,
A ciemne włosy woń lubą roznoszą.

Rzekli do Piasta: »Pan, co mieszka w niebie,
Co zedrze wnukom twym błędu zasłonę,
Aniołów swoich przysyła do ciebie
Z rozkazem, żebyś wziął polską koronę.

Szanuj z pokorą świętą Jego wolę,
Wielkie on Polsce zakreśla zawody,
Do chlubnych czynów otworzy wam pole,
Da wam zwycięstwa, chwałę i swobody.

Z plemienia twego dzielni wojownicy,
Pędząc przed sobą barbarzyńskie kupy,
Na wschód i zachód kres państwa granicy
Naznaczą w rzekach żelaznymi słupy.

Przez dziewięć wieków, ród wasz istnieć będzie,
A po was inni tron Piastów osiędą,
Ujrzy się Polska w pierwszych mocarstw rzędzie,
A cne książęta hołdować jej będą:

Ale pomyślność przywiedzie zepsucie:
Wkradną się zbytki i ciężkie niezgody,
Pogwałcą wszystko wyuzdane chucie,
I kraj ten obce rozszarpią narody!

Dnia ostatniego głos trąby straszliwy
Zagrzmi już dla was w pośród gromów bicia.
Gdy Bóg wszechmocny zawsze litościwy
W oziębłych sercach wskrzesi iskrę życia.«

Tu znikły męże w światłości powodzi,
A Piast zdziwiony pozostał samotnym,
Słodki się zapach w powietrzu rozchodzi,
Jak woń fiołków po deszczu wilgotnym.

Jeszcze Piast dumał, gdy z jutrzenki blaskiem
Lud niecierpliwy tłumnie się gromadzi,
Wita go panem z radosnym oklaskiem,
I na królewskie komnaty prowadzi.

Już wdział purpurę, wziął miecz wojowniczy,
Świetną koroną uwieńczył swe skronie,
A wdzięczny, pragnąc uczcić stan rolniczy,
Rozkazał pług swój postawić przy tronie.

»Ziomkowie, rzecze, kiedy mam panować,
Gdy wy i same Nieba tak zrządziły,
Zaklinam, chciejcież rolnictwo szanować;
W mieczu i pługu są Polaków siły!

J. U. Niemcewicz.

U Piasta.

Złoci się strzechą chata uboga,
Bocian klekoce na dachu chaty.
Sprzęt kołodziejski leży u proga;
Żółte dziewanny, modre bławaty
I ciche ślazy stoją dokoła,
W kwitnącej lipie brzęczy gdzieś pszczoła.

Snać tu stateczny kmieć gospodarzy:
Widać pasiekę pod blizkim borem.
Żóraw u studni stoi na straży.
Gościnne wrota stoją otworem,
Pogodnie, ciepło, cicho na świecie.
I tylko z lipy sypie się kwiecie...

Jacyś wędrowcy, drogą strudzeni,
W ciche podwórko zmierzają zdala.
Pod blask zachodu złotych promieni.
Co się na niebie krwawo zapala,
Dziwnie się bielą szaty tych gości,
I lica młode, dziwnej jasności.

Kmieć ku nim z chaty wyszedł na drogę,
Pod słońce dłonią przysłania oczy:
Obcych szlą bogi! przyjmęć czem mogę;
Żywo Rzepicho!« woła ochoczy.
A oni wchodzą spocząć gotowi:
Witajcie Piaście! — pokój domowi!

Białe ręczniki leżą na stole,
Na nich mięsiwo, przaśny chleb z dzieży:
A ot i ojce wiodą pacholę,
By uczcić obcych, jako należy.
Kiedy im chłopak do nóg się kłoni,
Długi włos płowy spływa mu z skroni.

A obcy dłonie kładą na głowie
Tego dziecięcia, co stoi korne
I w dziwnie słodkiej a mocnej mowie,
Która przenika cisze wieczorne,
Oczy promienne wzniósłszy w obłoki,
W te słowa głoszą Boże wyroki:

Błogosławieństwo, bielonej chacie,
Gdzie cnoty ojców syny dziedziczą!
Gdzie do obcego powiedzą »bracie« —
Białością chleba, miodu słodyczą
Gotowi nawet przyjmować wroga —
Cześć tobie chato i łaska Boga!

W proch runą pysznych zimne podwoje,
Co przed niedolą zaparły wrota:
A te się ściany podniosą twoje
Z nich wyjdzie ziemi tej przyszłość złota!
I jaśnieć będziesz na podziw świata,
Na szczęście swoim — Piastowa chata.

Oto do ciebie te sądy Boże:
Za ten włos płowy, który pacholę
Do stóp przybyszom chyli w pokorze,
Wnukom korona skronie okolę!
Za ten kęs chleba dan z dobrej chęci,
Chleb i sól zawsze niech im się święci.

Lecz pomnij, pomnij chato Piastowa,
Że póty tobie sławy i cześci.
Pókąd się w ścianach twoich zachowa
Skarb, co w ubóstwie ich dziś się mieści:
Dopóty doli, czci i swobody,
Pókąd miłości w tobie i zgody!«

Przebrzmiały gości promiennych słowa,
I cisza święta padła dokoła —
Piast wróżbę waży i w sercu chowa.
W cichej zadumie uchylił czoła,
I słychać tylko jak w chaty ścianie,
Świerszczyk gdzieś zaczął wieczorne granie.

I tylko w lipie, przed progiem chaty,
Słychać szum skrzydeł, świegot i gwary,
Z jakiemi ptasząt tam rój skrzydlaty,
Przed nocą dzienne ucisza swary —
I z lipy kwiecie sypie się złote
Na strzechy Piasta świętą prostotę.

Leszek Biały.

Od dworaków opuszczona
Helena w stroju niedbałym,
Gdy syna trzyma u łona,
Co go zwano Leszkiem Białym,
Tak szerzy skargi płaczliwe
Na swe losy nieszczęśliwe:

»Ty się śmiejesz dziecię lube,
Bo nie znasz twojej niedoli,
Nie znasz spisków na twą zgubę:
Oto z stryja twego woli
Wydarłać państwo niecnota,
A jam wdowa, ty sierota.

Zrodzonyś, byś berłem władał,
Dziś przewrotnych ludzi winą
Wszystkoś na świecie postradał,
Tułasz się biedna dziecino;
Ja cię przytulę do łona,
Lecz skądże inna obrona?« —

»Powściągnij łzy twe, królowo.
Zawołał Goworek stary,
Byłem ojcu radą zdrową,
Synowi dochowam wiary,
Póki dłoń ta mieczem władnie,
Żadna nań trwoga nie spadnie.«

Pod czułym starca dozorem
Wzrastał w siły Leszek Biały,
I szedł chlubnym Piastów torem,
Był sprawiedliwy i śmiały,
Zręczny w rycerskich gonitwach,
I szczęśliwy w krwawych bitwach.

Goworek przez cnoty swoje
Wzbudził nienawiść dworaków,
Przyszli na Leszka podwoje,
Mówiąc imieniem rodaków:
»Oddal Goworka, — korona
Nazad ci będzie wrócona!«

Królowa w modrzewim dworze
W skromnej siedziała komnacie,
I w skromnym była ubiorze:
Nie miała złota na szacie:
Przy niej, poselstwem zdziwiony,
Siedział Leszek zamyślony.

Gdy milczą, Goworek stary
Tak ich dumanie przerywa:
»Przyjm, Książę, ludu ofiary,
Panuj, kiedy lud cię wzywa!
Niech kraj na tem nie szkoduje,
Że mnie zawiść prześladuje.

Ja stary, władzy nie chciwy,
Do skromnej ojców zagrody
Wrócę wygnaniec szczęśliwy;
Ty długie uśmierz niezgody,
A rządząc krajem potężnym,
Bądź sprawiedliwym i mężnym.

Jeźli za to, żem pracował,
Los mi usłyszeć zostawi,
Że tego, com ja wychował,
Naród polski błogosławi,
Nie umrę w cieniu mej strzechy
Bez słodkiej sercu pociechy.«

Tu gdy płakała królowa,
Gdy we łzach wszyscy przytomni,
Książę odpowie w te słowa:
»Leszek nigdy nie zapomni,
Co winien sobie, krajowi,
I co winien Goworkowi.

Nie chcę, by mąż, co mnie wspierał,
Gdym się tułał opuszczony,
Dla mnie wygnańcem umierał;
Nie chcę państwa ni korony:
Nad blask, co berło udziela,
Wyżej cenię przyjaciela.

Nagrodziły Nieba hojnie
Tę szlachetność, tyle męztwa:
Leszek zwycięzca na wojnie
Odzyskał wydarte księstwa,

Stary Goworek przy zgonie
Oglądał Leszka na tronie.

J. U. Niemcewicz.

Kazimierz Wielki, król chłopków.

Hej! gdzie grody? — Gruz z nich tylko...
Gdzie wioski i łany?
Z wiosek — zgliszcza, a na polach
Wiatr posiał burzany.

Wojny ręka kraj zniszczyła,
Przybrała w chwast pola —
W lasach gaidżą tłumy zbójców,
Wśród ludu — niedola...

Siadł na złotym tronie Piastów
Ostatni z ich rodu,
Król Kazimierz, król i ojciec
Polskiego narodu.

Spojrzał okiem, sercem odczuł
Tę niedolę ludu —
I nie szczędził, by kraj podnieść,
Ni grosza, ni trudu.

Jak po ciepłym deszczu grzyby,
Tak grody wzrastały —
Pola, łany złotym kłosem
Znów oku się śmiały.

Sprawiedliwość znalazł teraz
Pan i kmieć ubogi,
Kupiec znowu był bezpieczny
Wśród lasów, wśród drogi.

Król, chcąc znać potrzeby ludu,
Za dziada przebrany,
Po wieśniaczych, biednych chatach
Chodził niepoznany.

I jak z równym pogawędził
Z mieszkańcem z pod strzechy,
W sprawiedliwych, dobrych czynach
Doznawał uciechy.

Wiele po nim pozostało
Wiekowych pamiątek,
I dzisiejszym wielu miastom
Już on dał początek.

Do dziś głosi jego chwałę
Krakowska wszechnica,
Sukiennice mówią o nim,
O prawach Wiślica.

A lud w pieśniach Kazimierza,
Jak ojca wspomina —
Wzdłuż i wszerz brzmi jego chwałą
Lechicka kraina.

Bo król chłopków wziął ją biedną
Zniszczoną drewnianą,
A zostawił w dobrobycie,
Szczęsną, murowaną.

O, kochajcie króla kmiotków!
Kochajcie tę ziemię.
Co wydała i karmiła
Wielkie Piastów plemię.

Szczęsny Zahajkiewicz.

Duma o Samuelu Koreckim.

Wśród czarnej wieży grobowych podziemi
Dumał mąż groźny, próżen trosk i trwogi:
Czy się też jeszcze kiedy z ojczystymi
Zobaczy progi!

W trzynastu bitwach, grzmieniem niesłychanem
Drętwił dzicz, stare grabiąc jej zabory...
Cóż — kiedy nie mógł z sędziwym hetmanem
Ledz u Cecory.

Raz z ośmiuset braćmi w krąg go obegnano.
Pięć dni go siekli groźni najezdnicy,
Aż zdradą wzięty, poszedł w plen z strzaskaną
Szablą w prawicy.

Kto ci rozkazał — spytał sułtan dumnie —
W kraj mój z żołnierstwem wkraczać rozhukanem?
— Nikt, odrzekł Samuel, sam tak chciałem. U mnie
Jam tylko panem!

— Widzę, żeś mężny; wolno idź do domu,
Jeśli uchylisz przed prorokiem czoła...
— Wiedz, że Korecki nigdy się nikomu
Kłaniać nie zdoła.

Wściekły od gniewu, sułtan wraz rozkaże
W najpodziemniejsze wtrącić go warownie:
Lecz wkrótce więzień omyliwszy straże
Uszedł cudownie.

Najświętszą Pannę, uczciwszy w Lorecie
Wrócił do swoich, istny syn światłości,
Gość z poza świata, co choć rad, a przecie
Nie długo gości.

Wkrótce... Cecora!.. wstrząsł się, i o dziwo!
Zadrżał mąż groźny!.. On, dźwigając pęto,
Widział, jak głowę hetmana sędziwą
Na włóczń zatknięto.

Tyle krwi przeżył, klęsk i hańby tyle!
Raz wtóry żywcem pchnięty w łono ziemi,
Niechby już wreszcie grób był znalazł, byle
Pomiędzy swemi...

Tak na żelaznej ręce wsparłszy głowę,
Dumał. Noc była. Wicher rozszalały
Ryczące wściekle głębie Bosforowe
Grzmocił o skały.

Wśród szpar drzwi więźnia skąd te mdławe brzaski?
Chrzęsły wrzeciądze. — Kto tam? Czausz sułtana
Wchodzi zwiastuje, że mu z jego łaski
Wolność jest dana.

Samuel z zadumy podniół lica blade:
To co rzekł zwiastun, snadź złe jakieś knowa...
Wzrok wrył mu w oczy i wyczytał zdradę,
Lecz nie rzekł słowa.

Wstał — stąpił krokiem — alić tuż u proga
W padalcze skręty stryczka więź zelżywa
Szyi mu sięga. Zbladł i boleść sroga
Pierś mu przeszywa.

Westchnął, krew wszystką w mężne serce zbierze:
— Boże mych ojców! — rzekł cichemi modły,
Nie daj, by ginąc, krzyżowe rycerze
Mieli zgon podły!

A wtem mu w krzepkich członkach lew zachrzęści.
Drgnął — spadły więzy. W siepaczy gromadzie,
Pierwszego z brzegu ściąwszy miotem pięści,
Trupem go kładzie.

Zdobył nóż — siecze. Próżno ku pobudce
Zwiększa się zgraja. Samuel nie zna trwogi,
Dwunastu było, wszystkich sobie wkrótce
Zwalił pod nogi.

Przypadli drudzy, złość w nich jadem wzbiera.
Żelazne drągi garść rozwścieklа imie,
I z rykiem runą na kark bohatera
Czernie olbrzymie.

On walczy. Gdy mu z zdruzgotanej dłoni
Nóż wypadł — barki przyparłszy do ściany
Szarpie zębami, piętami się broni
Mocarz krwią zlany.

Wzrok mgłą mu zaszedł — on jeszcze zwycięża.
Padł wreszcie, mając głowę roztrzaskaną...
Tylko żelazem, żelaznego męża
Przemódz zdołano!

Tak legł złamany, ale nie ugięty...
Noc była, przycichł wicher rozszalały,
Rozkołysane Bosforu odmęty
Ciężko dyszały.

Jaki bądź, Panie, zgon nas przed Twe progi
Pchnąć ma, czy sławny, czy z ręki zdradzieckiej,
Daj nam ku niemu iść, jak szedł bez trwogi
Samuel Korecki.

Felicyan Faleński.

Stefan Czarniecki.

Oj, to Polak starodawny!
Co za mina, co za ruch!
Oj, to bracia wielki zuch!
Nasz Czarniecki Stefan sławny!

Szwedzi Polskę zwojowali,
Swój im podał chleb i sól:
Lutrzy z nimi się zwąchali,
Za granicę drapnął król!

I już ziemia prawie cała
Szwedowi się poddawała,
I już wierny naród ginął!
Jedna tylko Matka Boska

Oparła się Częstochowska!
Przy niej stanął ksiądz Kordecki;
A ten zuch Stefan Czarniecki
Jak się zawziął, jak zawinął

Wygnał Węgra precz z Lutrami.
I jak kaszę ze szwedami
Zjedli Szweda choć bez kaszy!
I nie tylko w ziemi naszej, —

Aż za morzem rej on wodził:
Bo, gdy Szwed bronił się wodą,
On i morze wpław przebrodził!
A choć się nie rodził panem

Ani z soli, ani z roli,
Ale z tego, co to boli
Ruskim urósł wojewodą
I koronnym zmarł hetmanem.

Wincenty Pol.

A za tego króla Jana...

A za tego króla Jana,
Co to po łbach bił pogana,
Przyszły posły i rozjemce:
— Ratuj królu! Giną Niemce!

Turek na nas następuje,
Szyjom naszym miecz gotuje,
Naszym wieżom — księżyc w nowiu,
Naszym dziatkom — chrzest z ołowiu!

Jak zdobędą Wiedeń stary,
Krwawo poczną uczyć wiary,
I postawią ciężkie stopy
W samem sercu Europy!

My — siłami niemieckiemi
Nie obronim naszej ziemi,
Zginiem — knechty i rycerze...
Ratuj — królu — bohaterze!

Król się porwał rozgniewany:
— Wara, krzyknął, bisurmany.
Na to słońce, co nam świeci,
Trząść z buńczuków waszych śmieci.

— Miecz mi dajcie!... Hej trębacze,
Niech otrąbion kraj obaczę!
Niech się Polska moja ruszy,
Mocnej dłoni, wielkiej duszy!

Niech husarya skrzydła bierze,
Niech stalowe lśnią pancerze,
Niech szablice błysną w ręku,
Luzak z koniem, koń w obłęku.

— Za trzy doby hufce ruszą,
I nie spocznę, klnę się duszą,
Aż oczyszczę dom sąsiada
Od szarańczy, co nań spada!« —

Posłyszała Polska króla,
Koń u żłobu uszy stula,
Rycerz ostrzy miecz stalowy
— Kraju miły! bądź mi zdrowy!

Trąbią trąby w strony świata.
Głos po polu z wiatrem lata,
Szumi Wisła niespokojna,
Bory szumią: Wojna, wojna!...

. . . . . .

Za trzy zorze i trzy noce,
Polska wiara Turka grzmoce,
Aż się szczerbi kosa śmierci,
Na buńczukach z końskiej sierci...

Grzmią harmaty, świszczą kule,
Z dziwem stoją obce króle,
Wyciągnęli długie szyje,
Patrzą — jak to Polak bije.

Biały koń się prze pod Janem,
Po tem polu krwią zalanem,
Strzał tureckich błyski chwyta
Na wzniesione w skrach kopyta.

Łysa-góra we mgłach stoi,
Noc z niej schodzi w czarnej zbroi,
Kładzie rękę na powieki.
Nie do świtu — lecz na wieki.

Turek włosy targa w brodzie,
Król rumaka piętą bodzie...
— »Hej! na obóz! Naprzód wiara!«
Poszła koniom z nozdrzy para.

Jak wiatr lecą, jak grom walą.
Dziw, że świata nie obalą,
Dziw, że się utrzymać mogą.
Koń kopytem, mąż ostrogą...

— »Naprzód!.... Wzięli namiot wroga...
Co miecz puścił — bije trwoga...
A po świecie okrzyk leci:
— Niechaj żyje król Jan Trzeci!

Marya Konopnicka.

O Kilińskim.

Posłuchajcie historyi!
Lat czterdzieści temu prawie,
Jak Kiliński żył w Warszawie,
A był szewskiej profesyi.
Był to dobrze człek osiadły,
Miał dom własny, nań przypadły.
Wziął też z żoną coś gotowych,
Przytem dziesięć palców zdrowych.
Że był majstrem, więc miał wreszcie
Warsztat w domu, a sklep w mieście.
A że był też człek serdeczny,
Sławny, trzeźwy i dostatni,
I bezpieczny i stateczny,
Więc był w mieście nie ostatni.
Jakoż czy to kogo zgodzić,
Czy zmiarkować, czy uchodzić,
Czy podźwignąć — czy pobratać, —
Czy potrzymać, czy poswatać,
Czy ubóstwem ród podzielić,
Czy pogrzebać, poweselić —
Nigdy Jan się nie usunął.
Ani skrewił ani skręcił:
Zawsze prawdę w oczy lunął,
Co miał w sercu, w mowie święcił:
A że zawsze prawdą chodził,
Więc rej w całem mieście wodził.
Prym miał między sławetnymi
Na gospodzie w dniu godowym,
Starszy w bractwie różańcowem
Siedział w ławie przed wszystkimi.

Furda wszystkie kasztelany —
Jemu to szedł pokłon z koła,
Kiedy suto rżnął przybrany
W dzień świąteczny do kościoła.
Boć też djabła była mina!
Wąs do góry, w tył wyloty,
W ręku srebrem kuta trzcina,
But chędogi — a pas złoty.
Dobre były tamte czasy,
Gdy szewc nosił złote pasy!
Kto był czysty, miał prym wszędzie,
Kto pracował, miał do syta.
Człek uczciwy był w urzędzie,
Bo była rzeczpospolita!
Więc był radnym Jan w stolicy,
I na miejskiej ławie siedział:
Zawsze wypił, co w szklannicy,
A co w sercu, wypowiedział.

W. Pol.

Pogrzeb Józefa Poniatowskiego.

Z pomiędzy bojów i gradów ognistych,
Wierna swej sprawie, nieodstępna znaków,
Szła wolnym krokiem do siedlisk ojczystych
Garstka Polaków.

Skoro lud spostrzegł, jak wzdęte wiatrami,
Biało-czerwone proporce migają,
Wstrząsło się miasto radości głosami:
Nasi wracają!

Niedługa radość; każdy pyta chciwie.
Kędyż jest wódz nasz dzielny, okazały,
Co nam tak długo przewodził szczęśliwie
Na polu chwały?

Już go nie widać na czele tych szyków,
Których był niegdyś duszą i ozdobą:
Okryte orły, zbroje wojowników
Czarną żałobą.

Już go nie widać pośród hufców dzielnych...
Gdzież jest?... Czy słyszysz żal wszystkich głęboki?
Patrzaj — złożone na marach śmiertelnych
Rycerza zwłoki.

Te mary, ten wóz, spoczynek po znoju,
Lud wdzięczny łzami oblewa rzewnemi.
Ciągną go wierni towarzysze boju
Piersi własnemi.

Idzie za trumną koń jego waleczny,
Z schyloną głową, czarną niosąc zbroję:
Idź, koniu, smutnie, już twój pan bezpieczny
Zamknął dni swoje.

Żałosne trąby, wy, flety płaczliwe,
Wy, chwiejących się orłów srebrne dźwięki,
Umilczcie, ranią piersi moje tkliwe
Te smutne jęki.

Patrz: przed świątynią, przy światłach gasnących,
Porywa z wozu młodzież ciężar drogi
I wnosi wpośród grzmotu dział bijących
W wieczności progi.

Modły kapłanów, braci twoich łkania
Wznoszą się tam, gdzie mieszka Bóg przedwieczny;
Ach, przyjm ostatnie te ich pożegnania,
Wodzu waleczny.

Dzieliłeś z nami ciężkie utrapienia,
Wielkie ofiary, prace bez nagrody
I, zamiast słodkiej nadziei ziszczenia,
Gorzkie zawody.

Tulmy łzy nasze — już jesteś szczęśliwy.
Kto za ojczyznę walczył, poległ śmiały.
Już temu wieniec dał Bóg sprawiedliwy
Wieczystej chwały.

Wdzięczni ziomkowie, ceniąc zgon i życie,
Nie dadzą wiekom zatrzeć twoich czynów,
Wzniosą grób pyszny, zawieszą na szczycie
Wieniec wawrzynów.

Wyryją na nim, jak w ostatniej toni,
Śmierć nad nadzieje przenosząc zgubione,
Runąłeś z koniem i z orężem w dłoni
W nurty spienione.

Posąg twój będzie lud otaczał mnogi.
Ten napis twarde zachowają głazy:
Tu leży rycerz, co walczył bez trwogi
I żył bez skazy.

Tam żołnierz, pełen rycerskiej ochoty,
Zaostrzy oręż o krawędź tej tarczy,
Pewien, że przez to nabywszy twej cnoty,
Tysiącom starczy.

J. U. Niemcewicz.

Śmierć pułkownika.

W głuchej puszczy, przed chatą leśnika,
Rota strzelców stanęła zielona;
A u wrót stoi straż pułkownika,
Tam w izdebce pułkownik ich kona.
Z wiosek zbiegły się tłumy wieśniacze.
Wódz to wielkiej był mocy i sławy,
Kiedy po nim lud prosty tak płacze
I o zdrowie tak pyta ciekawy.

Kazał konia pułkownik kulbaczyć,
Konia w każdej sławnego potrzebie;
Chce go jeszcze przed śmiercią obaczyć,
Kazał przywieść do izby — do siebie.
Kazał przynieść swój mundur strzelecki,
Swój kordelas i pas i ładunki:
Stary żołnierz — on chce, jak Czarniecki,
Umierając, swe żegnać rynsztunki.
A gdy konia już z izby wywiedli,
Potem do niej wszedł ksiądz z Panem Bogiem;
I żołnierze od żalu pobledli,
A lud modlił się, klęcząc przed progiem,
Nawet starzy Kościuszki żołnierze
Tyle krwi swej i cudzej wylali,
Łzy ni jednej — a teraz płakali,
I mówili wraz z księdzem pacierze.

Z rannym świtem dzwoniono w kaplicy;
Już przed chatą nie było żołnierza.
Nieprzyjaciel był w tej okolicy.
Przyszedł lud widzieć zwłoki rycerza.

Na pastuszym tapczanie on leży —
W ręku krzyż, w głowach siodło i burka.
A u boku kordelas, dwururka.

Lecz ten wódz, choć w żołnierskiej odzieży,
Jakie piękne dziewicze ma lica!
Jaką pierś! — Ach, to była dziewica,
To Litwinka dziewica-bohater.
Wódz powstańców — Emilia Plater.

A. Mickiewicz.

Powrót z niewoli tatarskiej.

. . . . . .

I długo pusty stał dworek biały
Przy okolonem olchą jeziorze:
Pana tatarskie hordy zabrały —
Zginął?... czy żyje w jasyrze może?

Cichymi kroki i z bladą twarzą,
Z okiem zalanem tęsknemi łzami,
Chodzi z synkiem tam, gdzie się jarzą
Promieni lampki nad izby drzwiami.

Pod ciemnolicym Matki obrazem,
Świętą Łukasza robionym dłonią,
Pani — i smutna z synkiem razem
Śle k'niebu modły z schyloną skronią.

A potem syna za rękę bierze
I pokazuje mu ojca zbroje,
I jak spartanka wielka w ofierze,
Mówi doń: Oto dziedzictwo twoje!

. . . . . .

Aż raz we wrotach stanęła postać
Biednego mnicha, i poznać z krzyża,
Że to Trynitarz — jakby, czy ostać,
Czy iść niepewny — wolno się zbliża.

A na ramieniu jego zwieszony
Nędzny i blady i ze łzą w oku,
Staje ktoś drugi; — twarzy zbiedzonej
Nie można poznać o szarym zmroku.

Lecz czego okiem swem nie dostrzegła,
To tęsknem sercem odgadła żona:
Z krzykiem radości z ganku wybiegła
U piersi męża lka przytulona...

. . . . . .

Ign Domachowski.

Dawni rycerze.

W żelazie chodzili od stopy do głowy,
Ich konie w żelaznem okryciu
Na boje ich niosły, turnieje lub łowy,
A strój ich był równy ich życiu.

Bo życie to było i twarde i krwawe,
A głośne, jak bitew fanfary:
Do świętej szli ziemi po śmierć lub po sławę
Pod krzyża białego sztandary.

Na twierdze pogańskie po trupach się darli,
Zatknęli swój znak na wieżycy;
A kiedy spoczęli, to dłonie oparli
Na krwawych swych szabel głowicy.

A jeśli wracali w obronne swe dworce.
To z blizną na piersiach, na twarzy:
Ze złotym księżycem pogańskie proporce
U Pańskich składali ołtarzy.

Adam Pajgert.

Turczyk.

W Śniatynie, w mieście Turcy gospodą
Stanęli w rynku i zdobycz wiodą:
Spętali jeńców, stada spędzili,
Bramy zrąbali, domy rozbili
I dzielą łupy i miody leją:
W Śniatynie, w mieście Turcy szaleją.
A czarnobrewy Turczyk na przedzie,
Dziewczynę młodą za rączkę wiedzie.
Co krok powiedzie, to się zaśmieje,
Dziewczynie z żalu serduszko mdleje,
Dziewczynie z chodu nogi ustały,
Dziewczynie z płaczu lica zżeruiały.
Nie tobie luba dworzec z ogrodem,
Nie tobie drzewa z kwiatem i chłodem,
Nie tobie sadzić przed oknem matki
Pachnące zioła i wonne kwiatki;
Nie tobie w święta, ani w niedziele
Obrazy złote widzieć w kościele;
Nie tobie bujne bydło poryka,
Nie tobie nocą słuchać słowika,
Tobie w jassyrze być u Turczyka,
Prząść kądziel w kuchni, słać łoże pana,
Na białe, drżące padać kolana

Od ciężkich robót: wzdychać pod biczem
I skrwawić ziemię białem obliczem.

* * *

Powstają Turcy chmurą szarańczy.
Z szumem się dźwignął zastęp pohańczy,
Zajękły dzwony, świsnęły strzały.
Matki i siostry ręce łamały:
A miasto gęsty płomień oblewa.
Runęła z miasta powódź straszliwa,
Śniatyńska łuna jasno rozświeca.
I czarne dobrze i smagłe lica.
Ale na przedzie nie idzie w pląsy
Wesoły Turczyk z czarnemi wąsy.
Nie ma z czeredą Turka młodego.
Samopas w polu biega koń jego.
Połyska zbroją i szuka pana
I z żalu grzebie dół po kolana.
Głowa Turczyka na płocie wbita,
Często nocnemi deszczami myta:
Przy niej nietoperz lata na straży,
Gawron zgłodniały na niej usiada,
I szczebiotliwa sroczka z nią gada.
A w każde święto, w każdą niedzielę,
Przybiega z miasta mołojców wiele.
Na wybujałej darni hasają
I, jak do tarczy, w głowę strzelają.

J. Bartkowski.

Giermek.

Smutno w polskiej było ziemi,
Smutne wojsko i lud smutny;
Wszystko siły przygniótł swemi,
Pobił, zajął Szwed okrutny.

W długim cieniu drzew lipowych
Koczowały zbite szyki.
Przy ogniskach obozowych
Stały nieme wojowniki.

Gdy wtem, siwym strojny włosem,
Którym lekki wiatr powiewał,
Wieszcz się znanym ozwał głosem,
Trącił lutnię i tak śpiewał:

Mile gadka dawnej treści
Brzmi dla ucha, w serce wpływa:
W starych czasów to powieści
Stara dzielność się ukrywa.

Był czas, gdyśmy za przedmurze,
Za tarcz ludom, światu stali;
Był czas, gdyśmy wschodnie burze
Piersią naszą odpierali.

Lasem polskich dzid narody
Zasłaniane od podboju.
Wynucały pieśń swobody,
Pieśń miłości, pieśń pokoju.

Naszym hymnem był szczęk broni,
Trąb wojennych dzikie dźwięki,
Wrzawa bitew, grzmot pogoni,
I rozległe rannych jęki.

Złoci wieczór łan Podola,
Ciągną wojska, tabor, wozy.
Tętnią całe lasy, pola,
Stoją groźne dwa obozy:

Z jednej strony sztandar wiary,
Siwy hetman, młodzież dziarska:
Z drugiej wściekłość, krew, pożary
I straszliwa czerń tatarska.

Jutro, jutro z rannym brzaskiem
Dzień gonitwy, dzień rozprawy:
Słońce krwawym zaszło blaskiem,
Bój to będzie straszny, krwawy.

Ledwie pierwszy mrok zapada.
Polski hetman kord przypasze,
Z młodym giermkiem na koń siada
I objeżdża czaty nasze.

Jedzie — patrzy w obóz dziczy.
Słucha gwaru — rżenia koni,
Pyta — zważa — ognie liczy.
I już w myśli łamie, goni.

O, nie ciesz się wodzu stary.
Zmienne wojny są koleje,
Nie tak łatwo to z tatary! —
Słuchaj, patrzaj, co się dzieje!

Hura, hura! pędzi horda,
Nocny napad w obóz leci.
Giermek za broń, wódz do korda,
Na koń! woła, na koń, dzieci!

Spieszą, biegną do swych szyków,
W pośród nocnych pędzą cieni;
Gdy wtem z grzmotem nowych krzyków
Zewsząd czernią otoczeni.

Tną i walczą na przebicie.
Rąbie hetman, giermek łamie:
Całą młodość, ogień, życie,
W wojujące przelał ramię.

I już słyszą, słyszą w dali,
Jak nadbiega polska wiara:
Ale już ich nie ocali,
Już nie wyrwie z rąk Tatara.

Wzięty giermek, hetman wzięty;
Krzyczy, huczy motłoch dziki:
Bucha gniewem han zacięty,
Patrząc na swe niewolniki.

Wre i zemstą ryczy srogą,
Każe jednem skuć żelazem
Nogę giermka z wodza nogą,
I tak obu więzić razem.

Smutnie wzrok ich wzniósł się, zwrócił
Na wysokie gwiazd sklepienia:
Ale na cóżbym wam nucił
Ich boleści, ich marzenia?

O! kto nigdy pęt nie nosił,
Kto nie jęczał w wrogów mocy,
Strawy swojej łzą nie rosił,
Nie przetęsknił długich nocy:

Kto w półdzikim, podłym tłumie
Nie wlókł ciężkich lat niedoli, —
Nie, nie pojmie, nie zrozumie,
Jak jest gorzkim chleb niewoli!

I na chwilę marząc smutnie
Wieszcz ucicha... łzy wylewa...
I znów nagle trąca w lutnię
I tak dalej gra i śpiewa:

Zasnął hetman siwobrody,
Zasnął jakby między swemi;
Nie śpi, czuwa giermek młody.
Długo o swej duma ziemi.

I łza tryska mu z źrenicy,
Żal i rozpacz serce tłoczy;
Gdy wtem nagle w swej ciemnicy
Zapomniany topór zoczy.

Patrzy, duma, drży i marzy,
Serce szczytnym ogniem płonie,
Wielki w duszy zamiar waży,
Topór w obie chwyta dłonie:

I podnosi rękę śmiałą,
Mężnie ku swym pętom zwróci,
Tnie — odcina nogę całą,
I hetmana swego cuci.

Wolnyś! rzecze, straż zaspana,
Uchodź, ocal twą krainę;
Spiesz i pobij wojsko hana,
Ja z radością tutaj zginę.

Powstał hetman i wzniósł dłonie,
Rzewnemi się łzami zalał,
Żegnał, Boskiej zdał obronie.
Ścisnął, uszedł i ocalał.

I straż nagle z snu się zrywa.
Wieść ucieczki wodza szerzy.
I sam wkrótce han przybywa,
I zaledwie oczom wierzy.

Długo, długo wzrok swój wryty
W śmiałych topi mu źrenicach,
Stoi jakby gromem zbity,
Po dostojnych czyta licach.

I odpycha wszystkie straże,
Cnota dzikość zwyciężyła:
Każe leczyć, darzyć każe,
I do Lachów go odsyła. —

W świetnem dworzan, wodzów gronie
Szkarłatnemi szaty odzian,
Siadł król polski na swym tronie,
Wdzięczny przed nim stanął młodzian.

W miejscu nogi prosta kula
Ujmującą postać wspiera,
I dwór cały się rozczula,
Z szmerem dziwu nań spoziera.

I dwaj wiodą go rycerze,
Kornie przed tron przystępuje:
Król z wezgłowia szczerbiec bierze,
I rycerzem go pasuje.

Gdy wtem wpośród wodzów koła,
Hetman nogę niesie złotą;
Oto herb twój! król zawoła,
Wysłużony twoją cnotą.

I porywa dłoń rycerza,
Wśród okrzyków ludu wiedzie
I przed ołtarz Pański zmierza,
I sam klęka z nim na przedzie.

O blask, chwałę swych orężów,
Korne w niebo dłonie wznosi,
I o więcej takich mężów
Dla ojczyzny swojej prosi.

Tu dźwięk lutni mdlał, upadał,
Coraz głuchszem cichła brzmieniem;
A wieszcz w duszach, śledził, badał,
Co w nich swojem wzbudził pieniem.

Fr. Morawski.

Dziewczę polskie.

„Panowie bracia! dalej na konie!
Daleko mamy pohasać;
Tam w owej stronie, gdzie łuna płonie,
Tam, tam będziem popasać.«

Na konie wskoczą, sztandar roztoczą,
Wesoło trąbka zadzwoni:
Rumaki spięli, bramę minęli,
A na ich czele on goni.

Pędzą bez drogi, miną rozłogi,
Miną i stepy i pola,
Aż gdzie dokoła plądruje sioła
Zawolczyk, czartów swawola.

Hej bracia wiara! męztwo i wiara,
Odwaga bracia! Bóg z nami!«
Furknęły piki, runęły szyki,
I już się sieką z wrogami.

»Ho, ho! gdzie nasza zafurknie pika,
Próżno się bronisz, psi synie!
Hartowna pika w krwi najezdnika
Łupieżcy serca nie minie.

Znajcie, zuchwali, grom polskiej stali!«
Już ich wysiekli i lecą,
Aż gdzieś za siołem tańczą półkołem,
Gdzie półmiesiące się świecą.

Hej bracia wiara! męztwo i wiara,
Odwaga bracia! Bóg z nami!«
Zgęszczą się szyki, zafurkną piki,
I już się sieką z wrogami.

Wiara, wesoło!« wpadli na czoło,
I już na karkach im siedzą;
Szyki złamali, w trąbkę zagrali,
Tatarzy, gdzie ujść, nie wiedzą.

Tam, tam na prawo, mknie Tatar żwawo,
Przy nim na siodle dziewczyna:
»Hej za mną dzieci!« kordem zaświeci,
To moja córka jedyna!«

Ten żwawo goni, ów żwawo stroni,
Lecz przed Zawolcem Dniestr płynie;
Wstrzymał się w biegu, stanął u brzegu,
Spiął konia — już na głębinie.

Dziewczę się zrywa i Boga wzywa,
I pchnie Tatara na tonie;
Konia zwróciła, na brzeg wskoczyła
I już u ojca na łonie!

Ludwik Jabłonowski.

Branka tatarska.

Nie zapieją nocą kury,
Nie czuwają ludzie w siele:
A tu naszły dymu chmury.
A tu naszło Tatar wiele.

Zrabowali, popalili,
Poganiają lud w jasyrze,
Powrozami upowili.
Podcinają konie hyże.

Jedzie Tatar na bezdroże
U strzemienia brankę troczy:
Stara branka iść nie może,
Wypłakuje stare oczy.

Dniem i nocą, stepem, wodą,
Jadą, brodzą, w kraje chana:
Tatar stanął przed zagrodą,
Żona wyszła przeciw pana.

— Witaj moja! ot masz lite
Złotogłowy, zausznice,
I przywiozłem ci kobietę,
Z samej Polski niewolnicę.

Trzy roboty robić będzie:
Niech oczami pasie trzodę.
A rękami kądziel przędzie,
A nogami huśta młode. —

Więc oczami pasła trzodę,
A rękami przędzę snuje.
A nogami huśta młode
A młodemu przyśpiewuje:

— Tatarczątko luli! luli!
Ty po córce mi wnuczątko:
Córka matki nie przytuli,
Babki nie zna niebożątko. —

Tu Tatarka wstała, zbladła:
— Skąd ty znasz mnie niewolnico? —
— Gdy cię niańka w kąpiel kładła
Iskra padła ci na lico. —

— Matko moja! rzuć te łaty,
Bierz jedwabie, bierz sobole:
U nas taki kraj bogaty,
Co masz tęsknić na Podole?! —

— Lepsza moja płachta zgrzebna,
Niżli wasza szata złota:
Tobie tęsknić nie potrzebna,
Za Podolem mnie tęsknota.

L. Siemieński.

IV.

Pieśń o ziemi naszej.

(Wstęp.)

A czy znasz ty, bracie młody,
Te pokrewne twoje rody?
Tych Górali i Litwinów?
I Żmudź świętą i Rusinów?

A czy znasz ty, bracie młody,
Twoje ziemie, twoje wody?
Z czego słyną, kędy giną,
W jakim kraju i Dunaju?

A czy znasz ty, bracie młody,
Twojej ziemi bujne płody?
Pola bitew — ojców groby —
I pomniki starej doby?

A czy wiesz ty, co tam stoi
Po tej ziemi popisano?
Co miłości twe ukoi
Co puścizną tobie dano?

. . . . . .

Poznaj, pókiś jeszcze młody,
Co kochane było wprzody,
Nim twe serce krwią dziedziczną
Kochać mogło ziemię śliczną.

Poznaj ziemskie i podniebne,
Bo te skarby ci potrzebne;
Poznaj wiernych serc puściznę
Dobrej sławy ojcowiznę.

Bo to ona cię najczulej
I ukocha i upieści,
I uświęci i umieści
I do serca przymatuli!

Otóż wyleć z twego gniazda,
Miłać będzie taka jazda:
Spojrzeć z góry na twe ziemie
I rodzinne twoje plemię.

Wincenty Pol.

Co milsze?

Mnie wszystko tak cieszy, co swojskie, co nasze
I ludzie mi drodzy i mili:
I nie wiem, co milsze nad wiejskie poddasze?
Nad ptaka co w krzakach wciąż kwili?
Nad żonę, co w białej len przędzie świetlicy?
Nad ziemię, co zboże mi rodzi?
Nad gwiazdkę, co w czystej kąpie się kryniczy?
Nad miesiąc, co z lasu wychodzi?

I nie wiem, co milsze nad ludzkie wejrzenie?
Co czystsze nad wodę przeczystą?
Co lepsze nad dobre u ludzi wspomnienie?
Co droższe nad ziemię ojczystą?
I nie wiem, co szybsze nad myśl niezgonioną?
Nad serce poczciwe, gorętsze?
Co bardziej smutniejsze nad młodość straconą?
Nad pracę i miłość co świętsze?
Co prędzej nad wiarę łzy z oczu osusza?
Co więcej nad radość upaja?

Teofil Lenartowicz.

Kościółek wiejski.

Na wzgórzu się bieli kościółek wioskowy,
W lip starych zieleni ukryty,
A nad nim w słoneczny poranek majowy
Pogodne jaśnieją błękity.

Wystrzela wieżyczka z śród gęstych konarów,
Uciekać chcąc, zda się od ziemi,
A niżej zielony rozłożył się parów
Z wieśniaków chatami cichemi.

I patrzy kościółek, jak kwieci się łąka,
Jak zbożem kołysze się niwa,
I dzwoni mu piosnka szarego skowronka
I ptasząt kapela przygrywa.

I patrzy kościółek na wioskę tę lichą,
Na każdą lepiankę i chatkę,
I »Boże błogosław!« powtarza on cicho,
Błogosław wieśniaczą gromadkę!

A w jasny odwieczerz rozbrzmiewa dźwięk srebrny,
Odzywa się dzwonek na wieży —
I spływa na ziemię z sfery podniebnej
Na łąki, na pola hen! bieży.

A kiedy na »Anioł« dźwięk dzwonka powionie
Przez łany stojące w łzach rosy,
To wilżą się oczy i chylą się skronie,
I leci modlitwa w niebiosy...

Or-Ot.

Nasz Jegomość.

Nasz jegomość rano wstaje
Ledwie pierwszy rozbrzask wschodu...
Zaraz ptakom ziarna daje
I co żywiej do ogrodu...

Chodzi sadkiem z paciorkami,
Szepcąc »Ave«, nucąc »Salve«...
To się schyli nad kwiatami,
Uszczknie wonny bez lub malwę:

To pogada z różą, z bratkiem,
To obejrzy kiść czereśni,
I tak chodzi wokół sadkiem,
Odmawiając ranne pieśni.

Czasem stanie przed drzewiną
Z zapoczętem słowem Bożem,
I ku ziemi gnie łysiną,
I z sutanny błyska nożem...

Mam cię, wilczku!« — woła gniewno
Do wyrostków tych jałowych —
I odcina ręką pewną
Kierz niezdrowy od pni zdrowych...

Gdy już skończy trzebież dziczek,
Gdy wygubi ród pogański,
Znowu krąży wśród uliczek,
Odmawiając »Anioł Pański«.

Czasem czegoś się zamyśli,
Popod starą siądzie gruszą,
I na piasku kółka kreśli,
I rozmawia z własną duszą.

O czemś duma, o czemś marzy,
Patrząc w bukszpan lub barwinek;
Czasem szepnie z chmurą w twarzy:
»Daj im wieczny odpoczynek!«

Czasem, jakby bał się czego,
Na wiernego świśnie »burka«
I znów kroczy miarowego,
Aż się ozwie sygnaturka.

Wtedy zbiera kwiat ucięty,
Wije w bukiet bez i malwę
I przed ołtarz Panny świętej
Niesie, nucąc »Ave, Salve«.

Po modlitwie, po ofierze,
Wraca z ludem, wraca z pieśnią,
I gromadkę dziatwy bierze,
I zasiada pod czereśnią...

Nasz jegomość dzieci kocha,
Jak te drzewka owocowe,
To też nieraz się poszlocha,
Gwarząc z dziatwą w dni majowe.

To też nieraz, choć nie śniadał,
Choć południe patrzy z słonka,
Będzie gadał, opowiadał,
Co krzew dobry, a co płonka:

Będzie wodził uliczkami,
Od jabłonki do »witarni«,
I gawędził z owieczkami
Dobry pasterz swej owczarni.

Kazimierz Laskowski.

Krzyże wioskowe.

Dawnemi laty w pocie swego czoła
Mnich sprawy ludzkie na pergamin leje,
W mowie łacińskiej, w języku Kościoła
Kreśli poważne, rodowite dzieje.
Aby pod świętych wyrazów osłoną
Pamięć praojców tem więcej uczczono.
Słowo na kartę wpisane w ten sposób
Nieodwołalnym wyrokiem się stało.
Był to i posąg uwieńczony chwałą,
I pręgierz hańby dla czasu i osób.
Takiem wspomnieniem jak dziejopis wspomni,
Przeszłość na zawsze staje na widoku:
I rzadko kiedy od tego wyroku
Sąd odwołania wyrzekną potomni.

Swoje wspomnienia w postaci odmiennej
Pisze dla wnuków wieśniak niepiśmienny;
Gdzież mu mieć kartę? gdzie pióro i rylec?
A jednak w sercu potrzeba się budzi,
Aby syn własny lub obcy przybylec
Znał dawne czasy i dawniejszych ludzi;
Aby na wieki zbawić od zatraty,
Co się w tej wiosce trafiło przed laty.
Więc zamiast karty bierze grunt z pod wioski,
A zamiast pisma krzyż z drzewa wyciosa,
I cichych dziejów niezmazane głoski
Na tle błękitnem odbiją niebiosa.
A we wiosce niebrak zgrzybiałego dziada,
Który o kiju pod krzyż się przywlecze,
I byleś ciekaw, przechodni człowiecze,
Krzyża i wioski dzieje ci wygada.
Dziejopis umrze, pergamin zbutwieje,
Młodzi przestaną trudnić się łaciną:
Ale krzyżami zapisane dzieje
Z pamięci ludzkiej nie łatwo zaginą.
Jeden krzyż zginie, drugi się postawi,
Jeden dziad umrze, to drugi się zdarzy;
A młodzi zawsze powieści ciekawi,
Więc zawsze gotów słuchacz u bajarzy,
I takim kształtem powieść o rodzinie
Z krwią pokolenia w pokolenie płynie.

Czasem się zdarzy, ktoś z opowiadaczy
Dat nie pamięta, imię przeinaczy:
Więc słucha mędrzec i ramiony wzruszy,
Podanie pismu nie jest odpowiednie:

Śmieje się tedy i myśli w swej duszy:
Brednie dziadowskie — nic więcej jak brednie!«
Ach! to nie brednie chwycone z ulicy!
Ręczy krzyż Pański, jako świadek niemy;
Lecz winnież dzieje, że my piśmienicy
Prawdy w podaniu znaleść nie umiemy?

Krzyż na swej niwie stawi kmieć ubogi,
Krzyżem swe imię niepiśmienny znaczy,
Krzyżem rozstajne rozchodzą się drogi.
W krzyż idą sakwy na piersi żebraczej.
Jęczym przybici na krzyż naszej doli,
Krzyżem nas żegna, krzyżem Bóg wyzwoli,
Krzyże sławimy, aby uczcić zadość
Pamiątce zmarłych drogich sercu braci.
W krzyżu nadzieja, łzy, krew i radość,
Krzyż nas podniesie i krzyż nas zatraci,
Przed krzyżem serce strapione się modli,
Jeden się zacni a drugi upodli.

Czy na rozstajnej czy na życia drodze,
Krzyżu Chrystusów, wszędzie cię znachodzę.
Tyś zawsze godłem, tyś życia obrazem:
Czy cierpi serce, czy szczęście nam służy,
Zawsze i wszędzie tyś jest drogoskazem,
Ażeby pielgrzym nie błądził w podróży.
A jeźli pielgrzym w obłędu godzinie
Krzyż Chrystusowy niebacznie pominie,
I zamiast drogi manowce obierze
I straszną przepaść znajdzie na uboczy;
To byle sercem pożałował szczerze,
Znów, krzyżu Pański, staniesz mu przed oczy.

I ojcowskiemi twojemi ramiony
Wskażesz błędnemu gościniec stracony.

Wielcy i mądrzy zapomnieli może.
Lub na krzyż Pański dziś patrzą inaczej:
Lecz prosty wieśniak każde swe rozdroże.
Każdą pamiątkę, choć tysiąc lat mija.
Krzyżem jak gwoździem do serca przybija.
Dziwne te krzyże, dziwne te mogiły,
Po naszej ziemi rozrzucone wszędzie;
Plemiona zmarły, wieki się zmieniły,
Lecz pamięć żyje i długo żyć będzie.
I gdy ci bajać pocznie dziad brodaty
O tym krzyżyku, o królowej Bonie,
Nie wierzysz w ścisłość historycznej daty,
A sercem czujesz, że to prawdą wionie. —
I bardziej trafi do twojego łona
Gawęda starca niż książka uczona.

Wład. Syrokomla.

W domu.

Niech tam ktoś sobie, silnych łaknąc wrażeń,
Gdzieś za szczęściem po gościńcach świata:
Niech pastwą losu i igrzyskiem zdarzeń,
I wiedzieć nie chce, co to ojców chata.
Ja sercu miłe tuż przy sobie kupię,
I unikając huku, wrzawy, gromu,
Jak ślimak w własnej kocham się skorupie.
Dobrze mi wszędzie, lecz najlepiej w domu.

Niech tam ktoś sobie, jeśli mu z tem miło.
Garnie zaszczyty, pieczęcie, buławy,
Niech rozplątuje nić dziejów zawiłą,
Niechaj rozsądza wszechludzkości sprawy.
Spokój nad wszelkie ceniąc przywileje.
Rachunku życia nie zdając nikomu,
Ja nie chcę nosa w cudze tkać koleje.
Dobrze mi wszędzie, lecz najlepiej w domu.

Niech tam ktoś obce zamieszkując strony
Zamorskich stolic roztrębuje chwałę,
Niech na niemieckich bułkach wypieszczony
»Chleb polski« — mówi — »kole w ząbki białe.«
Ja w moich gustach niewybredny, cichy,
Choćbyście mieli szydzić pokryjomu,
Wolę swą biedę, niż cudze przepychy,
Dobrze mi wszędzie, lecz najlepiej w domu.

Niech tam ktoś wreszcie, (jest takich nie mało),
Hołdując szczęściu bocianim zwyczajem,
Kiedy się u nas na mrozy zebrało,
Cieplejszych niebios szuka po za krajem.
Ja — niech się zima i na wiek rozgości,
Choćbym ostatnim miał być u wyłomu,
Gdzie mię Bóg stworzył, tam położę kości.
Dobrze mi wszędzie, lecz najlepiej w domu.

J. S. Chamiec.

Domek rodzinny.

Witaj, domku mój rodzinny,
Dworku biały z facyatką:
W tych to ścianach wiek niewinny
Przepędziłem z ojcem, z matką...

Biały domku ukochany,
Każdy kącik sercu drogi:
Miłe sercu cztery ściany.
Dziś całuję twoje progi.

Tu mi życie matka dała.
Moja dobra, matka droga:
Tu mnie matka wychowała
I uczyła kochać Boga.

Tu mnie ojciec mój poczciwy,
Dobry ojciec choć surowy,
Czcić nauczał wiek sędziwy,
Słodkiej sercu uczył mowy.

Witaj, domku mój drewniany,
Pełen wspomnień i pamiątek:
Witaj dworku ukochany,
Skarbie drogi świętych szczątek!

Pod tem drzewem rozłożystem
Ptasząt śpiewu ja słuchałem:
Dziecko jeszcze, sercem czystem
Z każdym kwiatkiem rozmawiałem.

W kropli rosy kryształowej,
Co zdobiła kwiatki, ziółka,
Bóg malował świat różowy,
A jam widział tam aniołka.

O! były to chwile błogie,
Niewinnością dziecka tchnące:
Przeminęły dni te drogie,
Pozostały łzy gorące.

Przeminęła ma jutrzenka.
Dni dziecięcych zwiędły kwiatki;
Lecz mi w duszy brzmi piosenka.
Com ją słyszał od mej matki.

O! czas dąży chyżym krokiem:
Gdzie był uśmiech, dziś mogiły.
Żegnam cię znów łzawem okiem.
Mój rodzinny domku miły!

Żegnam drogie twoje ściany!
Głos przyszłości brzmi z daleka;
Idę, idę w świat nieznany, —
Gdzie powinność ludzkość czeka...

Pieśń o domu.

Kochasz ty dom, rodzinny dom.
Co w letnią noc wśród srebrnej mgły.
Szumem swych lip wtórzy twym snom.
A ciszą swą koi twe łzy?

Kochasz ty dom, ten stary dach.
Co prawi baśń o dawnych dniach.
Omszałych wrót rodzinny próg.
Co wita cię z cierniowych dróg?

Kochasz ty dom, rzeźwiącą woń
Skoszonych traw i płowych zbóż.
Wilgotnych olch i dzikich róż,
Co głogu kwiat wplatają w skroń?

Kochasz ty dom, ten ciemny bór.
Co szumów swych potężny śpiew
I duchów jęk i wichrów chór
Przelewa w twą kipiąca krew?

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co w pośród burz, w zwątpienia dnie,
Gdy w duszę ci uderzy grom,
Wspomnieniem swem ocala cię?

O, jeśli kochasz, jeśli chcesz
Żyć pod tym dachem, chleb jeść zbóż,
Sercem ojczystych progów strzeż,
Serce w ojczystych ścianach złóż!...

Marya Konopnicka.

Nasza chata.

A kiedy patrzę na dach słomiany,
Jak w jutrzenkowe płoni się zorze,
I widzę z bierwion dębowych ściany,
Którym czerw serca wygryźć nie może;

Gdy siewacz rzuca wiosenne ziarno,
Kiedy się runią zagon odziewa,
Gdy lemiesz skibę odwala czarną,
A oracz idzie i piosnkę śpiewa;

Gdy się skowronek w polu rozdzwoni,
Gdy na kurhanach rozkwitną zioła,
Kiedy szum cichy idzie po błoni,
A dzwon wioskowy na pacierz woła:

Widy gazda stary dziwy powiada,
A dziatwa patrzy, a młodzież słucha,
Czy konie zarżą, czy wiatr zagada,
Czy pies zawietrzy bliskiego ducha:

Kiedy na pole, pod ranne rosy
Kosiarze wyjdą a brzękną w kosy,
I kiedy razem, całą gromadą,
Z wielkim rozmachem łan zboża kładą:

Wtedy nadzieja w pierś mi kołata,
Dumka się rzewnie snuje a przędzie
I mówię sobie: — Oto jest chata
Z której nam wyjdzie wszystko, co będzie.

Marya Konopnicka.

Zagroda polska.

Czemuż cię kocham, miłuję
Zagrodo nasza?
Czemuż w tobie się lubuję
Ty twierdzo lasza
Najmilsza
Ty twierdzo lasza.

Że tak lecę a spoglądam
Ku czarnej roli,
Że cię pragnę, a pożądam,
Jak własnej doli,
Zbawienia
Jak własnej doli.

A czemżeście dla mnie chwaty.
Wy progi nizkie,
Że mi wasze znoje, straty
Tak sercu blizkie,
Siostrzane,
Tak sercu blizkie.

Czemże ja wam zasłużyłem,
Pola a niwy,
Że mi przy was życie miłem,
Dzionek szczęśliwy,
Złocony
Dzionek szczęśliwy.

A czyście mi co zadały
Zagrody wioski?
A toć wrócę do was cały:
U białej brzozki
Zalegnę,
U białej brzozki.

Toć nie zginę gdzieś na świecie,
Powrócę cały,
Toć mię prochem znów weźmiecie,
Jakżeście dały,
Zrodziły
Na życie dały.

Kazm. Laskowski.

Rodzinnej ziemi.

Gdy w obcej ziemi idę sam do boru,
I bór głęboką pieśnią szumi wkoło —
Gdy zwolna cienie kładą się wieczoru
I gaszą blaski — wtenczas chylę czoło

I szepcę: Tyś mi najpiękniejsza ziemio,
Rodzinna ziemio!

I tu wypływa księżyc, by w wód fali
Twarz kąpać jasną, i tu słowik śpiewa,
I tu się bujne kłosy plenią w dali,
Podobnie jak i u nas szumią drzewa,
A jednak szepcę: Tyś najdroższa ziemio,
Rodzinna ziemio!

W mej duszy widzę całą krasę Twoją:
Te łąki złote, lasy, wioski, ludzi —
I smutne myśli w głowie mi się roją,
Tęsknota wielka to tych pól się budzi,
Więc szepcę z łzami: Tyś najmilsza ziemio,
Rodzinna ziemio!

Ewan.

Dziaduś.

Nowe słonko w niebie stoi,
Nowe słonko, nowe lato.
Wyszedł na próg dziaduś siwy:
— Bóg cię trzymaj moja chato!

I obrócił się na strony,
I wyciągnął obie ręce,
Błogosławił krzywym płotom,
Krzywym płotom i studzience.

— Bóg was trzymaj, krzywe płoty,
Suchym chróstem zaplecione!
Chodziły tu różne wichry,
Ale poszły w swoją stronę.

Bóg cię żegnaj ręką swoją,
Ty studzienko z żytnią wiechą!
Napoiłaś ty mnie łzami,
Napoiłaś i pociechą!

I obrócił się na zachód,
Na to pólko, na te łany:
— Bóg cię trzymaj, ziemio moja,
Mój zagonie przeorany!

Siedmiorakim ja cię potem,
Jako drobnym dżdżem, polewał,
I za pługiem chodząc miedzą,
Jak skowronek tobiem śpiewał.

Razem z ziarnem — krople potu,
Razem z potem — pieśnie padły,
Na ten chleb naszego jutra.
Żeby kruki go nie jadły!...

I obrócił się na słońce,
Gdzie się łąka rozzielenia,
I zamachnął się ogniście,
Jakby kosą od ramienia.

— Bóg cię trzymaj, moja łąko,
Przesieczona ostrą kosą,
Świeciłaś ty znojem naszym,
Świeciłaś ty bujną rosą!

Marya Konopnicka.

Nie chcę...

Nie chcę innego piękna nad ten zagon złoty,
Kłos polski, polskie kwiecie na łącznym kobiercu!
Nie chcę innego dobra, ani innej cnoty,
Nad te, co w polskiej duszy zrodzone i sercu!

Nie chcę innego szczęścia, jak na polskim chlebie,
Nie chcę innej zaciszy, jak wśród polskiej chaty —
Ani innego światła od słońca na niebie,
Kiedy nad polską ziemią rozjaśni bławaty!

Ale nie chcę nikogo zakuwać w obrożę,
By szedł po mojej drodze, czcić moje świętości!
Niech każdy na mej ziemi ma swe własne zorze
I własny swój relikwiarz z pogrzebanych kości!

Niech się własnem raduje, nad własnem zaszlocha
Niech mego nie tykając, swego nie naruszy —
A jeśli, idąc społem, moje pokocha —
I ja jego pokocham głębią polskiej duszy.

S.

Tęsknota za krajem.

A znasz ty kraj ten, gdzie brzegiem strumieni
Niezapominki i kaliny rosną;
Gdzie zbóż falami niwa się płomieni,
A bory lśnią się jedliną i sosną? —
Gdzie chmiel złociste rozwiesza festony
Po szczytach olszyn usrebrzonych mchami;
Gdzie biała brzoza i jawór zielony
Błyszczą malownie nad łąk kobiercami?

Oh! za tym krajem,
Jakby za rajem
Codzień wzdycham i płaczę —
I nie będę szczęśliwy,
Aż te lasy, te niwy
Jeszcze raz choć zobaczę! —

A znasz ty kraj ten, gdzie wzdłuż bitej drogi,
Co płynie wstęgą pod topoli cieniem,
Każdy wędrowiec, czy pan, czy ubogi,
Wita przechodniów Chrystusa imieniem?
Gdzie szary bocian na dachu przedsienia
Wije swe gniazdo za wiosny powrotem:
Gdzie krzyże z drzewa lub święci z kamienia,
Stoją na straży przed wsi kołowrotem?

Oh! za tym krajem,
Jakby za rajem
Codzień wzdycham i płaczę —
I nie będę szczęśliwy,
Aż te sioła, te niwy,
Jeszcze raz choć zobaczę!

A znasz ty kraj ten serdeczny, wesoły,
Gdzie się gospodarz, pełen uprzejmości,
Wszystkiem co może dzieli z przyjacioły
I tęskni w domu, kiedy niema gości?
Gdzie lud choć biedny, rad w święto się stroi:
W tańcu czy w pracy, zawsze piosnki śpiewa:
Gdzie czapka chłopca i warkocz dziewoi
Szychem się świeci, wstęgami powiewa?

Oh! za tym krajem,
Jakby za rajem
Codzień wzdycham i płaczę —
I nie będę szczęśliwy,
Aż te stroje, te niwy
Jeszcze raz choć zobaczę!

A znasz ty kraj ten, gdzie w chwilę wesołą,
Gdy grzmi od ucha zapustna kapela,
Sunie poważnie poloneza koło,
Jak szyk pancernych na nieprzyjaciela?
Gdzie rzeźka młodzież przy hucznym mazurze
Brzękiem podków ek gromko takt wybija;
Gdzie żywym wieńcem, przy piosenek chórze
W rączych się pląsach krakowiak przewija?

Oh! za tym krajem,
Jakby za rajem
Codzień wzdycham i płaczę —
I nie będę szczęśliwy,
Aż te tańce, te niwy,
Jeszcze raz choć zobaczę!

A znasz ty kraj ten, gdzie na głos ojczyzny
Mąż rzuca żonę, kochanek kochankę;
Gdzie starzec z chlubą wskazuje swe blizny,
A młodzian cieszy się na bojów wzmiankę?
Gdzie każdy pomnik starożytnej chwały
Ma swych czcicieli i swój liść wawrzynu:
Kraj, choć go losy w obcą przemoc dały,
Silny na duchu i skory do czynu!

Oh! za tym krajem,
Jakby za rajem
Codzień wzdycham i płaczę —
I nie będę szczęśliwy,
Aż tych ludzi, te niwy,
Jeszcze raz choć zobaczę!

Konst. Gaszyński.

Błogosławieństwo polom.

»Anioł wiosny skroń słodką wychylił nad śniegi.
I wdzięcznie się rozśmiały nadwiślańskie brzegi;
Pierwiosnek ubrał łąki — jabłoń kwiat rumiany:
O ślicznyś nad dziewicę, kraju mój kochany!«

Takąć piosnkę jaskółka, witając cię śpiewa,
Tak ci bocian klekoce — tak ci szumią drzewa;
Takąć pochwałę wietrzyk rozgłasza po lesie:
Cóż stęskniony za tobą syn twój ci przyniesie!...

Że nucąc znalazł czasem pociechę w tej nucie;
Że płacząc nie nad sobą, wzrósł w silne uczucie;
Że pragnie snem spokojnym zasnąć na twej grzędzie—
Pozwól, że polom twoim błogosławić będzie.

I w cytrynowych gajach, wśród nieznanych kwiatów,
Śniąc o jodłowych puszczach i woni bławatów,
Zanuci polskim niwom pieśń w dalekiej ziemi,
Bo je kocha — bo dumny — bo się szczyci niemi.

Nie kwitnie na nich wawrzyn, ni oliwne drzewa,
Ni pod jesiennem słońcem winograd dojrzewa;
Skądże nad skarb Ofiru — nad cedry Libanu,
Jest z czego zwić koronę dla skromnego łanu?

Bo kiedy anioł śmierci z rozkoszy ogrodu,
Wypędził pierwszych ludzi na ten padół głodu,
Rodzinne pola moje! was łaskawsze nieba
Uczciły przed wszystkiemi arcydarem — chleba.

Jak fale kołysane od morza do morza,
Łany złotej pszenicy — i żelazne wzgórza;
Ciemne jodłowe lasy — i zielone błonie,
Po którem dzwonią trzody i hasają konie;

Roje ciągnące soki dzięcielinv:
Otóż święta puścizna — skarb naszej dziedziny:
Polsko! pierwiastki pól twych, jak Abla niewinne;
A więc wam błogosławię pola me rodzinne!

Błogosławiona wiosna, co was stroi w kwiaty:
I lato, które kłosom daje plon bogaty:
Jesień, która purpurą odziewa ogrody,
I zima, która wasze otula zarody!

Błogosławię po trzykroć tobie, światło dzienne:
Tobie, księżycu blady — i wam mgły jesienne;
Wam słodkie dżdże: majowe z ranną rosą społy,
Wam wszystkie farby życia i woni żywioły.

O! i ty też, poczęta z śnieżnych Karpat łona,
Wisło! matko rzek naszych, bądź błogosławiona.
Ożywiaj zwiędłe trawki, a wdzięczni młodzieńce
Co rok rzucać ci będą świętojańskie wieńce.

Gdybym mógł orlem skrzydłem wzbić się pod obłoki,
Gdybym mógł zbadać przyszłość otoczoną mrokiem,
Naprzód wam, nizkie sioła z słomianemi strzechy,
Głosiłbym jak skowronek rzewną pieśń pociechy.

Błogosławieni bowiem na wieki śpiewacy,
Których głos łzy osusza boleści i pracy,
Chwała słynnych niw naszych powiała na groby.
Więc i wam błogosławię, o piewcy żałoby.

Błogosławię... lecz skądże taka zmiana w nucie?...
Rwie słowa — mąci myśli rozgorzałe czucie;
Dźwięk ostatni, dźwięk tęskny zdobędę na strunach:
Błogosławię tym, którzy śpią na tych zagonach!

A ty drobna ptaszyno! co w górę się wznosisz,
I jakąś smętną piosnkę nad mogiły głosisz,
Zamilknij, zbierz twe siły i pod niebios progiem,
Błogosławieństwo moje dośpiewaj przed Bogiem!

J. N. Jaśkowski.

Po śmierci.

Kiedy ja umrę, matulu droga,
To mi uproście łaskę u Boga,
Abym ja wyrósł wierzbą przy drodze
Tam, gdziem na kopcu zwykle siadywał,
Piosenki śpiewał, dumki wygrywał
Mojej niebodze...

Kiedy ja umrę, niech wierzbą wzrosnę,
Niech z niej ligawki kręcą na wiosnę
I grają na niej ludziom do duszy —
A ludzie będą w polu stawali.
Łzy ocierali, piosnki słuchali
Fletni pastuszej...

Kiedy ja umrę, niechaj nie wiedzą,
Żem ja to wierzbą wyrósł nad miedzą,
I że to moje po polach granie.
Tylko niech po mnie, chociażby jedna
Smutna i łzawa, smutna i biedna
Piosnka zostanie.

Maryan Gawalewicz.

Noc.

Noc księżycowa perłami rosi, —
Mgła lazurowa z wód się podnosi,
Srebrzy się pole, śpią chaty w dole, —
Gwiazdy migocą, w wodzie się złocą.
Tam brzoza biała, włosy rozwiała,
Tu olchy błotne rosną wilgotne,
Tam bębnią bąki z zielonej łąki.
Noc wonna cicha, w liściach wiatr wzdycha
Cisza w około! tylko piosenka
Z chałup, gdzie drobne świecą okienka.
Jakby z za świata do mnie dolata.
Tam prządki ciągną pod strzechą starą
Ze lnu konopi długą nić szarą.
A z serca ciągną nici srebrzyste:
Długie powieści, pieśni ojczyste.
Jak to Pan Jezus w ludzkiej postaci
Schodzi do chatek do biednej braci,
I między dzieci trzódkę maleńką
Rozdziela dary najświętszą ręką.
Tak marzy wioska w świeżej dolinie,
A Matka Boska tam górą płynie
Nad schylonymi dwory i chaty
Wiodąc aniołów orszak skrzydlaty,
Z niebios wysokich zniża się w locie
I błogosławi cichej prostocie.
Duch prosty słyszy ten głos w przestrzeni:
Ubodzy, cisi — błogosławieni!«

Teofil Lenartowicz.

Ptaszęta.

Co tak gwarzycie, miłe ptaszęta,
Rankiem na polu i w lesie?
Bóg dobry Ojciec o was pamięta,
Wasza Mu piosnka hołd niesie.

I ja kolana zginam w pokorze
Za dary szczodrej tej ręki,
Z wami ptaszyny pod stopy Boże
Niosę me hołdy i dzięki.

Z nieba On patrzy na padoł nizki,
Wszystko ogarnia i waży,
On to u gniazdka i u kołyski
Posadził matkę na straży,

Aby pod piersią jej macierzystą
Pisklę szukało ochrony,
By je karmiła pszeniczką czystą,
Którą On zasłał zagony.

Czy ze snu wstaję o rannej zorzy,
Czy zmrokiem sen klei oczy —
Uczcie mnie ptaszki, ku chwale Bożej
Waszej piosenki uroczej.

Seweryna Duchińska.

Do skowronka.

Już ty śpiewasz skowroneczku, już też i ja orzę:
I my ludzie i wy ptaszki wszystko dzieci Boże.
Człowiek w polu gospodarno pracować się sili;
Ptaszek bierze swoje ziarno z zimowych badyli.

Tyś skowronku, mój towarzysz, choć w nierównej doli,
Ty o piosnkach jeno marzysz twemu sercu gwoli.
Tyś szczęśliwy i wesoły: gdy jutrznia poranna,
Lecisz w górę, by z anioły zaśpiewać; Hosanna!

Z twej piosenki rade nieba i Pan Bóg się cieszy,
Że ptaszkowi mało trzeba i dziękować spieszy;
Że różnymi gwarząc tony, głosisz w kraj daleki:
»Niechże będzie pochwalony — na wieki, na wieki!«

Wład. Syrokomla.

Niewiast polskich serca święte.

Od początku dziejów naszych,
Od uwicia gniazdek laszych,
Odkąd białe orły słyną
Bujające nad krainą,
Odkąd żyje polska strzecha,
Polskich pieśni lecą echa, —
Lśnią jak gwiazdy wniebowzięte,
Polskich niewiast serca święte.

One Kingi, Salomeje,
Z których Boża cnota wieje,
I Jadwigi nieskażone,
Dziś noszące z gwiazd koronę,
Szły przez głogi i przez ciernie,
Jezusowi służąc wiernie,
Wobec Boga czcią przejęte,
Polskich niewiast serca święte.

I te, które syny swoje
Na śmiertelne sławy boje.

Na Tatara i Turczyna,
Gdzie śmierć krąży krwawo-sina,
Kiedy tamci walczą w bitwie
One trwały w łzach, w modlitwie,
W mocy swojej niepojęte,
Polskich niewiast serca święte!

Czy wieśniaczki, czy królowe,
[redacted] zawsze jednakowe,
W możnym zamku, w kurnej chacie,
W równym chodzą majestacie,
Czy w płótniance, czy w koronie,
Zawsze każda zorzą płonie;
Zawsze słodko uśmiechnięte,
Polskich niewiast serca święte.

Ach i dzisiaj z równą mocą
Blaski [redacted] noty nam migocą,
Starodawnej pełne wiary,
Rozświetlają pomrok szary.
Koją bóle i tęsknoty,
Wznosząc w niebo ducha loty.
Miłowaniem [redacted] roś przejęte
Polskich niewiast serca święte.

Więc gdy wokół biją gromy,
Gdy drżą w grozie polskie domy,
Gdy się los nasz chwieje, waży,
One stoją wciąż na straży,
Jak anioły nieskalane, duszą całą
W zwyż podane, w mękach życia nieugięte
Polskich niewiast serca święte!

Or-et.

Z „Saksów.“

Bardzo zdala, aż z niemieckiej strony,
Pise do Wos, zebyście wiedzieli...
»Niechze będzie Chrystus pochfolony!
I pozdrawiam od siebie, od Grzeli,
I od Jantka, i ręce całuje
Wase Matuś! i łzom popłakuje...

Pise do Wos i pytom o zdrowie
Wase matko, jako i Jagnine,
I kłaniom się Wojciechowej wdowie
I pozdrawiam Kubów i Jóźwinę,
I Walentych i Pietra z nad stoku,
I wieś całą ze scyrą łzą w oku!

Pise do Wos aze z onych Sasów,
Pise sercem tęskliwem i dusą,
Bo mi dziwno przez tych nasych lasów.
Przez stajanek po pod polną grusą.
Przez Jagosi, Matko i przez Ciebie!
Przez wszyćkiego na ziemi i niebie!

My tu Matus, jo, Jantek i Grzela
Przy gorzelni... Bajki i robotę!
Ale skoro się nocka rościela,
Skoro gwiazdy wychyną się złote,
Tak coś wtedy przed ocyma lata,
Zebym gonił za tem na skraj świata!

Tak się cosik do dusy przeciska,
Tak dobra do serca, pamienci,
Nikiej u nas, kiej na zytnie rzyska
Wiater piasku z cmentarka wykręci
I rozsieje echem od mogiły...
Tak mi w dusy: kieby dzwony biły!

I już nie śpię, nie śpiam... Nie mogę...
Ni mi warza miła, ni napitek,
Jeno zara rwałbym co tchu w drogę,
Zeby nie on podpisany kwitek —
Niby kontrakt... Ale mało wiele
Musą zwolnić mnie, Jontka i Grzelę.

Moiściewy! Jesce Wom donose,
Ze był taki jeden z Ameryki
Z katolików, choć miemiec potrose,
I powiadał, jakie tam fabryki!
Jakie miasta i łatwy zarobek
Na ten przykład, ma choćby parobek.

I namawiał: — Byle ludzi kupa,
To się zara roli przysposobi;
Swój obrządek będzie i chałupa,
Kto chce — nawet swoją Polskę zrobi!...
A nas Grzela do unego: — »Łzecie!
Swego kraju nikaj nie znajdziecie!

Swoja ziemia, kiej matka rodzona —
Bóg dał jednę i nikt nie miał drugi!...
Zróbciez takie krzyze u zagona!
Takie ziela! takie śrebrne strugi...
Choćby mgiełke, co się śrebłem mieni,
Jaka u nas we wsi o jesieni!

Pleć, pleciugo! ziemia zajednaka...
Moze miemcom.« — I brał się do bicia —
»Ale dlo mnie, dlo chłopa, polaka,
Tylko jedna matka od powicia!
Jedna!« — Stali przeciw sobie kłótni,
A mnie w dusy było jesce smutni!

Jakbym pseuł, ze znów coś zaboli...
Bo wnet miemce zrobili pisanie,
Zeby nasych wykupywać z roli,
Chcom cy nie chcom... Chryste Jezu Panie!
Pod psymusem pono... .... narody!
Dzieci wyzuć chcom z ojców zagrody!

Moiściewy! zebyście wiedzieli,
Ze w nas wszyćko zakipiało wrzątkiem!
Zara wszyćcy najbliższej niedzieli
Poprzysięgli przed Świętym Dzieciątkiem.
Ze choćby tu był zarołek złoty.
Nikt u Prusa nie tknie się roboty!

I jo, Matuś, jesli będzie trzeba,
To do swoich puńde, nie na Sasy...
Dość my Świabom dorabiali chleba.
Jak przypomnieć — tyla tyla casy!
Ale tera... Zobacymy wnetki,
Cy ten nas chleb będzie dla nich letki!

Teraz kończe moje pozdrowienie
Dla Wos, Matko, jako i Jagosi...
Niechze casem wyźry na podsienie
I Panienki Najświętszej poprosi,
Zebym w zdrowiu wrócił w swoje progi,
To ta kogoś ścisne... popod nogi!

Do swoich.

Ojcowie wy moi: matusiu serdeczna
I ojcze rodzony, ratujcie biedaka!
Tu kędym się dostał, niewola mi wieczna
I żałość za serce mnie chwyta, oj! taka,
Że radbym na skrzydłach stąd leciał w tej chwili
Przez morze, przez sine, do chaty, do białej...

Tam u was już zima ku wiośnie się chyli,
Choć nocą przymrozki, już śniegi stajały,
I ojciec wnet z pługiem na pole wyruszy;
Bociany wracają i klucz tam żurawi
Już pewno nad ziemią skrzypiący się pławi...
Oj, matuś! gdy wspomnę, aż rwie się coś w duszy —
Tu całkiem inaczej. Tu inne są nieba
I mowa inaksza: ot, pożal się, Boże.
Zagadasz do człeka po ludzku, jak trzeba,
A co ci odpowie, to zgaduj, kto może!
Bywało, gdy jadę na dworskie, na łany,
Czy z pługiem na ugór, czy z broną na rolę,
A huknie pan na mnie: »Cóż to, mój kochany,
Czy myślisz, że długo marudzić pozwolę?«
Lub krzyknie ekonom: »A żwawo, Macieju,
A jak to pług wiedziesz, a jaka to skiba,
Znać w głowie już nie masz ni za grosz oleju!«
To człowiek zrozumie — a nie wstyd bo chyba,
Gdy łaje swój swego? — Więc nawet nie gniewny.
A tutaj nie łają, lecz wszystkim ja obcy,
I nikt mi nie swojak, i nikt mi nie krewny.
I wszyscy my tutaj rataje, parobcy

ak owce zgubione. Są także kobiety
dzieci u piersi. I wielkie stąd smutki.
Bo matki w głos jęczą: O Chryste, o rety!
dy zamrze im z biedy robaczek malutki,
A zamrzeć jak nie ma? ni domu, ni łomu...

Bez pracy — giń z głodu, a z pracą też bieda,
Bo skrzywdzą, a niema poskarżyć się komu,
I urząd tutejszy słuszności nam nie da.
Sprzedani my ludzie... za lichą zapłatą,
I znikąd pociechy i znikąd nadziei...
Tatusiu wy złota! czy syna wy na to
Rodzili, głaskali, żeby w Brazylei
Przepadał wam marnie? Jest u was tam kiecka
I jedna, i druga, są sznury korali —
Sprzedajcie! ratujcie! Użalcie się dziecka,
Bo na tej ojczyźnie kto mu się użali?

Gdy pacierz człek mówi, to nawet sam nie wie,
Czy dojdzie do Boga... Tu wszystko opacznie
Inaksze tu gwiazdy, ptak inny na drzewie.
A kiedy z drzewami rozhowor wiatr zacznie,
To nie tak jak u nas, co szepce lub wyje —
Tu — ryczy i szczeka, jak wściekłe bestyje!
Dziewczęta — myślicie? Oj! pomnę ja Hanię...
Częta, jak chaber! Tu — spojrz której w oczy,
A żarem z nich sypnie, aż w głowie się zmroczy...
A ludzie tutejsi? — Poprostu cyganie.

Oj! niosło nas morze szumiące, zielone,
Oj! niosło na mękę! Już my na okręcie
Nie mało cierpieli: lecz nam ludzie one,
Co kusić nas przyszli na to przedsięwzięcie,

Mówili, że tylko przeszkadza tak morze.
Że potem, z okrętu gdy człowiek wysiędzie,
Jak w raju się znajdzie... Raj? Skaranie Boże!
W tym raju zwierz dziki i gadu moc wszędzie,
Tu żre nas tęsknica, tu zjada nas nędza,
I twardy nas ciwun do roboty pędza.

No! ziemia to zawsze jest matka łaskawa,
Lecz ziemi tej darmo nie dają, ojcowie;
Nic tutaj nie dają! nas ciżba jest mnoga;
Każdego spytajcie, a każdy wam powie,
Że w piersi się bije, a modli do Boga:
»Daj wrócić nam, Panie! Do chaty, do ziemi,
Do starych rodziców — na chleb nasz razowy,
Do wioski ojczystej, na cmentarz wioskowy,
Daj wrócić! Daj pożyć i umrzeć ze swemi!«

Maciej Pukala.

Garść ziemi.

On rzucił ojców zagrody,
By w świat wyruszyć nieznany,
Pomiędzy obce narody
Ponieść niewoli kajdany.
Rzucił tłum bratniej drużyny,
I kłosy łąki kwiecistej.
Wziął tylko klejnot jedyny:
Garść czarnej ziemi ojczystej.

I płakał łzami tęsknoty,
Rzucając pola rodzinne,
I matki tkliwe pieszczoty,
Zabawy dziecka niewinne.

Wszystko, co w ziemi miał bratniej,
Znikło w przeszłości ciernistej,
Wziął tylko klejnot ostatni:
Garść czarnej ziemi ojczystej.

Burze mu przeszły nad głową
I nowe czucia przez duszę.
On zawsze duszy połową
Czuł inne, głębsze katusze:
Bo kiedy w chwilach natchnienia
Biegł myślą w świat promienisty,
Czuł w sercu ciężar kamienia:
Garść czarnej ziemi ojczystej.

I przebył lądy i morza,
Widział świat cudów nieznany,
Lecz siny błękit przestworza
I ciche ojców kurhany
Żałość mu w duszy budziły,
Za rajem łąki kwiecistej,
Skąd wziął z najdroższej mogiły
Garść czarnej ziemi ojczystej.

A gdy już śmierci godzina
Dni wędrownika przecięła,
I zimna, obca mogiła
W swoje go łono przyjęła:
Do grobu bratniej drużyny
Nad brzegiem góry śnieżystej
Dano mu klejnot jedyny:
Garść czarnej ziemi ojczystej...

Aleksander Krauthar.

Pożegnanie.

Więc odjeżdżacie za lądy i morza,
Rzucając ziemię ojczystą na wieki?...
Nie straszno-ż wam to puszczać się w bezdroża?...
Do obcych ludzi, w kraj dziki, daleki?...

Więc odjeżdżacie od ojców i braci,
Zrywając węzły z rodziną i krajem?
Myśląc, że obcy kraj za to zapłaci,
Że nowa ziemia stanie wam się rajem?...

I nie żal wam to waszej czarnej ziemi,
Co was lat tyle żywiła, jak matka?
Nie żal tej wiosny z nocami cichemi,
Z pieniem słowiczem i zapachem kwiatka?...

I nie żal wam to ukochanej wioski,
Cmentarza, co się krzyżykami jeży,
Kościółka, gdzieście nieśli wasze troski,
Kiedy się dzwony ozwały na wieży?...

Rzucacie wszystko?... Jedźcież, zaślepieni,
Gdy rada szczera wstrzymać was nie może...
Przejrzycie kiedyś, duch wyrwie się z ziemi...
Wtedy — ojczyźnie powróć ich o Boże!...

Karol Hoffman.

Powitanie.

I powrócili przez morza i lądy,
Ojczystej ziemi ujrzeli zagony,
Z serca im spadły naleciałe trądy,
Z pierwszym okrzykiem tutaj: »Pochwalony!«

I powrócili w wybitym szeregu,
Ci bez żon swoich, a tamci bez dziatek;
Jedne porwało morze w wiecznym biegu,
Drugie w obczyźnie uschnęły jak kwiatek!...
I powrócili — na niepewną dolę.
Bez gwiazd i jutra, śród swoich tułacze;
I powrócili na nędzę i bóle,
Na nowe trudy i na nowe płacze!...
Witajcie, bracia, marnotrawne syny!
Dziś wy już wiecie, co znaczy Rodzona,
Ona wróconych z dalekiej krainy,
Przytuli zawsze do swojego łona!...

Karol Hoffman.

Za chlebem.

Droga ziemio ojczysto! ukochany kraju!
Góry moje rodzinne! — ja wśród was zrodzony,
Czemuż muszę porzucać złotych marzeń strony,
Czemuż ptakiem przelotnym ciągnąć do wyraju?

W cudze kraje mi lecieć między obce ludy,
Drogich serca opuścić na długo, na długo,
Płynąć trzeba pod wodę bystrą losów strugą,
Walczyć z życiem i gonić marne szczęścia złudy!

Serce pragnie tu zostać pośród własnej braci, —
Gnane w światy przemocą oprzeć się nie zdoła,
Rozłączenie jednakże krwawą łzą opłaci...

Ty się pytasz, dlaczego w świat mi lecieć trzeba,
Rzucać ojców cmentarze, góry, lasy, sioła?
Krótko powiem: dla chleba, bracie mój, dla chleba!

Jerzy Żuławski.

Dla chleba.

Góralu! czy ci nie żal
Odchodzić od stron ojczystych!
Świerkowych lasów i hal,
I tych potoków srebrzystych —
Góralu, czy ci nie żal?

Góral na lasy spoziera
I łzy rękawem obciera,
I rzekł: »ha, darmo kiej trzeba!
Dla chleba, panie, dla chleba.

Góralu! wróć się do hal.
W chacie zostali ojcowie,
Gdy od nich pójdziesz w dal
Co z nimi stanie się — kto wie?...
Czyż ci tych starych nie żal?

A góral jak dziecko w głos płacze:
Och może już ich nie zobaczę. —
Ha, darmo paniczu, kiej trzeba!
Dla chleba, panie, dla chleba.

Góralu! nie odchódź, oj nie! —
Na wzgórku u męki boskiej
Tam płacze dziewczę twe —
Uschnie z tęsknoty i troski,
Gdy pójdziesz: — nie odchódź, nie!

On głowę zwiesił i wzdycha:
— »Oj, dolaż moja — rzekł z cicha —
I dziewkę porzucić trzeba
Dla chleba, panie — dla chleba!«

I poszedł z grabkami i kosą
W gunce starganej i boso
Precz poszedł w doliny — w dal
Góralu, żal mi cię, żal!

Michał Bałucki.

Góral.

Mój góralu, czem się smucisz,
Czemu blednie twoja twarz,
Czemu tak żałośnie nucisz
Piosnkę, płacząc, druhu nasz?

Dawniej wesół byłeś zawsze,
Dzisiaj smutny — już nie ten,
Twoje ruchy były żwawsze...
Dziś wciąż płaczesz, patrząc hen.

Gdzie Wisełka wązką rzeką
Płynie pośród dolin, gór;
A gdy patrzysz, łzy ci cieką,
Łzy jak gdyby pereł sznur.

Czy ci nasza nie w smak gleba,
Czy nie miły ci nasz kraj,
Bez uroku nasze nieba?...
Przemów, i odpowiedź daj!

— O nie! Kocham wasze łany!
Lecz dlatego czuję żal,
Że już muszę kij, łachmany
Wziąć i spieszyć w siną dal.

Bo już czuję koniec blizki
Mego życia, moich lat,
A chcę skonać tam, gdzie nizki
Stoi dom, gdzie ojciec, brat...

Wszak mi każdy z was to przyzna,
Że najmilej spocząć tam,
Gdzie jest własna ojcowizna,
A ja przecież dom swój mam.

C. M. O.

V.

Głód.

W chłopskiej chacie głód usiadł przy stole,
Żółte zęby wyszczerzył i zgrzyta...
Wszystkie ziarna wygrzebał w stodole —
Niemasz w śpichrzu pszenicy ni żyta!
A w gospodzie głód siedzi przy stole.

Siedzi głuchy na ludzką niedolę,
W oczy patrzy i patrzy i pyta —
Czemu bydła nie wygnano w polę,
Wszak na dworze już biały dzień świta.
Już dzień biały patrzy na niedolę...

Izba pusta... Na sosnowym stole
Stoi trumna z białych desek zbita —
W trumnie chłopskie spoczywa pachołę

Żółte ręce i twarz nieumyta —
Wielka żałość zastygła na czole
A przy stole głód siedzi i zgrzyta.

Edward Słoński.

Wiązka drzewa.

Wicher smutne gra piosenki —
Śnieżne płaty lecą z nieba,
W chatce tylko łzy i jęki:
Ani drzewa ani chleba!

Biedna matka drży i płacze —
Jak grób ciążą jej powieki!
Ojciec skończył dni tułacze,
I pod śniegiem śpi na wieki!

Chatką mroźny wiatr pomiata,
Szczelinami śnieg szeleści!
O! jak ziemia ta bogata.
I w niedolę i w boleści!

— Mamo, zimno! płaczą dzieci.
Patrz, my wszystkie pokostniały —
Lecz skąd dostać wśród zamieci.
Choćby drzewa wiązki małej?

Matka rzuca bólów łoże,
I pobiegła w bór głęboki.
O! miej litość dobry Boże!
Nieszczęśliwej wspieraj kroki.

Staje — łza na licu świeci —
I palcami skrwawionemi —
Drewek parę dla swych dzieci,
Od zmarzłej odrywa ziemi!

Uśmiechnęła się z radości —
— Toż na ogień dzieciom stanie!
Jakżeś pełen jest litości,
Jakżeś dobry dla nas Panie! —

Zarzuciła wiązkę drzewa
I powraca już do chatki.
Kruk grobową pieśń rozwiewa,
Jakby szydził z szczęścia matki.

Bieży — słabnie — w oczach ciemno
Mroczniej w duszy noc zapada!
— Panie! litość miej nademną,
Nad mą dziatwą — jęczy — blada!

Jęki zmilkły — a na śnieży
Wiatr gra tylko pieśni swoje:
Patrzę: matka martwa leży!
. . . . . .
W pustej chatce dziatek troje.

W. Bełza.

Sierota.

Dziś w kościółku zadzwoniono
Na pogrzebie matki,
A sierotę wypędzono
Z jej rodzinnej chatki.

Czy ją teraz kto przytuli
Do serca swojego?
Czy się znajdą ludzie czuli
Na bóle bliźniego?

Wicher szumi, noc zapada,
Tęskne płyną chwile:
I sierota drżąca, blada,
Płacze na mogile.

Darmo ręce swe wyciąga
Do kochanej mamy,
Wicher świstem jej urąga
Od cmentarnej bramy.

Gdy spojrzało słońce rano
Na sioło, na chatki,
Już sieroty nie widziano —
Była już u matki.

Bez dachu.

Noc się podniosła cała w mgłach i bieli,
I srebrnem tchnieniem owiała stolice.
I brylantowych iskier błyskawice
Roztliła w śniegów pościeli.

Kto miał ognisko własne i ramiona,
Co go czekały jak pieszczot ponęta,
Mówił do nocy tej »błogosławiona«!
Kto nie miał, mówił »przeklęta«!

A takich głosów było ach tysiące...
A wszystkie z zimna i zwątpienia drżące,
A wszystkie dziwnie przeraźliwe w ciszy...
O gwiazdy! czy Bóg je słyszy?

Patrzycie blade i ja patrzę blada.
Wicher się zrywa, śnieg zawiewa drogę...
O gwiazdy! jeźli która odpowiada,
Ja was dosłyszeć nie mogę...

* * *

O nocy srebrna! o nocy królowo!
Ty masz żelazne dla nędzarzy berło...
A mglistą śronów zasłonę nad głową
Spinasz zastygłych łez perłą.

O nocy! czyliż gwiazd tych z nieba
Pragnie ta ciżba wybladła i skrzepła!
Przez litość, słuchaj, wszak oni chcą chleba
I tylko troszeczkę ciepła!

Ach, gdybym była tobą, o królowo!
Największy brylant co w lazurach świeci,
Dałabym nędznym w tę zamieć śniegową
Na chleb i ogień dla dzieci...

I wiem, że niebo nie byłoby bledsze,
Gdyby za jednę tę gwiazdkę w błękicie,
Jasne źrenice, gdzie znów wskrzesło życie,
Świeciły łzami w powietrze.

O nocy! idziesz cicha, lodowata,
Nad czołem twojem skrzy śniegów korona.
A twoja srebrna, ciężka szata
Całunem jest dla miliona.

* * *

Przed bramą, w której płonęły latarnie,
Stanął chłopczyna w tę mroźną zawieję...
Biedny! on myślał, że go mur przygarnie
Że go ten kamień ogrzeje...

Lecz stróż drzwi zamknął na rygle i naraz...
Łzy się dziecięce jak perły rozsuły...
Gotów tu zmarznąć, a potem ambaras
Dla wszystkich... śledztwo... cyrkuły«...

Chłopczyna odszedł, płacząc. Tam w oddali,
Widać świątyni granitowe mury...
A po nad nimi mgła białych opali
A wyżej — lodowe chmury

I krzyż. Sierota uklęknął przed progiem,
W powietrzu śronów latały dyamenty...
Chciał wejść, lecz kościół był szczelnie zamknięty
Razem z litością — i z Bogiem.

Ach, gdyby Chrystus tu przebywał z nami,
Wiem, żeby chodził ciemnemi nocami
I zbierał głodnych, zziębniętych nędzarzy,
I tulił u swych ołtarzy...

* * *

Skostniałe dziecię szklanemi oczyma,
Patrzyło w niebo, gdzie mleczna lśni droga;
Chciał się skarzyć, lecz matki już nie ma,
Mówił zatem do Boga:

Ojcze nasz«... Boże, czy słyszysz to dziecię,
Co z nędzy zbielałe usta otwiera?
Ach, ono wierzy żeś mu Ojcem przecie
I z wiarą taką umiera!

Dziecię mówiło pacierz... a mgła srebrzysta
Z tchnieniem ust jego lekko się rozwiała,
Z razu gorętsza i błękitno-biała.
Później dziwnie przezroczysta

Wreszcie znikła... a w pół otwarte wargi
Przestały szeptać modlitwy i skargi...
W obec ciemnego milczącego gmachu
Dziecię skonało — bez dachu.

Marya Konopnicka.

Przed sądem.

Drobny, wychudły, z oczyma jasnemi,
W których łzy wielkie srebrne wzbierały
I gasły w rzęsach spuszczonych ku ziemi:
Blady, jak nędza, a tak jeszcze mały,
Że mógł rozpłakać się i wołać: matko!«
Gdyby miał matkę; i mógł stroić psoty,
I pocałunków żądać i pieszczoty,
I spać na piersiach ojca; a tak drżący,
Jak ptak wyjęty z gniazda, i już mrący,
Wiejski sierota stał w sądzie przed kratą.

A dziwną była ta sala sądowa:
Wielka i pusta, i ciemna i chłodna,
I bezlitośna, i łez ludzkich głodna,
I nigdy dla nich nie mająca słowa
Miłości bratniej, i taka surowa,

Tak spiskująca ławkami w półkole
Na ludzką nędzę i ludzką niedolę. —
Że Chrystus biały, co stał tam w pobliżu,
Zdawał się cierpieć i drżeć na swym krzyżu.

Przy winowajcy nie było nikogo...
I któżby bronił dziecięcia nędzarzy?
Chyba te wielkie dwie łzy, co po twarzy
Leciały jakąś pełną iskier drogą:
Chyba dzieciństwo, nędz pełne, sieroty,
I chyba tylko promyczek ten złoty,
Co mu przez okno upadł na głowę,
Jakby Bóg gładził włosy jego płowe.

Wszedł sędzia, spojrzał i rzekł: »Gdzie rodzice?«
»Nieznani« — odrzekł pan pisarz z powagą.
Chłopiec wzniósł zgasłe, błękitne źrenice.
I ściągnął świtkę na pierś swoją nagą,
Jak gdyby nagle od jednego słowa
Zdjęło go zimno i pustka grobowa...
Sędzia zadumał się, pochylił czoła
I spytał znowu: Czy w wiosce jest szkoła«.
— »Nie«. — Pisarz zwykle chmurny był w urzędzie.
Przytem — pytanie było jakoś dziwne...
Wahał się chwilę, czy właściwem będzie
Odpowiedź chłopca pisać w protokule;
Więc wyprostował palce swoje sztywne
I bębnił z lekka po szarej bibule.
A sędzia patrzył na drżącą dziecinę:
Na ręce nagie wychudłe i sine,
Na pierś zapadłą i nędzne łachmany!
Na blask tych oczu zmącony i szklany.

Gdzie przecież mogły odbić się niebiosy,
Za drobną główkę, gdzie myśl głucho śpiąca
Nie znała świata innego, prócz słońca,
innych wrażeń ożywczych, prócz rosy.

Dziwnym cieniem zaszło mu oblicze,
w piersi uczuł drżenie tajemnicze,
Jakby ta sala pusta była tronem,
Na którym przyszłość z czołem zachmurzonem
Zasiada, pełna klęsk i spustoszenia...
jakiemś grzmiącem i ogromnem słowem
Oblicza plony na polu jałowem,
Przed sąd wzywając całe pokolenia...
widział, jak szły gęste, ciemne tłumy
tamowały ruch globu w błękicie...
spostrzegł, pełny trwogi i zadumy,
Że były chmurą ogromną o świcie,
Przez którą przebić nie mogło się słońce,
I zmierzch nad ziemią trwał przez lat tysiące...
Widział, że tłum ten — to siła, stracona
Dla wielkich celów i dążeń ludzkości,
I czytał w groźnem spojrzeniu przyszłości,
Że chce rachunku z miliona...
I ujrzał nagle, że wydziedziczeni
Za społeczeństwa swego cierpią winy;
I przerażony — posłyszał w przestrzeni
Sądy — nad sprawąchłopczyny...

»Niechże was Chrystus — głos mówił — rozsądzi
Kto więcej winien: czy ten nieświadomy,
Co drogi nie zna i w ciemnościach błądzi?
Czy wy, co grube spisujecie tomy

Karnej ustawy, a nie dbacie o to,
By uczyć dziecię, które jest sierotą...
Niechże was Chrystus sądzi!«
Lecz krzyż czarny
Stał nieruchomy i cichy na stole,
Jako milczące wobec łez ołtarze...
A sędzia powstał, i szedł, gdzie pachołę
Blade czekało na wyrok surowy,
I dotknął ręką płowej jego głowy,
I rzekł: Pójdź dziecię! ja cię uczyć każę!

Marya Konopnicka.

Za służbą.

Przyszło bose, w brudnej koszulince,
I stanęło spokojnie u progu —
Chłopskie dziecię, dziewczę pięcioletnie,
Złotowłose, w twarzy żółte szpetnie,
Oczka żywe, choć pół płaczu w mince;
Wnet je ujrzał anioł mego domu.
— Co chcesz dziecię moje?
— Sława Bogu!
— Na wiek wieków — co chcesz dziecię moje?
— Ta, za służbą... o pies! ja się boję!...
— Pies ten złego nie robi nikomu —
Chodź tu bliżej, bliżej, — a czyja ty?
— Ta, niczyja.
— A gdzież matka?
— Zmarła maty.
— A twój ojciec?
— Ojciec w karczmie siedzi.

— Cóż ty robisz?
— Żywią mnie sąsiedzi.
Czasem dadzą, a czasem nie dadzą:
W zimie często do pierza posadzą,
Teraz nie... Pan Bóg mnie hoduje
Jagodami.... ot! człowiek bieduje...
— Jaki człowiek?
— Ta. ja. pani miła —
Źle na wierzchu ziemi być sierotą —
Ciężkie życie — lepiej gdzie mogiła.
Tam gdzie matka...
— O moje ty złoto!
Takie małe! tak mówi rozumnie —
To ty dziecię, ty chcesz służyć u mnie?
Cóż ty umiesz?
— Ta. chatę zamiatać.
Wodę przynieść...
— Figle umiesz płatać?
(Ono myśli długo) — Także umiem
A i ludzkie gęsi paść rozumiem...
— Czy ty głodna?
— O. o bardzo głodna...

* * *

O! ty ziemio polska! ty zawodna!
O ty ziemio polska! tak bogata.
Że wyżywić mogłabyś pół świata,
A dla własnych dzieci nie masz chleba·
Bujne twoje łąki. żyzne niwy.
Zawsze pełne rosy twoje nieba.

A podobnaś do popiołów urny,
I twój naród chodzi smutny, chmurny,
Często grzeszny ach! bo nieszczęśliwy.

O ty ziemio polska! ty zawodna,
Taka strojna licem i swobodna —
Grzybne twoje lasy, wody hojne,
Kwietne twoje sady, pszczoły rojne,
A dla większej części swego rodu
O! nie owoców już, ani miodu,
Ale nie masz nawet chleba, chleba!

Oto dziecko ledwie nie z kołyski
Smutne patrzy na twoje połyski,
Już dojrzałe, już nieszczęściem stare.
Rozwinęła już jemu potrzeba
Myśl i serce — i już traci wiarę;
Ledwie mówić umie, już się skarży,
I o grobie niby starzec marzy.
O ty ziemio! ty macocho gminu!

Gdzie me dzieci? chodź tu, chodź mój synu,
I ty drobny w pieluszkach — tu chodźcie!
Usta wasze uśmiechem osłodźcie,
Powitajcie tę siostrzyczkę waszą,
Ta co zmarła, równie była mała!
Niech was plamy w koszulce nie straszą,
Bo jak wasze białem jest jej ciało;
No rączkami twarz jej pogłaskajcie,
Ale najprzód jeść, o! jeść jej dajcie!!

K. Ujejski.

„Na gody.“

Pokiwali matuś głową,
Popłakali mało wiele,
Dali czapkę barankową,
Tatusiową kamizelę...

Dali łapcie z łyka szyte,
Za pazuchę kromkę chleba,
— Idźże, Jaśku, w świat szeroki,
Na wschód słonka, na wschód nieba...

Jeszczećbym ci w chacie rada,
Zbierzesz chróstu, dźwigniesz wody,
Ano kiedyż ci do ludzi,
Jak nie teraz, nie na gody?...

A godź-że się w dobrą chwilę,
W dobrą chwilę i godzinę,
Po wszelakiej należności,
Choć za zgrzebną koszulinę...

A zgódź-że się u bogacza,
W dobre słowo, w dobrą wiarę,
Jak przesłużysz, co się patrzy,
Da ci może buty stare...

A nie wracaj do chałupy,
Aż wyrośniesz mi z pastucha,
Aż wysłużysz na grzbiecinę
Siaki taki szmat kożucha«

— A i długoż mi, matusiu,
Na te buty służyć w świecie?« —
— »Aż cię, synku, bieda zgryzie,
Aż cię praca w dół przygniecie.« —

— A i długoż mi, mateńko,
Na ten kożuch służyć trzeba?« —
— »Aż cię Pan Bóg dojrzy, synku,
Z wysokiego swego nieba.« —

Idzie Jasiek po ścieżynie,
Co się spojrzy, to ją minie,
Co się spojrzy to się smuci —
Albo pójdzie, albo wróci...

Stara wierzba, jakby żywa,
Gałęziami za nim kiwa,
Czegoś skrzypi, czegoś biada
Dziw do niego nie zagada...

Oj! nie użył Jasiek w chacie,
Ani wczasu, ni swobody...
— Ano — kiedyż mu do ludzi,
Jak nie teraz, nie »na gody?«...

Marya Konopnicka.

A jak poszedł...

A jak poszedł król na wojnę,
Grały jemu surmy zbrojne,
Grały jemu surmy złote,
Na zwycięstwo, na ochotę...

A jak poszedł Stach na boje,
Zaszumiały jasne zdroje,
Zaszumiało kłosów pole,
Na tęsknotę, na niedolę...

A na wojnie świszczą kule,
Lud się wali jako snopy,
A najdzielniej biją króle,
A najgęściej giną chłopy.

Szumią orły chorągwiane.
Skrzypi kędyś krzyż wioskowy.
Stach śmiertelną dostał ranę.
Król na zamek wracał zdrowy.

A jak wjeżdżał w jasne wrota,
Wyszła przeciw zorza złota,
I zagrały wszystkie dzwony
Na słoneczne świata strony.

A jak chłopu dół kopali,
Zaszumiały drzewa w dali,
Dzwoniły mu przez dąbrowę
Te dzwoneczki, te liljowe...

M. Konopnicka.

Gęsiarz.

(Urywek.)

Urodził się na twardym tapczanie;
Kiedy podrósł, pasł gąski na łanie —
A że matuś prędko jakoś zmarli,
I rodzica prawie nie znał całkiem:
Źli ludziska z chaty go wyparli,
Grzbiet nakrywszy sukmany kawałkiem.

Więc pociechą były mu jedyną
Gąski i staw pokryty łoziną.

I nad stawem wierzbina rosnąca,
Z której kręcił fujarki nielada —
Puchy kwiatów, które wiatr potrąca
I to echo, które w borze gada.

Pasąc gęsi wiejskich gospodarzy,
Myślał nieraz, o czem łąka gwarzy
Takim szumem długim uroczystym,
Gdy wiatr wionie, czubki traw poruszy;
Skąd to niebo, co w stawie przejrzystym
Lśni błękitem i jasnością prószy.

Nikt nie spytał, czy ten kij pastuszy
Według jego myśli jest i duszy?
Jeno Magda przybiegała czasem,
Coś szeptała każdego wieczora,
Że aż ciarki uczuwał za pasem,
I uważniej patrzał na gąsiora.

Lat nie liczył, a te niespodzianie
Szybko zbiegły przy gąskach na łanie —
Więc zamarzył,... ot! jak marzy wielu...
Ale inną widać Bóg miał wolę:
Brzękły skrzypki na Magdy weselu,
Gdy on szare pędził gąski w pole.

Znały gąski swojego pastucha:
Gdy się zdrzemnął, gęgały do ucha:
Gdy się budził, na obszernym łanie —
Choć dzwoniły świerszcze i koniki —
Nieustanne gąsiora gęganie
Zagłuszało śpiew innej muzyki.

Włos mu zbielał — bo bieli niedola!
Wreszcie umarł przy gąskach wśród pola.
Nikt nie widział, jak czoła uniżył,
Jak się z ciałem duch marny rozprzęgał,
Tylko gąsior ostrożnie się zbliżył,
I żałosnym lamentem zagęgał.

Kazimierz Gliński.

Chłopskie serce.

W tłumie na mrozie stanęła pod ścianą
Okryta starą mężowską sukmaną.
Pół dnia już stała tak nieporuszona,
Bezwładnie oba zwiesiwszy ramiona.
Patrząc upornie na gmach, kędy w sali
Rekrutów strzygli i mundurowali.
W ręku ubogi węzełek trzymała —
Chudoba syna mizerna i licha...
Twarz jej wygasła, pożółkła, zmartwiała,
Jak pustka, była posępna i cicha.
I tylko usta zacięte, drgające
Jakiś krzyk duszy zdradzały ogromny,
Co mógł wybuchnąć dziki, nieprzytomny
I bić w niebiosa i wstrząsać to słońce,
Co bezpromienną i zimną swą głowę
Ukryło kędyś za chmury śniegowe.

Sąsiad przemówił do niej: »Pochwalony«!
Odrzekła na to jękiem jakimś głuchym....
Pierś jej w śmiertelnej podniosła się męce,
I znowu wzrokiem błyszczącym i suchym

Patrzyła na drzwi zamknięte, przed siebie.
O! pochwalony! O błogosławiony
Bądź ty mi Chryste, co przebite ręce
Rozciągasz ponad wieśniacze zagony
Z przydrożnych krzyżów! Tyś jest Bóg nędzarzy!
Ty liczysz kędyś w błękitnem swem niebie
Wszystkie gryzące łzy troski i bólu.
Co żłobią brózdy wśród zwiędłych tych twarzy!
O! pochwalony bądź, boleści królu!
W natłoku z trzaskiem otwarto drzwi sali:
On jeden tylko jest widny jej oku...
Jej Jasiek!... dziwne spostrzega odmiany...
Jakieś odblaski tragiczne, surowe
Padły już na tę obnażoną głowę,
Którą dziś jeszcze ocieniał włos lniany...
Klasnęła w dłonie i w oczy mu patrzy.
Podszedł w milczeniu. Był gibszy i bladszy.
A łzy, co kędyś pod sercem zaległy,
Wielkie i słone po licach mu zbiegły...
— »O matko! — Nie płacz! Pan Jezus przemieni...
— Tyś głodny: weź to, posil się na drogę«...
Chleb mu podała: wyjął nóż z kieszeni,
Odkroił kęsek i szepnął: Nie mogę!
Nie mogę, matko, sam!«... Jak chusta zbladła.
Lecz rozłamała chleb i z synem jadła.

A wtem wydano ostatnie rozkazy.
Marsz zabrzmiał. Jakieś zmieszane obrazy
Łąk, pól i lasów i chaty i wioski
Powiały razem z dźwiękami tej nuty.
— Hej!... Nie zobaczyć już tego w żołnierce! —

Powstał zgiełk i lament... Jaśka tylko matka
Bez łzy, bez skargi trwała do ostatka,
Zwróciwszy oczy smutne, pełne troski,
Na drogę, którą miały iść rekruty...
Nagle, jak gdyby zawiodła ją siła,
Syna rękoma za piersi chwyciła...
— Dziecko!...« krzyknęła raz tylko i zbladła:
I zatoczyła się — i martwa padła...
Mówiono, że jej pękło chłopskie serce.

M. Konopnicka.

Zwierzyna.

— »Strzelcze! hej panie strzelcze! co chcesz za kwiczoła!«
Na rynku małe chłopię tak na strzelca woła.
Dogania go z pospiechem, a strzelec wąsaty
Popatrzył na twarz chłopca, na odzieży szmaty,
I pomruknął niechętnie: »Ha piękna mi przedaż,
Co ja chcę, to chcę, malcze, ty mi pewno nie dasz,
Dwa złote!... nie dla ciebie, to zwierzyna droga.«

— »Dwa złote! dobry strzelcze! bój się Pana Boga,
Mam dwózłotkę, to prawda, lecz mi reszty trzeba,
Idę kupić dla braci mleczywa i chleba,
I zanieść do apteki ten przepis doktora,
Bo widzisz, panie strzelcze, moja matka chora,
Na dzień dwie łyżki strawy za pokarm jedyny,
Pan doktor kazał warzyć rosół ze zwierzyny.
Mój ojciec stary cieśla — a my nie bogaci,
Przedaj mi za złotówkę, a Bóg ci dopłaci!«

— »Jak żyję, nie słyszałem«, rzekł strzelec wesoły,
»Aby pani cieślowa miała jeść kwiczoły.
Na chorobę jest u mnie recept doskonały.
Powiedz matce, niech palnie kieliszek gorzały.
Ja za złoty nie strzelam ptactwa dla biedaków,
Nabój drożej kosztuje, nie licząc już kłaków.«

— »Hej strzelcze! zbliż się tutaj! co chcesz za kwiczoła?«
Tak z błyszczącej kolaski jasny pan zawoła,
— Pięć złotych, jasny panie, i groszy dwadzieścia,
Teraz strasznie zwierzyna podrożała w mieście,
A wyszukać a zabić, wielką miałem pracę.«
— »Strzelcze! ja ci półtora, ja ci dwa zapłacę,
Oddaj mi!...« mówił chłopak bolejącą mową,
»Sam mówiłeś dwa złote!... a gdzież twoje słowo?«
— »Czego chce ten ulicznik?« rzecze pan z kolaski,
— Łaski! Wielmożny panie! proszę małej łaski,
Pozwólcie mi u strzelca kupić tę zwierzynę,
To mojej chorej matki lekarstwo jedyne,
Doktor kazał!...«

— »Doprawdy! czy masz młynka w czubie?
Uważasz, mój kochany! ja kwiczoły lubię,
Teraz w jesieni tłuste, przewyborne jadło!
I bardzo mię to cieszy, że kupić wypadło.
A wam na co kwiczoły? czy wy smak ich znacie?
Oszczędność w waszym stanie, oszczędność mój bracie!
Dla chorej matki klejek... niech doktora spyta,
Można trochę posolić, to rzecz wyśmienita,
Zdrowa i niekosztowna... wyzdrowieje stara.«
To mówiąc pan strzelcowi zapłacił talara,

Wziął kwiczoła i skinął swem pańskiem obliczem:
Dziecię w płacz — stangret spojrzał i smagnął je biczem.

Kolaska się po bruku potoczyła żywo,
A strzelec do gospody wyruszył na piwo,
A ubogie pacholę z dwuzłotką w dłoni
Stoi jak skamieniałe i łzy ciche roni.
Ostąpili je wkoło uliczni krzykacze,
Patrzajcie, jak on płacze... jak on śmiesznie płacze.

* * *

Coś w tydzień... na mogiłki trzy trumny przynieśli:
W jednej leży w łachmanach biedna żona cieśli.
W drugiej wąsaty strzelec, co w podpitej dobie
Przypadkiem trącił w strzelbę i pierś strzaskał sobie.
W trzeciej trumnie wspaniałą karawaną jedzie
Pan, co kostką kwiczoła zdławił się w obiedzie.

Nędzarzy zakopali do ziemi koleją,
Panu stroją katafalk i psalmy zań pieją;
A tam... w krainie duszy, Archanioł już woła
Przed najwyższy trybunał sprawę o kwiczoła.

Wład. Syrokomla.

Żebrak.

Noc była ciemna, zamieć, ślizgawica.
Szedł jakiś młodzian porządnie ubrany.
Wtem, jakby na złość, gdzie wązka ulica.
Stoi staruszek, okryty łachmany,
I żebrze. — »Wstydź się, czyż to żebrać pora?
Któżto jałmużny prosi śród wieczora?«

— Panie! po licu mojem spojrz wybladłem,
Daj mi grosz jaki, jeszcze dziś nie jadłem.«
— Ej! daj mi pokój, nic nie mam, nie mogę«,
Ofuknął młodzian i szedł w dalszą drogę.

Idzie i myśli: »Oj! znam was, filuci,
Miejscy próżniacy, ze wstydu wyzuci:
Wziął lichą odzież, aby litość wzbudzić,
I lezie gwałtem, aby co wyłudzić.«

Idzie, znów myśli: »Można w gniewie zbłądzić,
Nie trzeba nigdy źle o bliźnim sądzić.
A może biedny, może ma i dzieci?
Zajdę, gdzie w bramie tej ogień się świeci,
Dam mu co...« Zaszedł, lecz coś szukał długo;
»Nie mam nic drobnych... dam mu razą drugą...
Słabość jest, zbytnią unieść się szczodrotą,
Nie tak to łatwo nabywa się złoto.

Idzie, znów myśli: »Choćbym dał dukata,
Nie wielka dla mnie byłaby strata:
Wszak mam ich kilka, a bez mej pomocy
Może staruszek ten i umrze w nocy.

Lecz gdzież już wracać? — spóźnię się na wiska...
Ale biednego tego głód przyciska...
Wrócę się!« — Wrócił. Ledwie dał trzy kroki,
Umilkło, księżyc błysnął przez obłoki:
Bieży młodzieniec, dziwiąc się tej zmianie:
Bieży, gdzie stoi staruszek przy ścianie.

Dał mu dukata. — »Ten, co rządzi w niebie,
Oby dla ciebie był też litościwy.
Oby cię wspierał, gdy będziesz w potrzebie...«
Westchnął i zniknął staruszek sędziwy.

Zdziwiony młodzian patrzy do około,
Lecz nic nie widać wpośród nocnej ciszy:
»Któż jesteś, starcze?« — przelękły zawoła.
Wtem jeszcze taki w powietrzu głos słyszy:
»Co dasz ubogim, synu mój, nie zginie;
Oddam ci w sądu straszliwej godzinie.
Uważać każdy twój krok dobroczynny
Do mnie należy: lecz jest anioł inny:
Zbiera, co trwonisz, rozrzucasz daremnie:
Pomnij! by więcej nie zebrał odemnie.«

A. Górecki.

VI.

Do granicy.

Zaparli chałupę.
I »befel« gwoździem na wrótni przybili.
Więc dzieciąteczka zgarnęłam na kupę.
A najmłodsze, co płacze i kwili,
Jak ten wróbelek — dźwignęłam na ręce.
I tak powiodłam to stadko jagnięce
W świat, gdzie poniosą oczy...
Patrzę: — z dachu
Jaskółka drobna za nami wyleci.
A że nie miała od ludzi przestrachu,
Więc się z szczebiotem poniesie nad dzieci,
Jakby żegnając właśnie... A był ranek
Zimny i wiatr nam zawiewał do kości.
A słońce tlało jak lichy kaganek,
Tak już sam Pan Bóg uskąpił jasności
Na onę drogę smętną...
— Szłyśmy razem
Kobiety z dziećmi żałosną gromadą.
Za nami pobok straże konne jadą,
I klną i dziatwę drobną biją płazem.
Nagląc do drogi...

— Byłaż to godzina!
Rodząca bólów swoich zapomina.
Ale mnie owej nie zapomnieć chwili,
Kiedy nas żywym murem otoczyli,
I z trzech stron słońca zamknęli nas ścianą
Łbów końskich, białą parskających pianą.
Za nami wioski nasze i sadyby,
Pola, ogrody, pasieki i łąki —
A my tu gnani, jako te skowronki
Z gniazd wyrzucone, albo z wody ryby.
Jezu Ty Chryste!...
Odwrócę ja głowę,
Żeby raz jeszcze popatrzeć na oną
Chatę, obórkę, na sady wiśniowe,
Na wdowią rolę trójpotem zroszoną,
A ta mi strzecha stanęła jak złota,
W oczach, a na niej dwa gołębie siwe,
Jakby ze srebra... A wszystko od płota
Aż do żórawia, co moknie w studzience,
Wydało mi się, jakby było żywe,
I jakby do mnie wyciągało ręce...
Patrzę ja pilnie, aż moja Bielicha,
Moja krowina, com ją zaprzedała,
Stoi a ryczy, a choć w trawie stała,
Nie posięgała się przecież do jadła,
Tylko za nami patrzy się, a wzdycha,
Właśnie jak człowiek...
Dziw, żem tam nie padła.
Taka mnie żałość zdjęła. Wszystko moje
Tam się zostało, a ja tu przed siebie,
Jako gąseczki, dzieciątek tych troje
Zaganiająca, o głodnym szłam chlebie

Między tych matek żałosnym narodem...
A one liche sieroty nie wiedzą,
Że już ostatni to kąseczek chleba,
Co go z zagona osiadłego jedzą,
Z własnego ziarna, z pod własnego nieba...
Tylko najstarszy, co w kupce szedł przodem
I niósł na kiju ojcowską sukmanę,
Miał liczko, jakby zadumane,
I oczy jakby we łzach pływające,
Ile się razy obrócił na słońce...
A bliżej koło mnie
Szła gadająca z sobą nieprzytomnie
Staruszka, jako ta turkawka siwa,
Trzęsąca głową, ślepa, ledwo żywa,
I drogi sobie kijem szukająca,
I jak osiki listek cała drżąca.
Więc że jej stare nie służyły nogi,
I zostawała w tyle za innemi,
Popchnął ją żołnierz... Upadła wśród drogi,
A gdy ją ludzie podnieśli, na ziemi
Tak odcisnęło się jej wyschłe ciało,
Jak w Weroniki chuście, i zostało,
Jak pieczęć krzywdy naszej przyłożona
Pod okiem Boga do ziemi tej łona.
Jak kamień ciężkie, jak węgiel gorące
Było dzieciątko na rękach mych śpiące,
A tu ni stanąć, ni siąść, choć pod miedzą,
Choć na kamieniu, jako pliszki siedzą,
Albo jak kawki w polu...
Dalej! Dalej!...
Aż nas na rozstaj pod wieczór przygnali.

A na rozstaju był krzyż. Więc się owe
Niewiasty z płaczem do niego rzuciły,
A gwiazdy weszły na niebo czerwone,
Jak krwawe Boże łzy — i tak świeciły.
O Utajony na krzyżu, o Chryste!
Najlichszej muszce naznaczasz uchronę,
I ptaki wracasz na drzewa ojczyste,
A nasze gniazda zburzone?...
O Utajony na krzyżu, o Panie!
Mróweczkę strzeżesz w mrówczanym jej gmachu,
I liszce w norze obierasz mieszkanie,
A nasze głowy bez dachu?...
O Utajony na niebie i ziemi!
Ty wiosną domki budujesz ślimacze...
Myż tylko sami pomiędzy wszystkimi
Mamy być wieczni tułacze?...

. . . . . .

Ustał płacz niewiast, i tylko się z cicha
Tu, owdzie, łkanie stłumione zaniesie.
A las w oddali to szumi, to wzdycha,
A wicher jęczy i wyje po lesie...
W mchu utuliłam zziębnięte dzieciny,
W nieboszczykową odziawszy sukmanę.
Ale najmłodszy nie spał, a był siny,
Oczy otwarte miał i jakby szklane,
I po powietrzu rączkami się chwytał.
Do domu wołał i o coś się pytał...
A już od rana plątało się przy mnie,
Drżące w chustczynie nędznej na tem zimnie,
Dziewczątko drobne, może siedmiolatka.
Więc rzekę do niej: A gdzież twoja matka?

— Pomarli matuś — odrzecze mi na to.
— A ojciec? — Tato? pomarli i tato...
— Cóż ty robisz? — A mnie wypędzili.
Precz mi kazali bieżeć za innemi...
I jak to kurczę, głowinę pochyli
Na bok i do snu skuli się na ziemi.
Więc ją fartuchem okryłam, i wstałam,
I patrząc na to sieroctwo — nie spałam.

. . . . . .

Trzy dni my takie i trzy mieli noce.
Gwiazdy nas kładły i gwiazdy budziły...
A ze mnie wyszły ostatnie już moce,
I duch i wszystkie ze mnie wyszły siły,
Com je dobyła z siebie, niosąc dzieci
Jedno po drugiem przez dwa dni i trzeci.
A było już ich jako w koniczynie
Onych listeczków — trojgo... A ten czwarty
Zastygł mi w ręku i poszedł w olszynie
Cudzej, pod krzyżem odprawować warty,
I czekać aż mu pióreczka odrosną,
Żeby do domu zaś odlecieć wiosną,
Jako ten gołąb, co nie chce od strzechy
Odstać, a indziej zażywać pociechy...
W białym on piasku bez trumienki leży
Na cudzej miedzy i leśnej rubieży,
I tylko po nim rozchodnik ten pnie się
I ta kukułka mu kuka po lesie...

. . . . . .

. . . . . .

Krwawemi łuny wschodziło nam rano
I tej granicy, do której nas gnano.

A choć nas rosy przejadły ziębiące,
Nikt się nie cieszył, że wschodzi to słońce,
Które nam obce i zimne się zdało.
Gdy tak na nędzę naszą patrząc — wstało.
Pokulbaczyły swoje konie straże,
I znów nas innym strażnikom oddały.
A teraz wrócą tam, gdzie są cmentarze
Zamiast tych wiosek naszych, co się śmiały
Białością domostw i sadów zielenią...
A dziś zczernieją od łez i tak zmienią
Tę jasność swoją od klątw, co tam lecą,
Że nie rozśmieją się już, nie rozkwiecą,
I będą stały przed Bogiem — jak groby,
Pełne tej krzywdy naszej i żałoby...

. . . . . .

. . . . . .

A teraz choć dzień, jest mi w oczach ciemno,
I nie wiem sama, czy ten świat przede mną
Będzie mi kiedy ojczyzną i domem.
A jestem dzisiaj przerażona gromem,
I oderwana od piersi tej ziemi,
Co mnie zbożami karmiła swojemi,
I słońcem swojem cieszyła mi duszę...

. . . . . .

A to wiem, że tu żyć i cierpieć muszę.

. . . . . .

Marya Konopnicka

Grobowiec na granicach Syberyi.

Obyście nigdy nie znali tych krajów,
Gdzie wieczna zima mrozem ścina duszę.
Gdzie gwałt i hańba — męczarnie — katusze
Prawem narodu — godłem obyczajów:
Obyście nigdy nie znali tych krajów!

Między wiecznością i życiem doczesnem,
Jeżeli wiara i nadzieja nie snem,
Zbawienia chwila jest w skonu godzinie;
Ale kto na wschód z zachodu popłynie,
Ten niech nadziei powrotu zaniecha!
Ach, kto raz nogą dotknął tej granicy,
Temu zagasła nadzieja — pociecha!

Dziś nowy tysiąc prowadzą z zachodu.
Są to ostatnie pamiątki narodu,
Który żył chwilę i zginął śród życia;
Są to ostatki okrętu z rozbicia
Płynące — kędy — żagiel burzy spycha.
Każdy w kajdanach wiedziony przez kata:
Ubiór ich — płachta podarta i licha,
Gospodą — w śniegach zakopana chata.

Młodzi są wszyscy — a przecież już godłem
Starości każdy dotknięty na twarzy;
Oko bez ognia — twarz blada i cicha —
Myśl, widać z oczu, o przeszłości marzy,
Pamięć jedynem serca, ducha źródłem.

Upływał trzeci tydzień ich podróży.
Połowa w drodze zasypana śniegiem
Zmarła na zawsze — a reszta najdłużej
Jutro w Syberyi! — Nad Uralu brzegiem
Stanęli dzisiaj ostatnim noclegiem!

Noc była mroźna — na ziemi szeroko,
Jak tylko może sięgnąć ludzkie oko,
Blado — okropnie — i na niebie blado.
Gwiazdy w mgle nocnej wisiały bez blasku;
W około śpiących przy ogniska trzasku
Sterczały piki — tu znużone stado
Tatarskich koni, grzebiąc mech kopytem,
Błądzi po polu — dalej straż kozacka —
Księżyc się czasem za Uralu szczytem
Pokaże nagle, to ginie znienacka. —
Jutro znów pochód za najbliższym świtem.

Zasnęli — cicho — szczęk kajdan i broni
Czasami tylko niewyraźnie dzwoni;
Albo przez usta senne niewolnika
Imię się jakieś na wiatry wymyka.

. . . . . .

Dwóch przecież nie śpi — na starszego łonie
Młodszy — brat może — głową swą oparty.
Leżał i milczał. — Starszy łzy na stronie
Długo ocierał — w końcu płaszcz podarty
Z siebie zdjął nagle — drżącego ciało
Okrywa — tuli — lecz milczeli oba.
Jednemu pewnie na słowo nie stało,
Drugiemu usta zamyka żałoba.

Usta milczały — lecz usta milczące
Język uczucia mają za rozmowę.
Tkliwszą nad zimnych wyrazów tysiące!
Tak więc na głowę swego przyjaciela
Przyjaciel starszy opuszcza głowę,
Tchnieniem gorącem tchnienia mu udziela.
Usta przycisnął słodkiem całowaniem.
Rękę uścisnął ręką swoją drżącą: —
Onby chciał ducha — życie i gorąco
Wyciągnąć z siebie i rozesłać na nim!

»Ty mnie nie kochasz — umierasz bezemnie!«
Rzekł wreszcie z płaczem ów starszy młodzieniec —
Gdym cię rodzicom wydzierał tajemnie.
Ze mną męczeński chciałaś dzielić wieniec,
Ze mną przysięgłaś żyć, umierać razem! —
Ucisz kochanka jedynym wyrazem,
Powiedz, że żyjesz — że kochasz — żeś moją! — «
Próżno! — Przelotny na licach rumieniec
Błysnął na twarzy, jak w nieba przezrocze
Zachodniem słońcem chmury się ustroją,
I znowu czarne — w słup zbłądzone oczy,
Skryły się nagle w powiece otwartej;
Usta jej sine — przestała oddychać — — —
Ale i żalów kochanka nie słychać. —

I cicho znowu — aż zrana, gdy warty
Znak do pochodu dały obozowi,
Gdy niewolnicy stanęli gotowi,
Dwóch tylko z miejsca swego się nie ruszy;
Przybiegli — patrzą obaj bez duszy.

Zakrzepłe ręce trzymały się silnie,
Usta spojone w całowaniu stygły.
Oczy na siebie wytężone zgasły.
I tak są razem — jako nieomylnie
Żelazo leci do magnesu igły,
Albo w bój hufce, znajomemi hasły! —

Śród dzikich stepów grób im wykopano.
Grób ich granicznym zostanie kamieniem;
Może i kiedyś zbawcami zostaną!
Bo słońce swobód, wiecznem przeznaczeniem,
Miłości ofiar wygrzane płomieniem.

Stefan Garczyński.

Zesłaniec.

Przez niezmierzone śnieżne morza,
Jak łódka płyną moje sanie,
A chrzęsty śniegu z pod połozów
Brzmią w moich uszach, jak wołanie
Dalekie, ciche...

Na step daleki, na wygnanie
Przez nieskończone śnieżne morza
Wiozą mnie szybko moje sanie,
A na zachodnim nieba krańcu
Dogasająca płonie zorza
I śle mi uśmiech swój ostatni.

I pyta mnie wieczorna zorza:
Gdzie twoja ziemia, o wygnańcu,
Na którym końcu, którym krańcu?

Czegóż ci w obcym kraju trzeba?
Czy w twojej ziemi braknie chleba.
Czy w twojej ziemi wyschły wody,
Czy w twojej ziemi srogie głody?
Czy po twej ziemi chodzi nędza
I na kraj świata was wypędza?

I odpowiadam w duszy mojej:
Tam moja ziemia na zachodzie
Błyszczy w przecudnej swej urodzie.
I są w mej ziemi ludne grody,
I są w mej ziemi szumne wody,
I są w mej ziemi bujne zboża —
A jednak jadę na wygnanie,
I przez pustkowia i bezdroża
Wiozą mnie rącze moje sanie.

Zamilkła przedwieczorna zorza
I przez łzy do mnie się uśmiecha,
A w tym uśmiechu krew się sączy,
I głuchych płaczów szumią echa,
I pogrzebowe jęczą dzwony,
I świat się modli zrozpaczony
W przestrachu kaja się i korzy...
Krwawo się płoni uśmiech zorzy.
Wówczas ujrzałem, że pustynia
Staje się blada, jak martwica,
I śnieg jej trupi, coraz bladszy,
Jak chłodem śmierci ścięte lica
Zgasłemi oczy na mnie patrzy.

Jakby smagane biczem trwogi
Szybciej pomknęły moje sanie.

I chrzęsty śniegu z pod polozów
Zabrzmiały w uszach, jak wołanie
Dalekie, ciche... ach dalekie...

Henryk S. Kamieński

List z Sybiru.

Mamo! Piszę do ciebie list! Czy go czytać
Będziesz? Nie wiem! czy dojdzie? Nie wiem! Chciałbym spytać
Kwiatka, jak to się u nas wróży listków rwaniem.
Ale kwiaty umarły pod śniegu posłaniem.
I o losie tej kartki żaden mi nie powie!
Mamo! jak to okropnie, gdy w słowo po słowie
Kładę serce swe! duszę! ach całego siebie!
A nie wiem, czy tak chociaż powrócę do ciebie!
Mamo! jak to już dawno! jak dawno się zdaje,
Gdym cię żegnał! Ta chwila, jak we mgle mi staje
Przed okiem, zapatrzonem tam, ku naszej stronie!
Widzę twoje rozpacznie wyciągnięte dłonie!
Widzę ruch ten, gdy chciałaś, z bólu obłąkana
Przed potworem dymiącym runąć na kolana!
I ten wieczór i słońce, gasnące szkarłatnie!
I jękiem rwie mi serce „Pamiętaj!« ostatnie!

„Pamiętaj!« Mamo! Ile w tym jednym wyrazie
Jest męki! gdyby wyryć słowo to na głazie
I kazać mu pamiętać, z żalu głazby spękał!
Niema dnia! niema nocy, bym we łzach nie klękał.
Powtarzając: „Pamiętaj!« straszne jak przekleństwo!
O, matko! jeśliś chciała dać błogosławieństwo

Bym, żyjąc i konając, nie cierpiał ogromniej,
To było mnie pożegnać, wołając »Zapomnij!«
Piszę rankiem. Śnieg zawiał okienka mej chaty
W izbie mroźno i szaro. Jakiś gość skrzydlaty
Przed zimnem do lepianki schronił się — i ćwierka.
Ja piszę, a ptaszyna z pod pułapu zerka
I widzi, jak na papier ciężka łza mi kapie...
Sople wiszą lodowe u ścian na okapie,
I stary mój kożuszek srebrzy się od szronu...
Jak głucho! bicie serca słyszę jak głos dzwonu!...

Co tu robię? jak żyję? Nie wiem, jak nakreślić,
Że patrząc — nie chcę widzieć! — myśląc, nie chcę myśleć!
Że pomiędzy tem wszystkiem, co mnie tu otacza
Rzeczywistość — i sprawia, że złudzony snami,
Chodzę z niewidomemi, jak ślepiec, oczami
I dzień po dniu przeżywam i chwilkę za chwilką
Tem, co mam wewnątrz siebie! I tak trwam tem tylko!...

Ludzie nie są źli tutaj! jest w nich jakaś szczera
Litość. Nieraz chłop prosty tak na mnie spoziera,
Jak ja patrzałem kiedyś na piskle bezdomne!
Nieraz, gdy wyjdę z chaty na śniegi ogromne,
Zakrwawione od zorzy polarnego nieba, —
Na progu pieniądz srebrny albo krążek chleba
Położy jakaś dobra, niewiadoma ręka! —
Jem ten chleb, gdy to piszę — i serce mi pęka!

Znalazłem na dnie kufra twój »Złoty Ołtarzyk«,
Tyś go włożyła, mamo! To mój relikwiarzyk!

Schowałem go na sercu i chodzę z nim wszędzie!
Jak ty przeczułaś mamo! czem mi tutaj będzie
Ta książka: jakby żywą i drogą osobą!
Po polsku z nią jedynie rozmawiam — i z sobą!
I codzień na te pustki drętwe, nieskończone
Idzie moja modlitwa: »Pod Twoją obronę!«

Mamo! Napisz mi wszystko! Czy tak samo z rana
Gra srebrna sygnaturka u świętego Jana?
Czy jednako pod zamkiem pluska Wisły fala?
Czy słońce zawsze najpierw płomienie zapala
Na kolumnie Zygmunta, wprost naszego domu?
Czy pieśń z Fary, jak echo dalekiego gromu,
Bijąc w niebo milczące, brzmi po staroświecku?
Pytam, jak dziecko małe... Odpowiedz jak dziecku!

Ach mamo! jak mi tęskno! A śnię co noc prawie,
Żem w kraju; nasz pokoik widzę, jak na jawie!
Staś kłusuje na krześle z pałasikiem w ręku,
A w kącie ja i Zosia gwarzymy oboje. —
Budzę się, ale oczu otworzyć się boję,
I chciałbym usnąć jeszcze, by ujrzeć to samo...
Jaki to żal okropny! jaki to żal, mamo!

Zosia!... Nie mogę o tem... Mamo! Powiedz Zosi:
Niechaj zapomni! Powiedz, że ją o to prosi
Umarły! Niech zapomni i niech mi przebaczy,
Żem prócz niej, kochał kogoś bardziej — choć inaczej!
Stasia ucałuj, mamo! Mów z nim często o mnie!
Mów jak jest! choćbyś miała zasmucić ogromnie
Tę duszyczkę tak jasną, jak jego oczęta!...
Zosia niechaj zapomni! lecz on niech pamięta.

Mamo! Bądź zdrowa, mamo! Niech Boża opieka
Będzie nad wami! Pozdrów każdego człowieka!
Mur każdy! wszystkich! wszystko! Pozdrów jak od
brata!
Mamo! Ja piszę do was, jak z tamtego świata,
Bo, jak stamtąd — nie wrócę! Ach, jakie wrą wojny
W mem sercu! Chciałbym zwalczyć! Chciałbym być
spokojny!
Ale, kiedy pomyślę: Nigdy! nigdy! nigdy!
O, mamo!...

Or-Ot.

Skarga Żmudzinów.

Śpi ciche sioło, w bory otulone...
Bój męczenniczy kona już do koła;
Ale powstańcy nie weszli w tę stronę,
Choć za nich modlą się po chatach sioła,
Bo — wbrew podchwytnym obiecankom cara —
Wiąże ze swymi krew, serce i wiara.

Śpi ciche sioło marząc, czy o świcie
Bóg ześle słotę lub słonko zapali?
Noc ciemna wdziała szarej mgły okrycie...
Wtem psy zawyły — i oddział Moskali
Wysunął z boru jak dzik z trzęsawiska,
Przystanął i kłami bagnetów błyska.

— Rebiata! spędzić mi z chat wszystkich chłopów.
Kolb i nahajek wsypać dobrą miarę —
Ciemno! — zapalić chat i stodół parę —
I do płomieni nie żałować snopów!

Kazał oficer. Dla carskiej rebiaty
Mordować śpiących, bezbronnych — to święto!
Dziki śmiech z jękiem wstrząsnął wszystkie chaty.
Jakby psów sfora, szczuta krwi zachętą,
Pędzą w pół-nagich, zwleczonych z pościeli,
Co się tak nagle i krwawo ocknęli,
Mężczyzn, niewiasty, starców, drobne dzieci —
A pożar z czterech rogów sioła świeci.

Księdza, powstańca, skryliście zbrodniarze!
Wrzasnął oficer, krwawiąc ludziom twarze.
Próżno zaklina się trwożna gromada,
Próżno mu niewiast kilka do nóg pada.

— Milczycie? Dawać tu pałki i pletnie!
Zaraz się język buntowników przetnie.
Baby pletniami, a na chamów pałki.
Zimno! Rebiata palnijcie gorzałki!

Ciało w kawały rwą pałki i pletnie!
Lecz nic nie wiedząc, biedni męczennicy
Jękami tylko mówią.
— Szubienicy
Na buntowników! Ot ich krzyż w pobliżu!
Będziemy wieszać psów na ich psim krzyżu! —
Pieniąc się, wołał do rycerskiej roty
I do kozaków porucznik piechoty.

. . . . . .

— Unteroficer! zaczniemy od dziada!
Będziesz mu brodę po włosku wyrywał.
A gdyby jeszcze dziad nic nie wyśpiewał,
Bierz go na stryczek, wnuczka się wygada:

Choć blada, chuda, przyłóż jej nahajki
Ostro — a teraz daj ognia do fajki! —
Unteroficer miał w tych dziełach wprawę,
Lecz gdy mu na dłoń z siwych włosów pękiem
Krew zabryzgnęła, gdy z nieludzkim jękiem
Zemdlony starzec upadł na murawę,
Kat wspomniał chatę rodzinną daleko...
I na jej przyzbie własnego rodzica
Z takimże włosem bieluchnym jak mleko.
Z takąż zadumą zgrzybiałego lica —
Więc zadrżał, zimny pot z czoła ociera.
Opuścił ręce w osłupieniu głuchem...
Porucznik za to dał mu w twarz cybuchem.
Aż zbił trzy zęby unteroficera.

Na miejsce jego wbiegł kozak opiły.
Z bydlęcym śmiechem schyla się ku ziemi.
Lecz już trup tylko z oczyma szklistemi
Leżał tam sztywny, krwawe łzy broczyły
Lice i świtę... Kozak stryczek wkłada
Na szyję trupa.
Nagle wystrzał pada
Bliskiej pikiety — i człowiek wysoki
W łachmanach, blady, pospiesznemi kroki
Idzie od krzyża.
— Hej rebiata do mnie!
Zasadzka! Wszyscy stać w wojennym szyku
Wołał zmieszany Moskal nieprzytomnie.

— Sam jestem, nie drżyj carski rozbójniku.
Księdza-powstańca w tych borach szukacie,
Ścięcie go wczoraj przy spalonej chacie

Spotkali — lecz wam zniknął w oczerecie...
Jam ów ksiądz, próżno tutaj mordujecie
Niewinnych ludzi.
— Jak przed sądem Boga.
Za chwilę pewno z ciała się wyzwolę,
Przysięgam, nigdym nie postał w tem siole.
Jam wasz wróg — mnie więc morduj jako wroga.
Wszak tylu lepszych padło dla swobody.
Lecz nie męcz biednych, nie pal im zagrody!

W oku Moskala zabłysły pochodnie
Dzikiej radości — tak patrzy złoczyńca,
Kiedy bezkarnie może spełnić zbrodnię,
Wilk musi patrzeć, kiedy śród gościńca
Ujrzy za końmi opóźnione źrebię.
Połknął dym z fajki, rozśmiał się do siebie...
— Chcesz się poświęcić za chłopów, ty sztuka
Harda — rzekł — mnie twój wybieg nie oszuka.
Żeś w siole nie był, wierzę, ale wiedział.
Bratku, ktoś z sioła, co ty w boru siedział.
Ja rozkaz spełniam, sioła nie wybawię,
Na popiół spalę, zamęczę gromadę...
Słuchaj — rzekł ciszej — wiem jedyną radę:
Chyba, że zechcą przejść na prawosławie.
Ty nie, bo ty masz serce niezachwiane,
Ale wpłyń na nich, gdy przysięgę złożą.
Przygasim pożar, pletni zaprzestanę,
I może tobie — za pomocą Bożą —
Za twój osłodzę — czcze słowo — księże!
Ksiądz żywo odparł:
— Gromada przysięże!

I wraz do ludu po żmujdzku zaczyna:
— Słyszycie, bracia, tego poganina,
Jak na niedolę naszą plwa bluźnierca,
Jak bluzga błotem w Zamajtysów serca?

— Wszak przysięgacie, że choćby katuszy
Przestali wrogi, sypali wam dary,
Nie odstąpicie ojców waszych wiary,
Plugawym popom nie sprzedacie duszy?

— Wszak przysięgacie, że w mękach nad siły
Tak się przed katem z trwogi nie poniżym,
Abyśmy gardząc naszemi mogiły
Mieli się modlić przed moskiewskim krzyżem?
Wszak przysięgacie? —
Słychać ciche szmery,
Lecz wraz przy ognia skwierczącym hałasie
Zabrzmiał głos ludu zbolały lecz szczery:
— Tak przysięgamy, ojcze Kunigasie!

— Co, księże, szczekasz czartowskiem narzeczem?
Wrzasnął porucznik, co nieco po żmudzku
W końcu zrozumiał. — Gdy nie chcesz po ludzku.
To ciebie, zwierzę, z chłopami zawleczem
Do Murawjewa, on dobrze zapłaci
Za to kazanie do Żmudzinów braci.
I ja też trzymam się jego zwyczajów:
Rebiata! Sypnąć mu pięćset nahajów! —
A ksiądz się modlił cicho:
— Przez dni cztery
W ustach nie miałem nic prócz wody z strugi.
Jak wątłe drewno pod cięciem siekiery,
Jeśli osłabnie ciało twego sługi

I będę błagał miłosierdzia katów....
Panie! Twym duchem ożyw słabość ciała! —

Nagle wyrywa się z pośród sołdatów,
Siły w rozpaczne łącząc wysilenie;
Gdzie blizko chata płomieniem buchała,
Pobiegł mdlejący i skoczył w płomienie.
I jeszcze z sykiem poruszonych węgli
Brzmiał głos: Pomnijcie, żeście mi przysięgli!

Za pożegnanie z czynem kapitańskim,
Gratyfikacyą i Anną w pętlicy,*)
Porucznik, krzywiąc twarz śmiechem szatańskim,
Wrzasnął: — Zapłacę ja wam buntownicy!
Hulać rebiata — na cześć Murawjewa —
Hurra Murawjew, świętej Rusi słońce!

Przerażający płacz niewiast się zlewa
Z ponurym jękiem ludzi, których dońce
W płomień rzucają, z płaczliwymi krzyki
Dzieciątek, które wdzierają na piki.

...W dalekie strony zagnali gromadę
Wicher szczątkami zgorzelisk pomiata:
Gdzie gwarne sioło, dziś pustkowie blade,
Gdzie żyzne pola, stepu łysa szmata,
Blizna jałowa śród borów zieleni —
Straszna, kiedy ją słońce opromieni,
Straszna, gdy kruków i wron stada całe
Kraczą dziękczynną cześć Murawjewowi
Za świeże trupy, gdy wilki zgłodniałe
Wyjąc po nocy, krążą wśród pustkowi;
Straszniejsza, kiedy lud z poblizkich włości
Patrzy na zgliszcza ze łzami wściekłości...

Włodzimierz Wolski.

*) order rosyjski

Samarytanka.

Już dzień strudzone mruży powieki.
Umilknął boju gwar gdzieś daleki,
I pole bitwy — co śmierć zorała —
Cmentarna cisza owiała.

Ale cóż jeszcze głuszę przerywa?
Czy anioł śmierci nie skończył żniwa?
Czy dzicz zwycięska zbierając łupy
Oprawia rannych i trupy? —

To opuszczony w dzikiem ustroniu,
Umiera Krakus przy swoim koniu,
I twarz płonącą tuląc do ziemi
Skarży się usty spiekłemi:

»O Panie! ogień pierś moją pali;
Niech się nade mną niebo użali!
Daj skończyć mękę, lub dla ochłody
Choć kroplę zeszlij mi wody!

Jam wiernie służył w Twoim zakonie:
Wszystko oddaję w jego obronie:
I krew serdeczną, i raj młodości —
Litości, Panie, litości!«

Ledwie ostatnie wyjęknął słowo,
Budzi go jakiś szelest nad głową,
I biała postać jawi się w zmroku —
Jak anioł Boży w obłoku.

— Kto ty? — »Ach cicho! Jestem cygan
Czerpiąc u zdroju wody do dzbanka.
Słyszałam skargę waszą i jęki
I przyszłam ulżyć wam męki

Pijcie! lecz cicho! bo tam jak katy
Czyhają wkoło moskiewskie czaty...
Gdyby spostrzegli — za litość moję
Zginęlibyśmy oboje.

Krakus pochwycił dzban w obie dłonie.
Ugasił pożar śmiertelny w łonie.
I łzą wdzięczności płacąc za leki
Usnął spokojnie — na wieki.

Dziewczyna kornie zgięła kolana.
Zmówiła pacierz u nóg młodziana:
A Bóg — co widział ten czyn dziewiczy —
Pewno go w niebie policzy.

Fr Waligórski.

Pogrzeb Kościuszki.

(W skróceniu.)

Biją razem wszystkie dzwony jak ludowe głosy.
Jęczą, kwilą, modlitwami rwą się przez niebiosy.
A nad niemi dzwon Zygmunta, żałość górująca —
Wszystko chłonie — a to niby ojczyzna płacząca.

W cudzych stronach na tułactwie wiódł żywot w boleści.
Jasnowidza nie zwabiły uwodzące wieści.
Aż dopiero teraz wraca na ojczyste łany,
Ale w trumnie, wraca w trumnie hetman ukochany!

Towarzysze już hetmana na ramionach niosą.
Chylą oczy, co żałosną zwilżyły się rosą.
Dalej pany i kapłany, wojska jeno trocha.
A hen z tyłu chmura chłopstwa — ta najgłośniej zlocha.

O panowie! zróbcie miejsce — niech się zbliżą chłopi,
Niech tę trumnę miłowaną ich łza szczera skropi:
Bo ten hetman nie hołdował pysze i potędze,
Bo on stawał w ich szeregu, chodził w ich siermiędze.

* * *

I na Wawel między królów ponieśli hetmana,
I rozwarła się świątynia złotem nabijana:
U jej progu stanął Kmita i co zacz on pyta —
Swój! swój! świętszy od waszeci — puszczaj, mości Kmita!

Zaruszały się posągi — królowie umarli
Na kamiennych sarkofagach na dłoniach się wsparli.
I ciekawie każdy patrzy, stare sny ucisza,
I spojrzeniem wniebowziętem wita towarzysza.

Długobrody król nad innych wyżej z łoża wstaje
I przemawia: Ja król chłopków rękę ci podaję,
Wżdy obadwaj my uczcili zapomniane sługi
I kochali lud gołębi — ja pierwszy, ty drugi!

* * *

U ołtarza arcypasterz i śpiewak Sybilli[1])
Wznosi ręce — każda głowa na piersi się chyli.
A w dziedzińcu korni chłopi o głaz biją czołem.
Oni, co, gdy kościół pełny, stają przed kościołem.

[1]) Ks. [illegible] Paweł Woronicz, [illegible] arcyb. warszawski.

Już skończono mszę żałobną. W chłodne ziemi łono,
W miejsce, gdzie król chciał spoczywać, hetmana spuszczono:
A gdy za nim drzwi zaparli, rygle zasunęli,
Chłopstwo wzniosło krzyk boleści: Och, już go zamknęli!

* * *

Och, już wzięli Naczelnika, och! już ty nie nasz;
Ciemność sklepień, blask pozłoty serca nasze straszy;
Tobie króle towarzystwem i pany w sobolach.
Lepiejby ci z nami leżeć na zielonych polach!

Na zielonem czystem polu, na zielonej łące
Co dnia ptak-by ciebie witał i słońce wschodzące,
Śród upałów twej mogile cień dałyby Tatry,
Z dobrą wieścią od ojczyzny latałyby wiatry.

Tak lud żali się i marzy. — urywane słowa
Zwolna cichną, — lud w cichości jakiś zamiar knowa —
Zamknął uszy na głos świata, własnej głębi słucha,
Nagle spłonął, krzyczy, biegnie — dobył iskrę z ducha!

* * *

I mogiłę, wniebowstą sypie lud serdeczny!
Próżnaż ona! cóż w nią schować na spoczynek wieczny?
Kości w polskim relikwiarza złożył wódz — jasnowidz,
Lud zatroskał się i myśli... Hej do Maciejowic!

Starzy ludzie pamiętają to miejsce śród błonia,
Kędy ranny i omdlały hetman upadł z konia.
Więc tę ziemię krwią przesiąkłą bierzcie jak sakrament,
Złóżcie w urnę i mogile dajcie na fundament.

Tak zrobili. Z blaskiem zorzy do ofiarnej pracy
Biegną pany i kapłany, chłopi i wojacy.
Wszyscy razem, wszyscy równi, zmieszano a tłumnie.
Jak przykazał duch miłości — pracują rozumnie.

Miłość wiąże i umacnia — praca idzie byżej,
A krakowska cała ziemia woła: Wyżej, wyżej!
Niech mogiła wszystkim oczom zaświeci donośnie....
I mogiła Bogu miła rośnie, rośnie, rośnie....

I urosła; już ją widzi przechodzień daleki,
Każda chata na nią patrzy. Od wieku po wieki
Stać jej w straży będą; Miłość i Wiara — dwie służki;
Wawel runie — a zostanie: Mogiła Kościuszki!

Kornel Ujejski.

Reduta Ordona.*)

Opowiadanie adjutanta.

(W skróceniu.)

Nam strzelać nie kazano. Wstąpiłem na działo
I spojrzałem na pole — dwieście armat grzmiało.
Artyleryi ruskiej ciągną się szeregi
Prosto, długo, daleko, jako morza brzegi,
I widziałem ich wodza: — przybiegł, mieczem skinął.
I jak ptak jedno skrzydło wojska swego zwinął.
Wylewa się z pod skrzydła ściśniona piechota
Długą, czarną kolumną, jako lawa błota,
Nasypana iskrami bagnetów. Jak sępy
Czarne chorągwie na śmierć prowadzą zastępy.

*) Reduta mała fortyfikacya, [illegible] i palisadą czyli [illegible] grubych, [illegible] pniaków.

Przeciw nim sterczy biała, wązka, zaostrzona
Jak głaz, bodzący morze, reduta Ordona.
Sześć tylko miała armat, wciąż dymią i świecą:
I nie tyle prędkich słów gniewne usta miecą,
Nie tyle przejdzie uczuć przez duszę rozpaczy,
Ile z tych dział leciało bomb, kul i kartaczy.

Patrz, tam granat w sam środek kolumny się nurza,
Jak w fale bryła ławy, pułk dymem zachmurza:
Pęka śród dymu granat, szyk pod niebo leci.
I ogromna łysina śród kolumny świeci.

Tam kula lecąc, zdala grozi, szumi, wyje,
Ryczy jak byk przed bitwą, miota się, grunt ryje: —
Już dopadła: jak boa śród kolumn się zwija.
Pali piersią, rwie zębem, oddechem zabija.
Najstraszniejszej nie widać, lecz słychać po dźwięku.
Po waleniu się trupów, po ranionych jęku:
Gdy kolumnę od końca do końca przewierci,
Jak gdyby środkiem wojska przeszedł anioł śmierci.

... Ura! ura! Patrz, blizko reduty, już w rowy
Walą się, na faszynę kładąc swe tułowy;
Już czernią się na białych palisadach wałów.
Jeszcze reduta w środku, jasna od strzałów
Czerwieni się nad czernią; jak w środek mrowiska
Wrzucony motyl błyska — mrowie go naciska, —
Zgasł: tak zgasła reduta. — Czyż ostatnie działo.
Strącone z łoża, w piasku paszczę zagrzebało?
Czy zapał*) krwią ostatni bombardyer zalał?
Zgasnął ogień. — Już Moskal szczątki wywalał

*) Zapał lont.

... Pociemniało mi w oczach, a gdym łzy ocierał,
Słyszałem, że coś do mnie mówił mój Jenerał.
On przez lunetę wspartą na mojem ramieniu.
Długo na szturm i szaniec spoglądał w milczeniu.
Nakoniec rzekł: »Stracona«. — Z pod lunety jego
Wymknęło się łez kilka, — rzekł do mnie: »Kolego,
Wzrok młody od szkieł lepszy; patrzaj, tam na wale,
Znasz Ordona, czy widzisz, gdzie jest?« — »Jenerale,
Czy go znam? — Tam stał zawsze, to działo kierował,
Nie widzę — znajdę — dojrzę! — śród dymu się schował:
Lecz wśród najgęstszych kłębów dymu, ileż razy
Widziałem rękę jego, dającą rozkazy...
Widzę go znowu — widzę rękę — błyskawicę.
Wywija, grozi wrogom, trzyma palną świecę.
Biorą go — zginął, — o nie, — skoczył w dół, do lochów! ...
Dobrze, rzecze Jenerał, nie odda im prochów.«

Tu błysk dym, chwila cicho — i huk jak sto gromów!

Zaćmiło się powietrze od ziemi wyłomów:
Harmaty podskoczyły, i jak wystrzelone
Toczyły się na kołach; lonty zapalone
Nie trafiły do swoich panew. I dym wionął
Prosto ku nam, i w gęstej chmurze nas ochłonął.
I nie było nic widać, prócz granatów blasku,
I powoli dym rzedniał, opadał deszcz piasku.
Spojrzałem na redutę; — wały, palisady,
Działa, i naszych garstka i wrogów gromady.

Wszystko jako sen znikło! — Tylko czarna bryła
Ziemi niekształtnej leży — rozjemcza mogiła.
Tam i ci, co bronili, i co się wdarli,
Pierwszy raz pokój szczery i wieczny zawarli!
Choćby cesarz Moskalom kazał wstać: już dusza
Moskiewska tam raz pierwszy cesarza nie słucha.
Tam zasypane tyluset ciała, imiona:
Dusze gdzie? — nie wiem; lecz wiem, gdzie dusza
Ordona.
On będzie Patron szańców! — Bo dzieło zniszczenia
W dobrej sprawie jest święte, jak dzieło tworzenia:
Bóg wyrzekł słowo »stań się«, Bóg i zgiń« wyrzecze.
Kiedy od ludzi wiara i wolność uciecze,
Kiedy ziemię despotyzm i duma szalona
Obleją, jak Moskale redutę Ordona:
Karząc plemię zwycięzców, zbrodniami zatrute,
Bóg wysadzi tę ziemię, jak on swą redutę.

A. Mickiewicz.

Nocleg.

Nasz Naczelnik *) nad Trockiem jeziorem,
Po kowgańskiej potyczce nocuje.
Strzelcy leżą na kępie taborem:
Jeden rany swe mchem opatruje;

Drugi strzelbę przeczyszcza, nabija,
Kaptur z brzozy na zamek zasuwa:
Ten w pół senny pod głowę płaszcz zwija.
I usnęli. Straż stoi, wódz czuwa.

*) Wincenty Matuszewicz, sławny wódz partyzantki na Litwie podczas wojny 1831 r.

On pod drzewem coś duma w pomroce;
Drzewo suche — lecz miało owoce;
Najgłodniejszych ten owoc odstrasza:
Wiszą na niem dwie gruszki Judasza.

W górę szpiegi! Cesarskie to sługi:
Jeden Prusak z nogami długiemi,
W białych pończochach: a drugi
Żyd, pejsami zamiata po ziemi.

Nie śpi wódz, na kolanach broń trzyma.
Wzrokiem szuka pagórka znanego,
Ten za wodą: na wzgórku dom jego,
Dom w ciemności on żegna oczyma.

Wtem błysnęło nad wzgórkiem... Czy piorun?
Piorun u nas nie bije w tę porę:
O Najświętsza! o Maryo z Borun!
Ratuj ich... ratuj dzieci... dom gore.

Gdzie jest patrol? Na konia! Do dworu!...
Wtem słuchają... Łom trzeszczy, gwar ludzi.
I kto idzie! głos ozwał się z boru
Patrol wraca, i obóz się budzi.

Wodzu! wielka dla ciebie żałoba:
Wraca patrol z wieściami Hijoba.
Jeden mówi: zarżnęli twą żonę.
Drugi mówi: twe dzieci spalone.

Lecz pojmali dowódzcę Moskali.
»Kto on?...« »Francuz, niestary, przystojny:
I w moskiewskiej on służbie wsie pali,
Za pieniądze lud sieczc niezbrojny!...

Wódz, jak gdyby rażony od gromu,
Na dom patrzał i milczał i słuchał.
Z okien wszystkich żar sypał się z domu,
Z oczu wodza straszniejszy żar buchał.

I w obozie zbudzonym, zdumiałym,
Było głuche milczenie i zgroza.
Milczał wódz, jako broń przed wystrzałem:
Na dom patrzał — i krzyknął powroza!...

Przyskoczyły dwa katy rozkoły,*)
Stryczek mieli gotowy ze sznura,
Zakasali rękawy za poły,
I oddarli mu kołnierz z mundura.

Wtem ktoś leci... Kto idzie? Lud z Bogiem.
Nasze hasło: poznajcie wiarusa!
Zrzuca płaszcz... Ach to mundur Krakusa:
Biały surdut z czerwonym wyłogiem.

Zbił Skrzynecki, zbił na łeb, na szyję,
Zbił pod Wawrem Rosena, tiejsmara,
Nabrał jeńców i dział co niemiara,
Idzie w Litwę... Skrzynecki niech żyje!

Krzyczał żołnierz i śmiał się i szlochał...
Ach! kto miłej ojczyzny nie kochał,
Biedny! łzami nie płakał takiemi...
A naczelnik?... On leży na ziemi.

---

*) Rozkoły [illegible] tutaj tyle co wyrzutki

Leżał krzyżem i długo się modlił.
Wstał i rzekł do Francuza: Idź wolny!
Precz od nóg mych — byś nóg mych nie podlił!
Jam dziś karać nikogo nie zdolny...

Adam Mickiewicz.

Krzyżyk z Olszynki.

Do starej babci szarą godziną,
Gdy krwawe słońce na niebie gaśnie,
Jakieś dalekie wspomnienia płyną
I szepcą cicho baśnie — nie baśnie.
Zamglone oczy patrzą z tęsknotą
Do z pamiątkami otwartej skrzynki,
Gdzie leży mały, oprawiony w złoto,
Krzyżyk z Olszynki.

Maleńki krzyżyk z gałązki wiotkiej,
Na złotych skówkach napis i data —
Z nut bladych uśmiech zakwita słodki,
Z wyblakłych oczu łza srebrna zlata:
Z tą się pamiątką dla babci starej
Rzewne i miłe wiążą wspominki:
Ma niepojęte dla obcych czary
Krzyżyk z Olszynki.

Stara babunia, taka schylona,
Była przed laty dzieweczką młodą:
Wiośniane serce rwało się z łona,
Różowa buzia lśniła pogodą:

Z drugiego pułku ułan uroczy
Wdarł się przebojem w serce dziewczynki...
I wypłakane urzeka oczy
Krzyżyk z Olszynki!

Ach, śliczny chłopiec jak malowanie,
W ułańskiej kurtce z białym rabatem!
Światłość wieczystą racz mu dać Panie!
I grób nieznany zasiewaj kwiatem
Temu, co kochał, służył tak wiernie,
Śmiercią rycerskie zamknął uczynki...
I pierś babuni kłuje jak ciernie
Krzyżyk z Olszynki!

Zagrały trąbki i tarabany,
Piosnka legionów w niebo powiała,
Szarżują cwałem białe ułany
Z pogardą zgonu lecą na działa!
Grom armat głuszą słowa piosenki
Furkoczą lance — grzmią karabinki!
Ach, on to widział — widział maleńki
Krzyżyk z Olszynki!

I lecą — lecą kule złowieszcze,
I śliczny ułan z siwka się toczy,
I czyjeś imię wyszeptał jeszcze,
Nim śmierć mu piękne zawarła oczy.
Z kwiatu miłości — proch listków szary,
Z ziarna nadziei zeschłe łupinki...
I został tylko dla babci starej
Krzyżyk z Olszynki!

Or-Ot

Smutno mi Boże!

Smutno mi Boże! Dla mnie na zachodzie
Rozlałeś tęczę blasków promienistą,
Przede mną gasisz w laznrowej wodzie
Gwiazdę ognistą.
Choć mi tak nieto Ty złocisz i morze,
Smutno mi Boże!

Jak puste kłosy, z podniesioną głową
Stoję rozkoszy próżen i dosytu:
Dla obcych ludzi mam twarz jednakową,
Ciszę błękitu.
Ale przed Tobą głąb serca otworzę.
Smutno mi Boże!

Jako na matki odejście się żali
Mała dziecina, tak ja płaczu blizki
Patrząc na słońce, co mi rzuca z fali
Ostatnie błyski.
Choć wiem, że jutro błyśnie nowe zorze,
Smutno mi Boże!

Dzisiaj na wielkiem morzu obłąkany,
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem,
Spotkałem lotne w powietrzu bociany
Długim szeregiem.
Żem je znał kiedyś na polskim ugorze,
Smutno mi Boże!

Żem często dumał nad mogiłą ludzi,
Żem nie znał prawie rodzinnego domu,
Żem był jak pielgrzym, co się w drodze trudzi
Przy blaskach gromu,

Że nie wiem, gdzie się w mogiłę położę,
Smutno mi Boże!

Ty będziesz widział moje białe kości,
W straż nie oddane kolumnowym czołom,
Alem jest jako człowiek, co zazdrości
Mogił... popiołom.
Więc, że nieznane gotujesz mi łoże,
Smutno mi Boże!

Kazano w kraju niewinnej dziecinie
Modlić się za mnie codzień, a ja przecie
Wiem, że mój okręt nie do kraju płynie,
Płynąc po świecie.
Więc, że modlitwa dziecka nic nie może,
Smutno mi Boże!

Na tęczę blasków, którą tak ogromnie
Anieli twoi w niebie rozpostarli,
Nowi gdzieś ludzie w sto lat będą po mnie
Patrzący marli...
Nim się przed moją nicością ukorzę,
Smutno mi Boże! J. Słowacki.

Marsz pogrzebowy.

Tyle dzwonów! Gdzie te dzwony? Czy w mej głowie huczą?
Kędy idą roje księży z taką pieśnią kruczą?
Tu przedemną, o dwa kroki, czarny wóz się toczy —
Jak mi ciemno! — ten wóz czarny zaciemnił moje oczy.

Gdzieś w powietrzu krzyż jaśnieje, migają pochodnie:
A prowadzą mnie pod ręce — idę tak wygodnie:
Same prawie się podnoszą zadrętwiałe nogi —
Dobrze, dobrze, że mnie wiodą, nie znam żadnej drogi.

Idę, płynę niby śniący, bez myśli, bez woli.
Tylko w głowie, tylko w sercu coś mnie strasznie boli.
Coś zatapia w nich swe szpony krzywe, ostre szpony —
A tu ciągle biją dzwony, a tu kraczą wrony...

Ha! muzykę jakąś słyszę — pięknie grają, pięknie...
Żar mam w oczach, a po twarzy coś zimnego cieknie —
Patrzą na mnie, ale zbliżyć nikt się nie odważa —
Musi coś być w mojej twarzy, co ludzi przeraża.

A wóz ciągną cztery konie okryte żałobą...
A mnie ciągnie jakaś siła, wlecze mnie za sobą...
Wielki Boże! toż ta trumna wysuwa się ku mnie!
Tam zagadka mego bytu — w tej trumnie! w tej trumnie!

. . . . . .

* * *

Na atłasie piękna, cicha.
Ręce trzyma w krzyż,
Przez sen do mnie się uśmiecha —
Och! ty już nie śnisz!

Och! nie czujesz ty już woni
Z wieńca białych róż —
Całowaniem twojej skroni
Nie zbudzę cię już!

Nie wiesz nawet, że za tobą
Idę blady trup,
Że prowadzą cię z żałobą,
Że prowadzą w grób!

Na toż ciebie biedna matka
Wydała na świat,
I jam kochał do ostatka,
Bym cię w trumnę kładł?

Takie moje ślubne łoże?
I ja w takim dniu
Żyję jeszcze? Boże! Boże!
Co ja poczną tu!

* * *

Była słodka i anielska
I kochała mnie,
Jak piosenka jaka sielska
Płynęły nam dnie.

I jam przy niej był bez grzechu,
I anielskość miał,
Bo z jej oczu, z jej uśmiechu
Jam sakrament brał.

Była dla mnie jak natchnienie
Geniuszu i cnót,
Wiodło mnie jej szat jaśnienie
Do niebiańskich wrót.

Gdzież zawiodło mnie na końcu,
Po przebyciu prób?
W czarną otchłań szydłem w słońcu,
Przez nadzieję — w grób!

Takież moje ślubne łoże?
I ja w takim dniu
Żyję jeszcze? Boże! Boże!
Co ja poczne tu!

Wzięli trumnę na ramiona, ponieśli ją spiesznie,
Mnie zatrzymać chcą przemocą, ha, ha! to pociesznie!
Precz mi z drogi, głupi tłumie, bo będzie nieszczęście —
Młody jestem, wściekły jestem i mam silne pięście!

Ja mam jeden do niej prawo — precz z drogi, ciekawi!
Czarne mrowie! tylko równy niech mi opór stawi —
Mego bólu żadna z waszych piersi nie pomieści...
I pierzchnęli — a ja idę, wielki król boleści!

Pośród gwaru podziwienia, śród hałasu dzwonu
Oto zbliżam się do trumny — do mojego tronu!
Ty, grabarzu, na tym kopcu wsparty na łopacie,
By takiego pogrześć króla, ile chcesz, mój bracie?

A zakop mnie, a głęboko — tak mi źle na świecie!
Ciężej, niźli twoja ziemia, powietrze mnie gniecie...
Precz z kropidłem, i święcona woda ją poplami —
Ja tu jeden mam kapłaństwo — pokropię ją łzami!

Z pod habitu zakonnego wysuwa się ręka,
Jakaś jasna, jakaś mocna! duch mój przed nią klęka —
Dotknęła mnie! a ja padam podcięty jak kosą...
I wzięli mnie i ponieśli — gdzie oni mnie niosą?

. . . . . .

Kornel Ujejski.

Pocztylion.

Tu piją i gwarzą, ty jeden w tej wrzawie
Wyglądasz jak jeniec w niewoli, —
Weź czarkę, weź lulkę, siądź tutaj na ławie
I powiedz, co ciebie tak boli?

Ni dzwonek, ni trąbka, ni krasne dziewczęta
Nie mogą rozerwać twej nudy;
Dwa lata tu żyjesz, a nikt nie pamięta,
Ażebyś był wesół jak wprzódy.

— »O! bo też mi gorzko, bo smutno mi wszędzie,
Nie miło na świecie, nie miło,
Daj czarkę! przy czarce odważniej mi będzie, —
Posłuchaj, co mi się zdarzyło:

Gdym przystał na pocztę, zbyt jeszczem był młody,
Lecz dusza dość miała swej mocy;
Nie znało się wprawdzie wygody, swobody,
Nie było ni święta, ni nocy.

Od ranka do zmroku, od zmroku do ranka
Woziłem pakiety i pany, —
Dostałem złotówkę; o! wtedy hulanka,
Wesoły, i syt i pijany!

Zwodziłem dziewczęta, skarbiłem przyjaciół,
Z pisarzem, jak z równym, i kwita,
I konie mię znały, jak gwizdnę, jak zaciął, —
Rwą moje siwaki z kopyta.

Wesoło wieść pocztę! zatrąbię na moście:
Tu kogoś się spędzi, tam spotka,
Tu wiozę panicza, tu młode imoście.
O! wtedy pewniutka dwuzłotka.

Lecz serce me jednej oddałem dziewczynie, —
Mieszkała w wioseczce o milę,
Bywało wracając nigdy się nie minie,
Choć krótką przepędzę z nią chwilę.

Raz woła mię pisarz, w północnej coś porze,
Budzę się natychmiast, przychodzę, —
A była to zima, mróz tęgi na dworze,
Zawieja, sumioty na drodze.

— Powieziesz sztafetę! — Oj licho przywiodło! —
Tak sobie odchodząc mruczałem.
Za pakiet, za trąbkę, za konia, za siodło,
I w moment puściłem się cwałem. —

A tutaj wiatr świszcze, śnieg kręci i ciemno,
A przytem okrutne bezdroże;
Dwa słupy wiorstowe minęły przede mną,
Podjeżdżam pod trzeci — o Boże!

Wśród wichrów poświstów, głos z płaczem zmieszany
W bok drogi gdzieś woła pomocy;
Myśl pierwsza — pomogę! Ktoś pewno zbłąkany
Brnie w śniegu i zginie wśród nocy.

Zwróciłem już konia — wtem jakby mi zda się
Ktoś szepnął: »a tobie co po tem?
Ej lepiej godzinkę zyskawszy na czasie,
Odwiedzić twą dziewę z powrotem .

Strach serce ogarnął, zaledwiem mógł dyszeć,
Pot zamarzł kroplami nad czołem:
Jam w trąbkę uderzył, by jęków nie słyszeć,
I dalej siwego zaciąłem.

Wracałem o świcie — trzy wiorsty od domu,
Strach znowu ogarnął mię skryty:
Duch zamarł, a serce szepcąc po kryjomu.
Stukało jak dzwonek rozbity.

Przy słupie koń czmychnął — zjeżyła się grzywa —
Na drodze pod płachtą powiewną,
Pod warstwą sumiotu — kobieta nieżywa,
Skostniała, bezwładna jak drewno.

Strząsnąłem płat śniegu na białej jej szacie
I trupa wywlokłem na drogę;
Otarłem śnieg z lica — to była... ach! bracie,
Daj czarkę, dokończyć niemogę.

Wład. Syrokomla

Zdrajca.

W skróceniu.

Za miastem w polu stoi drewniana wystawa,
I krzesło poręczowe stawiają na górze.
Lud się zbiera z okolic — to pewnie zabawa,
Zręczny sztukmistrz podskoczy w tanecznej figurze?
Nie — na krześle się spełni dziś ofiara krwawa!

Zbliża się wóz drewniany, i na słomy pęku
Siedzi w bieli ubrany młodzian winowaty;
Przy nim kat, w purpurowym płaszczu, z mieczem w ręku.
Przed nim szarzą się księdza zakonnika szaty —
To dzisiaj wóz tryumfu! — kaźnią był przed laty.

Stanęli — wszyscy patrzą — weszli — sędzia trzyma
Wyrok — i po imieniu zawołał, i głowę
Przytem schylił — i wojsko broń ze szczękiem ima —
Znów cicho — sędzia czyta wyroku osnowę.
Podpisano — zakończył — przebaczenia nie ma!

Dano znak — naokół cisza: wtem kat przybiega
Więźniowi oczy chustką zawięzuje białą
I porywa młodzieńca, jak nędznego szpiega,
Rzuca w krzesło — od bębna powietrze zagrzmiało —
Ciął — krew wytrysła — na dół zwaliło się ciało!

* * *

Któż tam błąka się w nocy na rozstajnej drodze?
Przy pochodniach ktoś w głębi ziemi rydlem maca.
Natrafili na trumnę — ha! — szczęśliwa praca!
Wydzierają skarb krwawy wilgotnej podłodze,
Tulą w płaszcz — uciekają — zbawienie w ich nodze.

Jest w głębi gór odludnych pieczara podziemna,
Gdzie grzyby ledwie rosną, nikt z ludzi nie chodzi:
Tam biegną tłumem wszyscy zapaleńcy młodzi,
I światłem się rozwidnia nocy jama ciemna!
Tam każdemu wskaże cel przysięga wzajemna.

Składają ciało krwawe — najstarszy, z kadłubu
Płaszcz szeroki odrywa i miecza dobywa,
Miecz na pierś trupa kładzie — jakieś hymny śpiewa;
Wtorują mu żałośnie towarzysze klubu!
Niech się każdy gotuje do czynienia ślubu!

Najstarszy dał znak mieczem, reszta broń dobyła;
Wszyscy w koło nagimi błyszczą sztyletami
»Przysięgamy« krzyknęli, »jedność między nami! —
Pomstę za krew niewinną czyjaż wstrzyma siła?«
I »Przysięgamy« skała głucho powtórzyła. —

Znów ciało martwe płaszczem szerokim spowili,
Składają w grób starannie sypany w pobliżu,
Na znak mogiły stawią dwa krzyże przy krzyżu —
Nim poranek zaświtał — robotę skończyli;
I korzystając z nocy rozbiegli się, skryli!

* * *

Znacież ten gmach posępny, murem opasany,
Gdzie zaledwie ukradkiem wbiega promień słońca;
Gdzie od westchnień gorących zwilgotniały ściany,
Gdzie nadzieja dróg nie ma, a nieszczęście końca?
Tam siedzi jeden z klubu okuty w kajdany.

Słońce zaszło — on usnął — lecz patrz, czemu we śnie
Tak się rzuca gwałtownie? Tak ciężko oddycha?
Imię jakieś po trzykroć wyrzekł z wolna, z cicha,
O kochance zapewne marzy on niewcześnie!
Sen go pewnie wyniósł za więzienia cieśnie.

Zrywa się — ciemno jeszcze — wiatr tylko na dworze
Skrzypi smutnie dzwonnicy poblizkiej krzyżykiem:
Zrywa się — po więzieniu krokiem biega dzikim —
Sen miał jakiś gwałtowny — zabłysnęło zorze —
I znowu zmordowany rzucił się na łoże.

Chciałby usnąć — napróżno! — Zamknięte ma oczy.
A przecież widzi ciągle — wszędzie — w koło, w sobie.
Jak się duch koło ducha wolnym krokiem toczy —
To oni! — krzyknął z jękiem — to oni — już w grobie!
Widzę krew ich — jam winien! — zapóźno! — Cóż zrobię?...

* * *

Z bramy więzienia wynoszą pod strażą
Ze czterech desek zbitą trumnę białą.
Na wóz rzucają, za miasto wieść każą.
To więźnia ciało!

Więc Bog zakończył jego długie męki!
Wezwał go z jamy, do raju — ogrójca?
Nie — to bezbożnik, z własnej zginął ręki,
To samobójca!

Nie był uczczony zgon jego dzwonami,
Nie odprawiono po nim mszy w kościele,
Za trumną nie szli ni krewni ze łzami,
Ni przyjaciele.

Bo żeby cara zyskać przebaczenie,
On narodowym stał się winowajcą
I dawszy braci swych na umęczenie
Był wolnym — zdrajcą.

Grobowiec jego przy drodze rozstajnej
Pielgrzym ze wstrętem i ze zgrozą mija,
Nie zmówi nawet modlitwy zwyczajnej
Zdrowaś Marya!

Stefan Garczyński.

Śmierć zdrajcy ojczyzny.

Noc była ciemna, milczenie ponure
Lało spokojność na całą naturę:
Wtem księżyc zajaśniał mile,
Bo już zbliżały się chwile,
Kiedy duchy z nieba skrycie
Na promykach gwiazdy schodzą,
I gorzkie nędzarzów życie
Snem łagodzą.

Nad rzeki brzegiem,
Co bystrym biegiem
Toczy mętne wały,
Błyszczy gmach wspaniały.

Tam zdrajca kraju obrzydły,
Leżąc gdzie łoże złociste,
Czekał, by sen swemi skrzydły
Przytulił serce nieczyste.

Ogień w bladawym promieniu
Po kunsztownych lampach skryty,
Pokazywał w nocnym cieniu
Dostatek zbrodnią nabyty.

Starannie przez długie lata
Zgromadził tam zbytek złoty,
Wszystkie niemal skarby świata;
Nie stawało snu i cnoty.

Już czas chyży
W twardej spiży
Dwanaście razy brzęk zrodził,
A sen jeszcze nie przychodził.

On biegał po małych chatkach,
I przytulał tych w tej chwili,
Co kiedyś żyli w dostatkach,
A wszystko za kraj stracili.

Napróżno wyrodek podły
Wyglądał na jego przyjście:
Jak jesienne więdnął liście,
A smutki serce mu bodły.

Porzuca wyniosłe łoże,
Otwiera skrzynie zamkami warowne,
I mniema, że mu pomoże
Świetnych kamieni błyskanie kosztowne,

Wtem niebo znak dało grzmotem,
Pioruny trzasły,
Ognie zagasły,
Wicher drzwi wyparł z łoskotem:
Wchodzi naprzód księżyc blady
A za nim w ślady
Jakaś poważna osoba.
Na niej żałoba:

Smutna postawa,
Pierś krwawa.

Na takie widmo straszliwe
Drży zdrajcy serce lękliwe;
Widzi, nie wierzy,
Włos mu się jeży,
I krzyczy: »To strachy czyje?
Stój! bo zabiję!«

Ale postać blada
Nic nie odpowiada,
Idzie tylko z cicha i wzdycha.

Wtenczas ufny w moc siarczystą,
Porwał zbrodzień broń ognistą,
Zmierzył, przycisnął,
Ogień błysnął —
Kula krwi pragnąca
Z hukiem powietrze roztrąca,
Środek postaci przeszyła;
Ale ona wolnym krokiem,
Z milczeniem głębokiem,
Jeszcze bliżej przystąpiła.

Na zbrodnia ramieniu drżącem
Wspiera się łokciem oziębiającem
I odpoczywa.
On mdleje,
Potnieje,
I za drugą broń porywa.
Wtem ona do niego rzecze
Głosem takim, jakim ciecze

Słodki strumyk, lutnia brzęczy,
Lub po mogiłach wiatr jęczy:
Stój! mnie kula nie zabije,
Na waszym świecie nie żyję,
Synu! ty w ciemnym zamknąłeś mnie grobie,
A ja przychodzę dać ratunek tobie.
Widzę twą duszę smutkiem obciążoną,
Chcesz spocząć, pójdziesz na wieczności łon,
Ja ci przebaczam, bo nie matki czynem
Mścić się nad synem.

Wtem razem wstrząsły się gmachy,
Zadrżały dachy,
Jękła noc blada,
Przez okna wpada
Duch czarnej postaci,
I rzecze głosem zagrzmienia:
Niemasz, niemasz przebaczenia
Temu, co przelał krew braci!
Pan przedwieczny sprawiedliwy:
Stań przed jego sąd straszliwy.

Tak wyrzekł, i wnet ponury
Ciało zbrodnia w łoże cisnął,
Duszę w ciemne porwał chmury;
Wiatr za nim zawył, grom błysnął.

Antoni Górecki.

Alpuhara.

Już w gruzach leżą Maurów posady,
Naród ich dźwiga żelaza:
Bronią się jeszcze twierdze Grenady,
Ale w Grenadzie zaraza.

Broni się jeszcze z wież Alpuhary
Almanzor z garstką rycerzy:
Hiszpan pod miastem zatknął sztandary,
Jutro do szturmu uderzy.

O wschodzie słońca ryknęły spiże,
Rwą się okopy, mur wali:
Już z minaretów błysnęły krzyże,
Hiszpanie zamku dostali.

Jeden Almanzor, widząc swe roty
Zbite w upornej obronie,
Przerznął się między szable i groty
Uciekł i zmylił pogonie.

Hiszpan na świeżej zamku ruinie,
Pomiędzy gruzy i trupy,
Zastawia ucztę, kąpie się w winie,
Rozdziela brańce i łupy.

Wtem straż oddźwierna wodzom donosi,
Że rycerz z obcej krainy
O posłuchanie co rychlej prosi,
Ważne przywożąc nowiny.

Byłto Almanzor, król muzułmanów,
Rzucił bezpieczne ukrycie,
Sam się oddaje w ręce Hiszpanów,
I tylko błaga o życie.

»Hiszpanie!« woła »na waszym progu
Przychodzę czołem uderzyć,
Przychodzę służyć waszemu Bogu,
Waszym prorokom uwierzyć.

Niechaj rozgłosi sława przed światem,
Że Arab, że król zwalczony,
Swoich zwycięzców chce zostać bratem.
Wasalem obcej korony.«

Hiszpanie męztwo cenić umieją,
Gdy Almanzora poznali.
Wódz go uścisnął, inni koleją
Jak towarzysza witali.

Almanzor wszystkich wzajemnie witał,
Wodza najczulej uścisnął,
Objął za szyję, za ręce chwytał,
Na ustach jego zawisnął.

A wtem osłabnął, padł na kolana,
Ale rękami drżącemi
Wiążąc swój zawój do nóg Hiszpana,
Ciągnął się za nim po ziemi.

Spojrzał dokoła, wszystkich zadziwił:
Zbladłe, zsiniałe miał lice,
Śmiechem okropnym usta wykrzywił,
Krwią mu nabiegły źrenice.

»Patrzcie o! giaury, jam siny, blady:
Zgadnijcie, czyim ja posłem?
Jam was oszukał, wracam z Grenady.
Ja wam zarazę przyniosłem.

Pocałowaniem wszczepiłem w dusze
Jad, co was będzie pożerać;
Pójdźcie i patrzcie na me katusze.
Wy tak musicie umierać.«

Rzuca się, krzyczy, ściąga ramiona:
Chciałby uśmiechem wiecznym
Wszystkich Hiszpanów przykuć do łona.
Śmieje się śmiechem serdecznym.

Śmiał się — już skonał — jeszcze powieki,
Jeszcze się usta nie zwarły,
I śmiech piekielny został na wieki
Do zimnych liców przymarły.

Hiszpanie trwożni z miasta uciekli,
Dżuma za nimi w ślad biegła:
Z gór Alpuhary nim się wywlekli,
Reszta ich wojska poległa.

A. Mickiewicz

Zapóźno.

Wieczorem w niedzielę,
Przy wiejskim kościele,
Dziad stoi i bije we dzwony:
Młodzieniec nieznany
I pyłem odziany
Nadchodzi i słucha zdziwiony.

I pyta nieśmiele:
»Mój dziadku, w tem siele
Któż ziemskie opuścił mieszkanie?«
Smutne to są sprawy;
Jeżeliś ciekawy,
Posłuchaj, opowiem, mój panie!

Przed kilku latami
Żył we wsi tej z nami
Kmieć z kmiecia, zamożny, poczciwy;
Ni soli, ni chleba
Nie było tam trzeba,
Był czczony, kochany, szczęśliwy.

I było ich troje:
On z żoną we dwoje,
A synek — jedynak był trzeci:
Wesoły, rumiany,
Przystojnie odziany,
Zwyczajnie, jak bywa syn kmieci.

Raz ojciec z wieczora
Powraca ze dwora
I wzdycha i mówi do żony:
Mój Boże, mój Boże!
Jak też to przy dworze
Stan kmiotka maluczki, wzgardzony!

Prostaczek w tym tłumie,
Gdzie każdy coś umie,
Nie znaczy ni pracą, ni wiekiem,

I nam Bóg dał dziecię...
Czemużby też przecie
I ono nie było człowiekiem?

Przyjmy dwa woły,
Niech idzie do szkoły,
A kto wie, co się z niem stanie?
Może się przy dworze
Umieści, a może...
A może i księdzem zostanie?

Jak rzekli, zrobili,
Lecz bardzo zbłądzili,
Bo szczęście i w kmiecym jest stanie.
Dobra jest nauka,
Ale kto jej szuka
Nie z pychy — wszak prawda mój panie?

Gdy rok więc na szkoły
Z ojcowskiej stodoły
Szło zboże, z obory dobytek:
Syn wzrastał w rozumie,
Lecz zato i w dumie,
Na smutny rodzicom pożytek.

I przeszło lat wiele,
A nikt go w tem siele
Nie widział w zagrodzie rodzica.
A z cicha mówiono,
Że w mieście tam pono
Waszmości udaje szlachcica.

Że w głowie ma państwo,
Nie święte kapłaństwo,
Że ojca się wstydzi w sukmanie,
A Bóg się tym brzydzi,
Kto ojca się wstydzi, —
Nieprawdaż?.., cóż wam to, mój panie?

Tymczasem oknami,
Jak mówią, i drzwiami
Bieda się do nizkiej pcha strzechy;
Ucieka dostatek,
Przyrasta zaś latek,
A znikąd pomocy, pociechy.

Starcowi i niwa,
W młodości życzliwa,
Kąkole wydaje i głogi;
Więc nieraz w potrzebie
Na syna, na siebie,
Zapłakał ów człowiek ubogi.

Aż pracą znużony,
Aż troską strawiony
Raz upadł przy pługu na łanie,
I zasnął na wieki;
A nikt mu powieki
Nie zamknął — płaczecie mój panie?

O! powieść nie cała;
Wszak matka została,
A matka biedniejsza na świecie.

Idzie taniec: na przedzie
Pan starosta rej wiedzie.
Za nim szlachta się wali.
Wtem »gość!« krzyknął odźwierny,
I towarzysz pancerny
Zbrojno wkroczył do sali.

Kasztelan gdy go zoczył.
Zaraz ku drzwiom poskoczył.
Pełen gniewu i trwogi:
Mówiłem już Acanu,
Że ludziom jego stanu
Za wysokie me progi.«

— Nie tak zbyt, jak się roi.
Gdym je mógł przejść we zbroi.
Zimno rycerz odpowie.
Każdy z nas na zagrodzie
Równy jest wojewodzie.
A cóż kasztelanowi?

Kasztelan w wściekłym gniewie
Co ma począć, sam nie wie,
Na nic już nie pamięta.
»Hola! szlachta panowie!
Kto się bratem mym zowie,
Za drzwi tego natręta!«

Wszyscy taniec rzucili,
Wszyscy szabel dobyli.
Słysząc gniewny głos pana:
»Co ty? kto ty? zuchwały!
Gdy chcesz unieść łeb cały,
Precz z domu kasztelana!«

Młodzian się nie ustrasza,
Dobył wzajem pałasza,
I wstrząsając nim dumnie:
»Przez Bóg żywy! tej chwili
Po swój łeb się nachyli,
Kto krok postąpi ku mnie.

»Ale nie chcę uczt krwawić,
Nie długo mam tu bawić,
Chciałbym tylko, panowie!
Pannie młodej winszować,
Taniec z nią przetańcować,
I wypić za jej zdrowie.

Natożem w krwawych bojach,
W ciągłych trudach i znojach
Kraj piersiami zasłaniał,
By mię lada kasztelan,
Waszem wsparciem ośmielan,
Jak psa z domu wyganiał?« —

— »Dobrze mówi, zuch! brawo!
Zostań z nami, masz prawo.
Do stu djabłów magnaci!
Kto chce doznać, jak nasze
Wyostrzone pałasze,
Niech łeb wzniesie nad braci!

— Brawo! brawo! Pójdź z nami,
Zaprowadzim cię sami,
Winszuj! — jeśli jest czego:
Wypijemy jej zdrowie.
Potem bracia panowie,
Dalej »nieskończonego!«

I wnet krzycząc zuchwale
Wiodą hurmem przez salę
Do kasztelanki prosto.
Zbladły drżące matrony.
Sam kasztelan strwożony
Skrył się na bok z starostą.

Kasztelanka struchlała.
Gdy rycerza ujrzała.
Zapłonęła i zbladła.
Chciała witać, lecz siły
Nagle ją opuściły.
Na ręce jego padła.

Wody, wódki, lawendy!
Krzyk się rozległ wnet wszędy.
Lecz się pomoc spóźniła.
Rycerz, gdy nikt nie słucha,
Szepnął jej coś do ucha.
Kasztelanka ożyła.

Teraz, bracia panowie,
Szczerych kochanków zdrowie!
— Vivant! pijmy koleją!
Kto ich dzieli dla złota,
Niech mu niem za żywota
Czarci gardło zaleją!

Hej muzyko, polskiego!
Dalej nieskończonego!
Idzie taniec po sali!
Młody rycerz na przedzie
Z kasztelanką rej wiedzie,
Za nim szlachta się wali.

Stanął: — koło młodzieńca
Tancerka się okręca,
Dłoń w dłoni, oko w oku:
Wszyscy się okręcali.
Zamięszanie na sali.
Nic nie widać w natłoku.

Znowu taniec spokojny;
Lecz gdzież tancerz ów zbrojny?
Próżno okiem go śledzą.
To figura niezwykła!
Pierwsza para gdzieś znikła.
Lecz gdzie i jak, nie wiedzą.

Wtem podwórzec zamkowy
Zabrzmiał brzękiem podkowy:
Pancerny porwał młodą!
— »Hej do koni, do broni!
Kto ich pierwszy dogoni,
Co chce weźmie nagrodą!

Rzekł kasztelan, i presto
Z zadyszanym starostą
Zbiegł na dwór — już na koniu.
Niech mych skarbów nie szczędzi.
Kto ich pierwszy dopędzi!
I puścił się po błoniu.

»Gdzie tam! próżna mozoła!
Ktoś ze szlachty zawoła,
Muszą lecieć jak z procy:
Wreszcie trzeba waryata.
Za złoto gubić brata,
Lub kark łamać po nocy.

— »Dobrze mówisz Wojciechu!
Zawołali śród śmiechu,
Krzywdą się nie zbogacim.
Przebawmy tu noc całą,
Wypijmy co zostało,
A tak nic w tem nie stracim!«

Jak rzekli, tak zrobili,
A gdy wszystko wypili,
Do domu pojechali.
Starostę koń gdzieś zrzucił.
Kasztelan sam powrócił,
I już nie wiem co dalej.

Edw. Odyniec.

Lubor.

Dawszy czas wytchnąć hufcom znużonym
Lubor wódz stary, waleczny,
Sam w ciemnej nocy na koniu wronym
Wjeżdża w bór czarny odwieczny.

Zdala chorągwie w bojach zdobyte,
Utkwione świszczą z mogiły;
Wojennych pieśni echa rozbite
Przelękłe zwierza płoszyły.

Jadąc wódz dumał, jak wiek mu młody
Zbiegł na rycerskich zabawach:
Rachował blizny, liczył przygody,
Marzył o nowych wyprawach.

Umilkło... jedzie, jedzie, nie słyszy,
Jak tuż coś pierzcha w gęstwinie:
Przy starym dębie, śród głuchej ciszy
Zeszły się boru boginie.

Było to grono srogich Rusałek
Jedna z nich groźnie zawoła:
»I kiedyż Lubor, kiedyż ten śmiałek,
Poniechać krwawych walk zdoła.

Tyle rycerzy w rannych lat dobie
Śmierć uprzątnęła ze szranków,
Matki kochanki płaczą w żałobie
Poległych synów, kochanków.

On od pół wieku prowadzi boje,
Pławi się we krwi nieczuły...
Czyliż to bogi w niezłomną zbroję
Lubora piersi zakuły?

Dość ci już chwały — czas spocząć starcze!
Czas zmrużyć czujne powieki;
Wkrótce porzucisz włócznią i tarczę,
Zaśniesz — lecz zaśniesz na wieki.«

Rzekła i znikła w mroku omglonym,
Szumi bór czarny odwieczny;
Nic nie wie — jedzie na koniu wronym
Lubor wódz stary, waleczny.

Wtem słyszy potok szumiący w dali,
Drze się przez zimną gęstwinę,
Niezbyte jakieś pragnienie pali,
Wjechał do zdroju, — w dolinę:

I gdy się napił zmienił się wcale.
Sen począł kleić powieki,
Puścił rumaka, usnął na skale —
Usnął — lecz usnął na wieki.

Poczuł to, pędzi jak wiatr koń skory,
Tentent uśpionych przestrasza,
Między walecznych wpada tabory.
Rżeniem zgon wodza ogłasza.

W całym obozie wrzawa się wszczyna.
Strach miesza mężne szeregi,
Rozpierzchła wodza szuka drużyna,
Lecz płonne wszystkie zabiegi.

Zaświtał ranek — rycerzy tłumy
Ciągną na pole znów chwały,
Zabrzmiały w okrąg wojenne dumy,
Żałobne pieśni zabrzmiały.

Wódz zaś od wieków w jednej postawie
Skamieniał leżąc w ustroni,
U nóg hełm, włócznia zarosła w trawie,
Na wpół dobyty miecz w dłoni

A gdy z północy burza straszliwa
Grzmi przez bór czarny odwieczny.
Ocknion y rdzawy oręż dobywa
Lubor wódz stary, waleczny.

Bohdan Zaleski.

Pielgrzym.

»Puśćcie mię, puśćcie w podwórzec zamkowy
Pysznych podwojów odsuńcie wrzeciądze;
Śnieg zimny bije, świszczy wiatr grudniowy,
Zmokły, przeziębły — i błądzę i błądzę.

Nie jestem wcale natrętny podróżny,
Wszystko mam z sobą, nie pragnę jałmużny:
Wszakże ktokolwiek w tak okropnej nocy
Ma prawo ludzkiej zażądać pomocy.

Śniegiem zawiana znikła z oczu droga,
Tu pokutnika zaskoczyła zima;
Puśćcie mnie, puśćcie! zaklinam na Boga,
Błogosławieństwo odbierzcie pielgrzyma.

Wędruję z Rzymu, spólnej naszej matki,
Niosę odpusty i świętych ostatki,
Niechaj was o tem anieli ostrzegą;
Puśćcie mnie, puśćcie, przez miłość bliźniego.

Przelękły zając kryje się w nocy,
Jeleń przy łani ucieka przez błonie,
Ja, biedny starzec, zwątlony i chory,
Gdzież się, ach! gdzież się przed burzą uchronię?...

Z rozgłośnym hukiem wre rzeka burzliwa,
Gniewna, wezbrana w falach się rozpływa;
Popłynę przez nią choć zimno i ciemno,
Gdybym litości nie wzbudził nademną.

Pukam i darmo — żelazne podwoje,
Lecz twardsza od nich pana zamku dusza,
Gdy go bliźniego los, ni lata moje,
Ni prośba w imię Boga nie porusza.

Żegnam cię! niechaj Pan ziemi i nieba
Przedłuża w łasce i szczęściu twe lata;
I oby nigdy nie było ci trzeba
Żebrać litości na starość u świata.«

O mury starca rozbiły się słowa.
Ale pan zamku nie będzie miał ciszy;
Ilekroć burza zaszumi grudniowa,
W poświstach wiatru znowu je usłyszy.

Bo gdy po nocy z jutrzenką rumianą
Mgły z ponad wody podniosły się rano.
Falą rzucone pomiędzy opoki
Zimne pielgrzyma znaleziono zwłoki.

Bohdan Zaleski.

Policzek.

Kto za wielkością, kto za blaskiem goni.
Kto drży przy pieniu okazałej treści,
A łzy przed cichą cnotą nie uroni:
Niechaj nie słucha tej skromnej powieści.

Nawet w twe błogie, poezyo, kwiaty
Strwić nie będę szlachetnego czynu:
Pokornej cnocie skromnej trzeba szaty.
Gmin mnie zrozumie, ja śpiewam dla gminu

»Gdy pił król August, naród był pijany,
Brodził w rozpuście, zbytku i swawoli;
Pan się weselił, a jęczał poddany,
I nikt nie ulżył nędzy i niedoli.

Stolicę państwa, jak Sodomę drugą,
Owiała zewsząd pijana pomroka;
Wszystko wróżyło noc ciemną, noc długą...
Próżne przestrogi! nie było proroka.

W onym to czasie przyszedł do Warszawy
Sługa Chrystusa z nadsekwańskiej ziemi;
Zwał się Boduin; a był człowiek prawy,
Co umiał uczuć litość nad bliźniemi.

I widział w państwa możnego stolicy,
Z bólem dla serca, hańbą dla ludzkości,
Widział! o! zgrozo, jak się na ulicy
Psy ujadały o dziecięcia kości.

Gdy otarł oczy napełnione łzami,
Wzniósł je w niebiosa i wyrzekł w pokorze:
Ty, co opiekę masz nad sierotami,
Myśl moją czystą pobłogosław Boże!

Od tej godziny starca i kalekę,
Dziecię rzucone na łup poniewierce,
Choć skarbów nie miał, w silną wziął opiekę:
Bo umiał wmówić litość w każde serce.

Razu jednego gdy swoim sierotom
Wyszedł za wsparciem ów człowiek ubogi,
Anioł, co jego przewodniczył cnotom,
Zawiódł go w domu wspaniałego progi.

Był to dom graczy. O ty! co w podziale
Oddajesz nędzy grosz wdowi wesoło,
I chleb z nią łamiesz pieczony w popiele,
Słuchaj i z dumą wznieś ku niebu czoło.

W bogatej sali, przy zielonym stole,
Dwunastu graczów zasiadło w milczeniu:
Trzynasty z piętnem Judasza na czole,
A wszyscy jego posłuszni skinieniu.

Gdyby to złoto, co błyszczy przed niemi,
Rozdał ludzkości ginącej w potrzebie,
Ileżby jęków, łez oszczędził ziemi!...
Litości! gdzieżto śmiałem wspomnieć ciebie

Na tej zapadłej, trupio-bladej twarzy,
W oku, co mało z głowy nie wyleci,
Litość-że ogniem tak dzikim się żarzy?...
Wszak Bóg dał temu człowiekowi dzieci.

Patrzcie, to młode szlachetne oblicze
Już rozpacz krzywi uśmiechem Kaina:
Jeszcze dwa kroki fortuny zwodnicze,
A matko! matko! płakać będziesz syna.

Pobożny kapłan ku temu się zbliżył,
Który najhojniej miotał kruszec złoty,
Głos do pokornej, cichej prośby zniżył,
I żądał wsparcia w imieniu sieroty.

W tej właśnie chwili odwiecznym wyrokiem,
Co ludzkim sprawom pewien cel zamierzył,
Gracz przegrał kartę; więc z iskrzącem okiem
Skoczył, kapłana w policzek uderzył.

Rozszedł się odgłos po obszernej sali,
A potem cisza, potem zimna trwoga;
Gracze zadrżeli, pobledli powstali,
Jakby ujrzeli twarz groźnego Boga.

Choć stał spokojny, cichy, niewzruszony,
Tylko, blask chwały, łza w oku zaświeci,
Tylko natrętniej potrząsnął skarbony
I rzekł: »To dla mnie, Panie! cóż dla dzieci! —

Cnota tak wzniosła godny tryumf bierze,
Bo litość serca rozbraja nieczułe;
A złoto czartu niesione w ofierze
Idzie w ubóstwa i nędzy szkatułę.

O! jeźlim kogo tak prostemi słowy
Wzruszyć nie zdołał, niech pójdzie, przebieży
Dzieciątka Jezus w Warszawie budowy,
A uczci męża i w cnotę uwierzy.

J. N. Jaśkowski.

Kmotr królewski.

W noc pochmurną i wietrzną,
Po jesiennej szarudze,
Szedł wsią dziadek ubogi
I kołatał w drzwi cudze.

— Dobrzy ludzie, otwórzcie,
Dajcie spocząć na chwilę,
Niech się nieco ogrzeję,
Kęsem chleba posilę

Ale stuka daremnie,
Brnąc omackiem po błocie,
Nikt się jakoś nie kwapi
Dać przytułek sierocie.

Wreszcie stanął przed chatą
Niepozorną i małą,
Gdzie w okienku niepewnie
Wątłe światło jaśniało.

Zakołatał raz jeszcze,
Korną prośbę powtarza,
I zlitował się kmiotek
Smutnej doli nędzarza.

— Wejdźcie dobry człowiecze —
Rzekł gospodarz łaskawie —
Został jeszcze kęs chleba,
Kąt się znajdzie na ławie.

. . . . . .

Tejże nocy, tak dziwnie
Już Opatrzność zrządziła,
Rolnikowi małżonka
Ósme dziecko powiła.

Żebrak, wstawszy o świcie
I ujrzawszy dziecinę:
— Widzę, rzecze, że Pan Bóg
Zwiększył waszą rodzinę.

Jeśli wstyd wam nie będzie
Mieć za kmotra żebraka,
To do chrztu wam potrzymam
Najmłodszego chłopaka.

A gospodarz: — Mój dziadku,
Dobry człowiek z was widzę,
Ja sam biedny — i biedy
Też się swojej nie wstydzę.

Za dni siedem od dzisiaj
Chrzciny dziecku wyprawię,
Przyjdźcie z Bogiem do chaty,
Gdy tak chcecie łaskawie.

. . . . . .

Minął tydzień, gospodarz
Kmiotka czeka i czeka...
Ten wędrowiec się spóźnia,
Widać droga daleka.

Nagle w dali na drodze,
Coś błysnęło jak słońce,
Warczą koła po grodzie,
Budzą echa tętniące.

Pozłocista karoca
Wali prosto przed chatę,
A w niej pan znakomity,
Strojny w suknie bogate.

Spojrzy kmiotek zdumiony,
Oczom własnym nie wierzy:
A tymczasem ciekawy
Z całej wioski tłum bieży.

— No i cóż się dziwicie? —
Gość z karocy zawoła —
Toć przybywam na chrzciny,
Pewno czas do kościoła!

A lud wita się z panem
I pokłony mu bije,
Leci okrzyk wesoły:
»Król Kazimierz niech żyje!«

Chrzciny były nielada —
Wśród kołaczy i miodu
Sam król kmiotków uczstował
Wśród swojego narodu.

Leon Rygier.

Śpiewak-zwycięzca.

Siadł król na tronie, siadł orszak dam,
Wśród nich królewna jaśnieje,
Stanęły straże u zamku bram,
A na podwórcu — turnieje.

Rycerską walkę zwiastują już
Heroldów trąby złocone:
Ten, kto zwycięży — milszą od róż
Królewnę weźmie za żonę.

Z wędrowną lutnią od zamku bram
Trubadur zbliża się młody —
»Cześć tobie, królu! Piękne! cześć wam!
Otom ja przybył na gody.

Niech zmilkną trąby na rozkaz mój!
Rycerze! zniżcie oręże!
Ja z wami wstąpię w bezkrwawy bój.
Ja was bez miecza zwyciężę!«

Zdumiał się władca, dziwi się straż,
Drwią z barda gniewni rycerze —
A on wpatrzony w królewny twarz,
Do ręki lutnię swą bierze.

I targnął struny... I pieśni dźwięk
W powietrzne płynie przestworza —
To dziwnie smętny, jak serca jęk,
To groźny, jak łoskot morza.

Wojennej trąby słychać w niej ton,
Słychać piosenkę prostaczą...
Pieśń cichnie... leci do rajskich stron...
O, dziwy! rycerze płaczą....

O, dziwy! władca ukrywa łzy:
Wspomniał swą młodość minioną...
W dali gra echo... Królewna drży,
A damy bledną i płoną....

A kiedy przebrzmiał echowy prąd,
Lutnista do króla rzecze:
»Wydaj, o władco! wydaj swój sąd:
Czy pieśń silniejsza, czy miecze?

Nie mógł się zmierzyć rycerzów rój
Z wędrowną lutnią śpiewaczą.
Jam ich zwyciężył! Na rozkaz mój
Potężni rycerze płaczą....«

I rzekł monarcha: »Kędyż jest broń
Równa tej lutni czarownej?...«
Pieśń zwyciężyła.... Królewny dłoń
Zdobył lutnista wędrowny....

Wzgórek pożegnania.

Oto chaty dymią w dole,
Górą kalinowe gaje,
Przy gościńcu dalej w pole
Kilka krzaków bzu wystaje.

Za krzakami bzu wonnemi
Miga wzgórek wśród gałęzi.
Wolny wietrzyk buja niemi,
To rozszerza — to je więzi.

Tam gdy zapadł krąg miesiąca
Przy świtaniu dnia rumianem
Wyszła matka bolejąca
Z swą Zorynną i Ruślanem.

Mąż i krewni jej nieczuli
Każą życie wieść tułacze:
Swą Zorynę małą tuli,
I na los Ruślana płacze.

Płacze siostra siedmioletnia,
Jak jutrzenka złotowłosa:
Łza rumieniec jej uświetnia,
Jak poranny kwiatek rosa.

Ciche modły trwały chwilę...
Potem matka zbroi syna,
I żegnając na mogile
Tak wyrzeka, upomina:

»Kto chce życie spędzić w biedzie,
I łzy gorzkie wnieść do chatki;
Niech powtórnie za mąż idzie,
Niech obcemu zwierzy dziatki.

On bez serca nie nad swemi
Strwoni ojców chleb sierocie,
Co po morzu, co na ziemi
Kupił ciężko w krwi i pocie.

Długoż miałam znosić długo!
Przepłakałam lat niemało,
W domu własnym byłam sługą,
W końcu i łez mi nie stało.

Za cóż nas doświadczasz Boże?
W grobie ojciec już spoczywa;
Cóż im dzisiaj pomódz może
Biedna matka — nieszczęśliwa!

Łatwiej dla mnie z córką jeszcze,
Przyjmą ludzie ją poczciwi.
Prędzej z nią się gdzie pomieszczę,
Bóg i praca nas wyżywi.

Lecz cóż z tobą synu będzie?
Gdzie przytułek dla twej głowy?
Twój cię ojczym znajdzie wszędzie,
Łzy przykremi pocznie słowy.

Jedź odemnie, jedź kochany,
Szukaj zdala szczęścia w świecie;
Wszak gdzieś cichsze znajdziesz ściany.
Znajdziesz lepszych ludzi przecie.

Ciężko serce matki boli,
Gdy oddala dziecko z domu;
Cięższej jeszcze, gdy w niewoli
Da przewodzić nad niem komu!

Gdy za tobą Bóg obstanie,
I złowrogie dnie przeminą;
Nie zapomnij nas kochanie,
Wzdychaj za mną, za Zoryną.

Teraz dziej się wola Boska.
Oto konia masz i zbroję;
Niech cię mija każda troska,
Błogosławię podróż twoję.

Bądź zdrów! wszystko się przemieni,
Co Bóg stworzył, nie zaginie,
Wszakże ludzie nie z kamieni,
Wszakże kraje nie pustynie!

Rży i tętni konik wrony;
We łzach pyta siostra mała:
»Kiedy? z której ciebie strony
Będę bracie wyglądała?«

Łzy się w oku lśnią Ruślana:
Po zielonej spojrzał niwie,
Padł przed matką na kolana
Ucałował siostrę tkliwie.

Dosiadł konia z miejsca rusza,
Fale bujnych traw przegania:
Wiatr powieki mu osusza,
Wiatr zapiera w piersi tkania.

Długo matka, siostra stały —
Prowadziły go oczyma;
Coraz dalej, mniejszy, mały,
Jeszcze mgli się i — już niema.

O, już wzgórek opuszczony,
Tylko woła siostra mała:
»Kiedy? z której ciebie strony,
Będę bracie wyglądała?«

Prędzej w źródle wyschnie woda,
Góra się z mogiły wzbije;
Niż go ujrzy siostra młoda,
Niż go oczy ujrzą czyje.

Bohdan Zaleski.

Grabarz.

W kościele trumna — słychać organy —
I śpiew szpitalnych nędzarzy;
A przy kościele grabarz w pół-pijany
Wsparł się na rydlu i gwarzy:

»Poczciwy rydel!... służy mi godnie,
Kopie tu żwirek i kopie;
Raz... dwa... trzy... cztery... przez dwa tygodnie.
Dwie jamy pańskie, dwie chłopie.

I teraz umarł ktoś od waszeci,
Tak mu sądzono — i basta!
Zostawił żonę, zostawił dzieci,
O biedna... biedna niewiasta!...

Co tam niewiasta? póki odwyknie,
Płacze i mówi pacierze,
Potem... filozof... jak człowiek łyknie.
To zdrowiej te rzeczy bierze.

Na przykład... ktoś sam schodzi ze świata —
Grabarz mu jamę otworzy;
Mniej jednym człekiem... zdaje się strata.
A może zresztą niezgorzej!?

Człowiek stworzenie Boskie rozumne,
Już go nie pogrześć jak bydło;
Szpital za dzwony, stolarz za trumnę.
Za lampy, świece, kadzidło.

Ksiądz za msze święte, psalmy pokutne,
Grabarz, że kopiąc się trudzi. —
Każdy grosz weźmie... śmierć — prawo smutne.
A z niej pożytek dla ludzi!

Jeden coś traci... to drugi zyska:
Bo wszyscy — Boża drużyna,
A tam pod ziemią... trupie kościska
Gniją — zwyczajnie jak glina.

Na trupie dziecka wąż się obwije,
Mędrcom — szczur wlezie do ucha.
I gniazdo złoży i mózg mu wyje,
W piersiach dziewicy — ropucha.

E! łzy się kręcą... lecz niema rady:
Nie tylko człeka co z duszą,
Lecz Pan Bóg stworzył płazy i gady.
I oneż przecie jeść muszą.

A potem z trupa korzysta bliźni,
Bo zgnije trumna i kościec.
A od zgnilizny grunt się użyzni,
I bujnie trawa porośnie.

Czyż tylko trawa? — na złego grobie
Rosną pokrzywy i chwasty,
A dobry człowiek wyda po sobie
Jagódkę, kwiatek krzewiasty.

Lub piękne drzewko wyskoczy hożo, —
Więc idzie korzyść koleją,
Czasem tak bywa... cmentarz zaorzą,
A na nim żyto posieją.

I kupa kłosów urośnie z ziarnka,
Och! jak to słodko i ładnie!
Na piersiach ojca córka żniwiarka
Mendel zbożowy układnie.

To cóż, że cielsko zjedzą robaki,
Kiedy grób chleba przymnaża?
Boże mój, Boże! gdyby zgon taki
Na przykład... dla mnie nędzarza!

Na chwałę Twoją niech idzie Panie!
Com ja wycierpiał za młodu:
Teraz na starość w zdartej sukmanie
Ginę od głodu i chłodu.

Wczora tak słodko, tak miłosiernie
Cieszył mię Pleban Dobrodziej:
Że za łzy moje, za moje ciernie
Pan Bóg mi, nielem nagrodzi.

Chcesz mię nagrodzić, Ojcze światłości?
Będę zapłacon obfito:
Niech z moich kości, dla potomności
Wyrośnie kwiatek lub żyto.

Wład. Syrokomla.

Piorun.*)

W skromnym zasciance wiodła szczęśliwa
Rodzina życie ciche i sielskie:
Ubogiej szlachty para sędziwa
I dwie ich córy anielskie. —
I to nie tylko krasa ich lica
Z ust im sąsiadów dała to miano:
Z cnót serca znała je okolica.
— Wzorem je dzieci w niej zwano.
Któżby rodziców śmiał o to winić,
Że choć im samym dość na swej doli,
Dzieciom by wszakże radzi przyczynić
Szczęścia i świata też gwoli.
Ojciec i matka zdwoili pracę.
Pracę rąk własnych na swym zagonie,
By plon ich córkom starczył na płacę
Nauk w panieńskim zakonie.
I błogosławił Bóg dobrej chęci, —
Aż jak kwiat, słońca pędzony siłą,
— Im w myśli jaśniej, tem w sercu święciej —
Życie się dziewic rozwiło

*) Zdarzenie prawdziwe.

I świat je wzywał, pełne nadziei,
Że się ofiarą wzajem i pracą,
Jak Bogu światło szerząc z kolei,
Tak i rodzicom wypłacą.
I raz ostatni do nizkiej chatki
Wróciły obie, by pokrzepione
Błogosławieństwem ojca i matki,
Iść na trud, każda w swą stronę.
I widzą matkę, — zdjętą niemocą —
Za próg się domu ruszyć nie może:
I słyszą, jak się z ojcem kłopocą
O zbyt dojrzałe swe zboże.
»Kto tam je pożnie? tyś biedna chora,
Najmu nie jestem opłacić w stanie,
A niech dzień wietrzny, — toć do wieczora
Słoma nam tylko zostanie.«
Spojrzały na się dzieweczki obie,
Jedna myśl wzajem z ócz ich błysnęła.
Boże! Ty jeden wiesz, jak w tej dobie
Ta myśl na los ich wpłynęła!
Ledwo jutrzejsze błysło zaranie,
Już obie siostry, z sierpami w dłoni,
Stały u żniwa: a ich śpiewanie
Wesoło brzmiało po błoni.
Wieść się rozniosła na okolicę,
Tłumem się w pomoc skupili żńcy:
Z czułością matki, z uśmiechem dziewice,
Z czcią i zapałem młodzieńcy.
I nim południa nastał spoczynek,
Już naokoło dwóch sióstr z wieńcami,
Cała drużyna z pieśnią dożynek.
Stała przed starców wrotami.

O! zrozumiecie radość w tej chatce.
Zapał współczucia w świadków tych gronie.
Gdy takie dzieci ojcu i matce
Wieńce wkładały na skronie! —
Któż mógł nie życzyć, kto śmiał nie wróżyć
Z błogosławieństwa starców nad niemi,
Że dzieci takie muszą zasłużyć
Najwyższe dobro na ziemi.
I nikt nie baczył, jak z poza domu
Burzliwy obłok wzniósł się, rozszerzył.
Nagle wiatr świsnął, — błysk, łoskot gromu,
Piorun wśród izby uderzył! —
Jak stali, padli: ściany zadrżały.
Lecz bez płomienia przeszedł dym siarki.
Powstali wszyscy, tylko nie wstały
Obiedwie siostry żniwiarki.
U stóp rodziców, w chwili zabłysku,
Snać jedna w drugiej szukać opieki,
Padły w objęcia i w tym uścisku
Klęcząc, spoczęły na wieki.

A. Edw. Odyniec.

Król dębów.

Któż konno w północnej pospiesza zamieci?
To ojciec z swym synem pospiesza i leci.
I ujął chłopczynę w przesilne ramiona,
I trzyma go mocno i tuli do łona.

„Dlaczego drżysz, synu, i kryjesz twarz w dłoni?“
Nie widzisz, mój ojcze? król dębów nas goni.

Roztacza ogony, we wieńcach skroń pała...:
„Cyt synu! to z jezior powstaje mgła biała.“

Chodź do mnie, chodź do mnie, dziecino kochana!
Mam cacka, mam lalki, zabawka mi znana.
Po błoniach, po gaju rozliczne mam kwiatki,
A złotą sukienkę dostaniesz od matki.

Mój ojcze, mój ojcze! nie widzisz jak skrycie
Król dębów tu stoi i wabi twe dziecię?“
„Cyt, synu! skąd ci się te strachy uprzędły?
To gnany wiatrami szeleści liść zwiędły.“

„Chcesz luby chłopczyno, w mój dom cię powiodę
I córom strzedz każę, a córy mam młode,
Do tanów ponocnych tancerki jedyne,
Zatańczą, zannocą i uspią dziecinę!“

Mój ojcze, mój ojcze! nie widzisz nad wodą
Wysmukłe tancerki ponocny rej wiodą?“
„Mój synu, mój synu! ja widzę: tu w dole
W półkręgi sadzone szarzeją topole.“

„Twa postać mnie nęci, zachwyca twe lice —
Gdy sam pójść nie zechcesz, przemocą cię chwycę!“
„Już ściąga, już ściąga swe ręce zabójcze,
Król dębów mnie chwyta, ach ratuj mnie ojcze!“

Mróz starca przeszywa, jak wicher się miewie,
Przyciska do piersi jęczące swe dziecię;
Spocony, zdyszany, z rączością nieścigłą
Przypada na zamek — lecz dziecię zastygło.

Tłum. Edw. Odyniec.

Tak świat, tem samem co dawa, obdarzym!
— Oto potęga! — lub stańmy się niczem!
Jedzmy i pijmy — bądźmy śmiecią złotą —
Ciała wygodą a myśli nędzotą —
Tak się do głupich i szczęśliwych wliczym!

O! nie! o Duchu mój!
Wstecz się cofnij — stój!
Nie takąć to bronią
Na ludzkości czele
Z złem na ostre gonią
Zła ukrócicielе!
Jedna tylko w świecie
Moc ofiary cicha
Los gniotący zgniecie —
Oto dziejów lew!
A podłość czy pycha
To jednakie śmiecie,
Które w otchłań spycha
Lada dziejów wiew!

O! poznaj sam siebie.
Nie żądaj być panem
Jak Pan, który w niebie!
Ni chciej jak bydlę gnić nad paszy łanem!
Z tej strony grobu przed zmartwychwstań wschodem
Bądź ty w człowieku męką z niebios rodem.
Bądź cierpliwością — tą panią niedoli —
Co gmach swój stwarza z niczego — powoli'
Bądź tą przegraną — której cel daleki.
A która w końcu wygrywa na wieki'

Bądź spokojnością wśród burz niepokoju —
W zamęcie miarą — i strojem w rozstroju —
Bądź wiecznem pięknem — w wiecznym życia boju!
Dla podłych tylko i faryzeuszów
Bądź groźbą — gniewem — lub świętem milczeniem!
I nie miej żadnych z obłudą sojuszów!
Dla wszystkich innych bądź anielskiem tchnieniem!
Bądź tym pokarmem, który serca żywi —
Bądź im łzą siostry — kiedy nieszczęśliwi —
A głosem męzkim — gdy się w męztwie chwieją!
Tym, którzy z domu wygnani — bądź domem!
Tym, co nadzieję stracili — nadzieją!
A śpiącym trupio — bądź przebudzeń gromem!
W walce z tem piekłem świata, co się złości,
Zawsze i wszędzie, bądź siłą co skłania —
Nad śmierć silniejszą siłą ukochania —
Bądź piekłem miłości!

W ciągłej przykładu i słowa postaci
Rozdawaj siebie samego twej braci!
Mnóż ty się jeden przez czyny żyjące,
A będą z ciebie jednego — tysiące!
Bądź i w kajdanach niestrudzonym trudem!
Niech ból cię każden choć boli, nie boli!
W jednej twej piersi — bądź twym całym ludem!
Bądź niebo z ziemią spajającym cudem!
Świętością w niewoli!

. . . . . .

Z. Krasiński.

Testament mój.

Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami.
Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny:
Dziś was rzucam i dalej idę w cień z duchami —
A jak gdyby tu szczęście było — idę smętny

Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica
Ani dla mojej lutni, ani dla imienia:
Imię moje tak przeszło jako błyskawica
I będzie — jak dźwięk pusty — trwać przez pokolenia.

Lecz wy, coście mię znali, w podaniach przekażcie,
Żem dla Ojczyzny sterał moje lata młode,
A póki okręt walczył, siedziałem na maszcie,
A gdy tonął, z okrętem poszedłem pod wodę...

Ale kiedyś — o smętnych losach zadumany
Mojej biednej Ojczyzny — przyzna, kto szlachetny,
Że płaszcz na moim duchu był niewyżebrany,
Ale świetnościami moich dawnych przodków świetny.

Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą
I biedne serce moje spalą w aloesie,
I tej, która mi dała to serce, oddadzą —
Tak się matkom wypłaca świat, gdy proch odniesie.

Niech przyjaciele moi siędą przy puharze
I zapiją mój pogrzeb — oraz własną biedę:
Jeżeli będę duchem, to się im pokażę,
Jeśli Bóg nie uwolni od męki, nie przyjdę...

Lecz zaklinam — niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec;
A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,
Jak kamienie, przez Boga rzucane na szaniec!...

Co do mnie — ja maleńką zostawiam tu drużbę
Tych, co mogli pokochać serce moje dumne:
Znać, że srogą spełniłem, twardą Bożą służbę
I zgodziłem się tu mieć niepłakaną trumnę.

Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi
Iść?... taką obojętność, jak ja, mieć dla świata?
Być sternikiem duchami napełnionej łodzi,
I tak cicho odlecieć, jak duch, gdy odlata?

Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna.
O mnie żywemu na nic... tylko czoło zdobi,
Lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna.
A was, zjadacze chleba — w aniołów przerobi.

Juliusz Słowacki.

Fantazya.

(Urywek.)

...Ludzie słuchajcie pieśni! Ludzie, bracia moi!
Czy który z was wysoko włada i panuje,
Czy nizko pochylony wśród trudów i znoi,
Czy schodzi z tego świata, czy na świat wstępuje,
Czy złotem z matką ziemią skuty, czy żelazem,
Kocha czy nienawidzi, złe czy dobre działa, —
Wy wszyscy bracia moi — moja wszystkich razem
Jedną wielką miłością dusza ukochała.

Bracia słuchajcie pieśni! pieśń to anioł Boga!
Pieśń, to nauka wieków — przyszłości przestroga —
To silny głos zwiastuna, co na puszczy woła,
Jasny promień nad głową prawdy apostoła!

Bracia słuchajcie pieśni! Jak anioł odleci,
Zginą wieków pamiątki — przyszłość zaciemnieje —
Głos zwiastuna o twarde serca skamienieje —
A jasny promień zgasnie. Kto z was go roznieci?
Gdy wszystko będzie zimne i martwe i głuche,
Kto wywoła na ziemię silnemi piersiami
Z grobów życie, z wspomnienia przyszłości naukę?
Kto was w niebo powiedzie jasności szlakami,
Jeśli pieśń wieszczów zamilknie? O ziemscy mieszkańce!
Póki Bóg jeszcze pieśnią do was się odzywa,
Póki w dusze wybranych hymn natchnienia wlewa,
Jako wonną oliwę w świątyni kagańce,
Słuchajcie jego głosu! Ludzie, bracia moi!
W pokorze przed nim wasze nachylajcie czoła,
Otrzyjcie serce z pyłu ziemskich niepokoi:
Dziś Bóg pieśnią — lecz kiedyś piorunem zawoła.

Ludzie, słuchajcie pieśni! Ja słowo pociechy,
Ja, bracia, niosę słowo przyszłego zbawienia,
Ono wasze i dawne ojców waszych grzechy
Zmyje wodą zapomnienia!

Ludzie, słuchajcie słowa! W niem świat, przyszłość cała.
W niem Bóg! słuchajcie ludzie, w niem szczęście i siła.
W niem się najpierwej ziemia nasza odezwała,
Wieczność dobrego zrodziła.

Ludzie, słuchajcie słowa! Jego to zgłoskami
Świat ku doskonałości toczy swoje kręgi,
I o nieskończoności pisze niebios księgi —
I Stwórca łączy się z nami.

Ludzie, słuchajcie słowa! Miłość, miłość wieczna,
Nieokreślona czasem, w istnieniu konieczna;
Niechaj pochwalną pieśnią brzmi w nieskończoności,
Bóg słowo, Słowo miłości!

O ludzie, ja was kocham: ja tak ukochałem,
Że gdyby mi na barki ciężki krzyż przykuli,
I biczem katowali i na twarz mi pluli,
I na skronie cierniową włożyli koronę —
I żółcią napawali me usta spragnione.
Ludzie! jabym nie płakał — a wtenczas płakałem,
Kiedym patrzał na lud wasz niedolą znękany,
Na ducha obłąkanie i serc ciężkie rany;
I gdym pierwszy raz wołał, a wyście nie przyszli,
Słuchać pieśni o Bogu, świętej uczuć myśli.

Ludzie, ludzie! gdzie wy dążycie,
Przez łzy i zbrodnie?
Stójcie chwilowi przechodnie,
Oh! stójcie, bo zgasicie,
W kałuży krwi i błota
Promienną iskrę żywota.

Ludzie, nie idźcie, gdzie bogacze świata
Purpurą, złotem, zbytkami,
Urągają nędzy brata,
Żywiąc się jego ciałem, pojąc jego łzami!

Ludzie nie idźcie, gdzie głosem szyderca,
Duch piekieł, kłamie Bogu i bluźni nauką.
Żeby stokroć przeklętą sztuką
Resztki nadziei wyszarpać wam z serca.
I ciężej nizli ciała w żelazne łańcuchy.
W przewrotne fałsze okuć wasze duchy.

Oh! nie idźcie tam, ludzie! Ludzie, bracia moi!
Do mnie, do mnie! ja wszystkich przytulę,
Moja pieśń ukoi
Wszystkie troski, wszystkie bóle —
Moje ramię obejmie jednem uściśnieniem,
Wszystkie ludy — o bracia! pójdę mojem pieniem
Budzić uśpione w obojętnej nocy,
Z południa ku północy,
Z zachodu ku wschodowi,
Głos mój wypowie —
Pieśń moja wyśpiewa
Rozkaz Boga — cel ludzkości,
Słowa braterskiej miłości,
I ziemia będzie szczęśliwa!«

. . . . . .

N. Żmichowska

Kobiecie.

Kobieto! tyś aniołem, gdy nad męską głową,
Nad czołem utrudzonem od walki i znoju,
Oczy twoje jutrzenką zabłysną różową,
A usta niosą słowa miłości, pokoju.

Kobieto! tyś aniołem, gdy na skroń młodzieńca,
Biała dłoń twa opadnie i ogień ochłodzi,
Gdy słowo twe natchnione do trudów zachęca,
Gdyś jest gwiazdą przewodnią i patronką młodzi.

Kobieto! tyś aniołem, gdy wdzięcznie schylona,
Nad kołyską dziecięcia złote gonisz mary,
I synka otulając w matczyne ramiona,
Wcześnie uczysz go wielkiej modlitwy — ofiary.

Kobieto! tyś aniołem... w łunie bojowiska,
Na tle nieba krwawego wśród gwiazd zbladłych z trwogi,
Twój welon, niby gwiazda odkupienia błyska,
Gwiazda, co ma ludzkości nowe wskazać drogi.

Kobieto! tyś aniołem domowego progu!
W okół ciebie czeladki grzmią gwary, szczebioty,
A ty ją wiedziesz cicha ku twojemu Bogu,
Po drodze poświęcenia, obowiązków, cnoty.

Kobieto! tyś aniołem! O bądź dla ludzkości
Zawsze tym ideałem, czynów jej koroną,
Wsparciem męskich wysileń, skarbnicą miłości,
Gwiazdą tak zda się blizką a niedoścignioną!

O! niech ja ciebie zawsze widzę taką jasną,
Niech wiem, że ty mi stróżem, do czynu podnietą:
A choć gwiazdy dokoła na niebie pogasną,
Po twej drodze niebiosa odnajdę — kobieto!

Wład. Bełza.

Do młodej Polki.

Kochaj dziewczyno! o kochaj szczerze
Prababek twoich święte pacierze!

Czcij pamięć ojców, — bo ojce twoi
Biali orłowie w skrzydlatej zbroi:
To męczennicy prześwietnej sprawy,
Lub bohaterzy z szańców Warszawy!

A potem kmiece ukochaj chaty,
Boś córą ludu, dziewczę liliowe!
Bo przed ich nizką strzechą przed laty
Król — ojciec chłopków pochylał głowę.

Ukochaj lud twój dzielny — poczciwy,
O złotem sercu, w siermiędze siwej —
Co na głos wodza pod Racławice,
Na miecz przekował lśniące kosice!

Kochaj wrzeciono — bo przy wrzecionie
Siedziała nieraz pani w koronie,
I srebrne pasma snuła bez sromu,
Na przyozdobę Bożego domu!
A nadewszystko miłością czystą
Kochaj — o! kochaj ziemię ojczystą,
I kiedy padnie godzina czarna,
Dla niej — jak gołąb, stań się ofiarna!

Władysław Bełza.

Sztandar.

Za nasz proporzec! druhowie młodzi,
Niech *młody zapał* nam służy!
Niech on nam w walce z życiem przewodzi.
Rozpierzchłych skupia, zwaśnionych godzi,
Kotwicą stanie się w burzy!

Niechaj on dla nas jak jutrznia świeci,
Gołębiem będzie pożaru —
Pod jego godło niechaj się zleci
Ta rozproszona drużyna dzieci,
Co dotąd nie ma sztandaru!

Niech on nad skronią naszą powieje
Jak orzeł skrzydły srebrnemi!
W sercach wątpiących zbudzi nadzieję,
Iskry wykrzesze z lodu i wleje
W pierś błędnej dziatwy tej ziemi.

Niechaj on garnie co zacne, prawe,
Niech prawdy strzeże i broni —
Z nim poczynajmy codzienną sprawę,
Miejmy w nim tarczę, miejmy w nim nawę,
Co nas z rozbicia ochroni.

Nieśmy go górą! Niech on nam wieści
O dawnym duchu ofiary
Nieśmy go wiernie w łzach i boleści,
Lecz go ratujmy z krwi i bezcześci,
Jako Rzymianin swe lary!

W nim czerpmy siłę, on nas podeprze,
On cel da wszelkim zamiarom
Z nim pójdziem w czasy jaśniejsze, lepsze,
A głos tysiąców eter rozeprze
Cześć bijąc takim sztandarom.

Wład. Bełza.

Nasz sztandar.

Nasz sztandar tkała żywa moc,
Co śmierci się nie lęka!
Przez chmurne dni, przez głuchą noc
Tkała go duchów ręka.
My jej drgającą snuli nić
Z serca, co żarem bije...
Ten tylko naród godzien żyć,
Co czuje sam, że — żyje!

Nasz sztandar powiał w jasność zórz
Na drzewcu z tego drzewa,
Co korzeniami w szerz i wzdłuż —
Wzrosło w tej ziemi trzewa.
I nikt i hic, przez żaden trud,
Nie zerwie węzła tego,
Co z ziemią wiąże wierny lud,
A ziemię z duchem jego.

Nasz sztandar jedno hasło ma,
I jedno zawołanie:
W jedności, w pracy życie trwa.
Jest z klęski — zmartwychwstanie;
My go z czcią niesiem w życia chram
Od ziemi, od macierzy...
— Ten tylko wejdzie do jutra bram,
Kto w jutro swoje wierzy!

Marya Konopnicka

Do młodych.

Szukajcie prawdy jasnego promienia,
Szukajcie nowych, nieodkrytych dróg!
Za każdym krokiem w tajniki stworzenia
Coraz się dusza ludzka rozprzestrzenia,
I większym staje się Bóg!

Choć otrząśniecie kwiaty barwnych mytów,
Choć rozproszycie legendowy mrok,
Choć mgłę urojeń zedrzecie z błękitów —
Ludziom niebiańskich nie zbraknie zachwytów.
Lecz dalej sięgnie ich wzrok.

Każda epoka ma swe własne cele
I zapomina o wczorajszych snach:
Nieście więc wiedzy pochodnię na czele,
I nowy udział bierzcie w wieków dziele —
Przyszłości podnoście gmach!

Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy,
Choć macie sami doskonalsze wznieść:
Na nich się jeszcze święty ogień żarzy —
I miłość ludzka stoi tam na straży —
I wy winniście im cześć!

Ze światem, który w ciemność już zachodzi
Wraz z całą tęczą idealnych snów,
Prawdziwa mądrość niechaj was pogodzi:
I wasze gwiazdy, o zdobywcy młodzi,
W ciemnościach pogasną znów!

Adam Asnyk.

Młodości moja!

Młodości moja, ty mi bądź aniołem!
Prowadź do celu i drogą cierniową.
Bylem szedł zawsze z podniesioną głową.
Bylem nie żółwiem był, ale sokołem.
Młodości moja! i nad mojem czołem
Możesz się wznosić z męczennika wieńcem.
Bylem narodu został ulubieńcem...
Młodości moja! ty mi bądź aniołem!

Młodości moja, bądź mi zbrojną tarczą!
Osłoń me piersi przed niemęską trwogą.
Niechaj jak magnes siłami się wznoga,
Kiedy je cierpień ciężary obarczą.
Chociaż pioruny nademną zawarczą.
Niech jak chorąży przed moim narodem
Z sztandarem wiary postępuję przodem...
Młodości moja! bądź mi zbrojną tarczą!

Młodości moja, ty mi bądź łańcuchem!
Wiąż mnie z tym biednym, podeptanym ludem,
Niechaj się pozna, niech rozkwitnie cudem.
Kiedy go otchnę silnym moim duchem.
Orlą źrenicą, zaostrzonym słuchem
Niechaj się wgłębię w jego pierś zbolałą,
Z której się tyle łez i krwi wylało...
Młodości moja! ty mi bądź łańcuchem!

Młodości moja, bądź mi zdrowem ziarnem!
Każda myśl moja niech się zazieleni
W sercach mych braci, niech się tam rozpleni:
Co ma być białem niech nie będzie czarnem

Młodości moja, nie bądź mi snem marnym,
Wykuj marzenia twe w żelazne czyny,
By z niej się późne żyć uczyły syny...
Młodości moja! bądź mi zdrowem ziarnem!

Kornel Ujejski

Toast.

Młodzieży polskiej toast ten!
Młodzież — to przyszłość narodowa —
Nam Bóg w niewoli poddał sen.
Zbudzenie dla was chowa.

Bogatą dajem wam spuściznę:
Dla Polski ludów cześć —
Toż pamiętajcie tę ojczyznę
Wysokiem skrzydłem nieść!

Toż pamiętajcie, że ta Polska
Nie liczbą wag i miar.
Ale ofiarą apostolską
Rozlewać ma swój czar.

Niedarmo ona krwią płaciła
Każdy ku niebu ruch —
Jak pod ciężarem wzrasta siła,
Tak w męce wzrósł jej duch.

Młodzieży polskiej toast ten!
Młodzież to przyszłość narodowa —
Nam Bóg ten piękny daje sen,
Spełnienie — dla was chowa.

Kornel Ujejski.

Hymn orłów.

Hej! bracia orły, do lotu!
Na świata brudnego końce!
Przed nami góry — olbrzymy,
Przed nami czernią chmur dymy,
Hej! bracia orły, do lotu!
Przed nami słońce!

Kto ulągł się u skał szczytów,
Temu świat cały jest drogą,
Kolebką — morze błękitów,
Łożem — posłanie z granitów,
Temu świat cały jest drogą,
Kto ulągł się u skał szczytów!

Hej! skrzydła roztoczmy obie
Na świata czworakie wiatry!
Z odważną piersią w zasobie,
Odbądźmy przegląd po globie:
Kolebką były nam Tatry,
Z nich skrzydła roztoczmy obie!

Oczami — jak błyskawicą,
Ścigajmy zdobycz z wysoka,
A co wypatrzym źrenicą,
Niechaj wnet szpony pochwycą:
Odwagą bystrego oka
Przestraszmy jak błyskawicą.

Jastrzębi, sokołów stada
W naszej ojczyźnie plądrują;
Wiatr, zanim skona noc blada,

Z szumem się skrzydeł rozguda,
I nasze szpony poczują
Jastrzębi, sokołów stada!

Tam kruków czernie przeklęte
Na trupy żerować biegną:
Lecz tych wspomnienie jest święte,
Ciała szanowne nietknięte,
Co walcząc za kraj, polegną:
Rozpędźmy czernie przeklęte!

Ha! jeszcze burza szalona
Piorunem w oczy nam błyszczy.
Sił popróbujmy — niech ona,
Choć straszna grzmotami, skona,
Swej piersi żarem się niszczy!
I pierzcha burza szalona!

Hej! bracia orły, do lotu!
Choć czyste już świata konce,
Chociaż go podłość nie gniecie,
Lecz jeszcze zimno na świecie.
Hej! bracia orły, do lotu,
Przed nami pali się słońce! ..

Edm. Wasilewski.

Kto silniejszy?

Hej! na górze wyniosłej
Zamek sterczy wysoki.
Stopy myją mu fale,
Głowy czeszą obłoki...

Nad nim złota chorągiew
Igra z wiatrem powiewna —
A w tym zamku król wielki.
A w tym zamku królewna.

»Hej rycerze! kto siłę
Z was największą okaże,
Temu konia bachmata
I rynsztunek dam w darze.

I sokoła z kapturem,
I puhary złocone,
I połowę królestwa.
I mą córkę za żonę!«

A więc jeden podskoczy
I ogromnem ramieniem
Z ziemi skałę, co rosła.
Wyrwał z twardym korzeniem.

Za nim drugi podskoczył
I nie długo się bawił.
I na miejscu wyrwanej
Drugą skałę postawił...

Król sędziwy wyrzecze:
Siła w obu was równa.
Więc którego z was zechce,
Niech rozsądzi królewna!

Jak malina dzieweczka
Schyla modre oczęta:
»*Burzyć, ojcze, rzecz wielka.*
Lecz budować — rzecz święta.

Komu oddać mą rękę,
Ja nie waham się chwili,
Lecz twe słowo monarsze,
Niechaj szalę przechyli!«

Król z łzą w oku spogląda
Na obydwu rycerzy:
»Który skałę postawił,
Temu dank mój należy...

Tyś witeziu silniejszy,
Niż najwięksi mocarze,
A więc tobie bachmata
I rynsztunek dam w darze...

I sokoła z kapturem,
I puhary złocone,
I połowę królestwa,
I mą córkę za żonę.«

Bolesław Czerwieński

Pieśń na dzisiaj.

My niegdyś lud od sochy
I pługów my dziedzice
Wraz z ziemią — ojców prochy
Orali pod pszenicę.
Gdy ziemię przemoc wzięła,
Do innej pracy pójdź;
Bo nam, by »nie zginęła«
Nowego jąć się dzieła
I kuć, i kuć i kuć!

My niegdyś lud od miecza,
Co karci, nie frymarczy —
A świat się ubezpiecza
Pod cieniem naszej tarczy.
Gdy miecz nam wypadł złoty,
W bezbronne dłonie pluć!
Do innej się roboty
Zabierać, w górę młoty!
I kuć, i kuć i kuć!

Choć przeszłość się rozpadła,
Nie nam w przepaście runąć;
Od młota i kowadła
Nie damy się usunąć.
Nieznane nam grabieże,
Nieprawnych łupów chuć!
My chcemy w siły świeże
Wlać hasło: kocham, wierzę,
I kuć, i kuć i kuć.

Na nic się nie oglądać,
Nie świecić ale pałać,
Nie błagać — ale żądać,
Nie marzyć — ale działać.
Odzienie zewlec sutsze,
Robocze suknie wzuć,
Choć dni do pracy krótsze,
Nam myśleć wciąż o jutrze
I kuć, i kuć i kuć!

Józef Kościelski.

Przy kowadle.

Dyszą miechy — węgle świecą,
Ogień w górę słupem bije,
Iskry złotym deszczem lecą
Na zczerniałą twarz i szyję.

Czasem stal się z wodą skłóci,
Syknie — niby się oburzy,
Stary kowal piosnkę nuci,
A młot stary w takt mu wtórzy:

Krzyż na czoło, dziatwo wierna!
Boże słonko wstało wcześnie,
Oto w ciało moc niezmierna
Łaską Bożą zlana we śnie.

Więc z tą mocą, gdy tak padło,
Skłoń się Panu i młot z dłoni
Spuść, a dziarsko, na kowadło,
Aż jak wielki dzwon zadzwoni.

Z nieba świętym przykro w dole
Widzieć, jako człek się leni,
Lecz gdy stanie pot na czole,
Bóg żelazo w chleb przemieni.

Z nieba, dziatwo, patrz zachęty,
Nie daleko iść za znakiem,
Wszakże cieślą — Józef święty,
A Piotr klucznik — był rybakiem.

Bóg sam — wielki król kowali,
Kiedy w grzesznym dusza harda,
To go ogniem nieszczęść pali,
Aż w nim pycha stleje twarda.

Potem kawał stali suchy
Młotem kary — bije, ciśnie,
Aż zeń tęcza łzawej skruchy,
Niby iskier snop wytryśnie.

Więc za Bogiem, gdy tak padło,
Żwawo, dziatwo, i młot z dłoni
Spuść a dziarsko, na kowadło,
Aż jak wielki dzwon zadzwoni!

Władysław Orkan

Słonko.

Wędrowało sobie słonko,
Uśmiechnięte, jasne, złote:
Szło nad gajem, szło nad łąką —
Napotkało w łzach sierotę.

Ten się żali: — Tak wesoło
Świecisz światu, słonko moje,
Uśmiechami sypiesz w koło,
Gdy ja smutny we łzach stoję.

Obojętnie patrzysz na to,
Jak się ludzkie serca męczą...
I nad każdą ludzką stratą
Promienistą błyskasz tęczą.

Słonko na to: — Biedne dziecię!
I mnie smutno na niebiosach,
Gdy o waszym myślę świecie
I o ludzi ciężkich losach:

Lecz nie mogę ustać w drodze.
By nad każdą boleć raną:
Więc w złocistym blasku chodzę,
Wypełniając co kazano.

Nie pomogą próżne żale...
Ból swój niebu trza polecić —
A samemu wciąż wytrwale
Trzeba naprzód iść i świecić!«

Adam Asnyk.

Pan Jezus chodzi po świecie.

O! nie rozpaczaj tak, dziecię,
Że nie masz ojca i matki, —
Pan Jezus chodzi po świecie
I zrywa na łąkach kwiatki.

Chodzi od wioski do wioski
I z kwiatków wianeczki zwija!
Szczęśliwym uśmiech ojcowski
Do chaty rzuca — i mija.

Lecz gdy sierotę napotka
W chacie zwalonej od gromu.
Natenczas zjawia się słodka
Twarz Jego na progach domu...

I Boskie wyciąga dłonie.
Aby przytulić sierotę:
Niesie jej blask i wonie,
Kwiatki niebieskie i złote

A każdy kwiatek niebieski,
Którym Pan Jezus obdarzy,
Osusza sieroce łezki
Wejrzeniem matczynej twarzy.

I w sercu nabrzmiałem łzami
Wciąż pączki wypuszcza świeże...
Jasnemi niebios barwami
Duszę sieroty ubierze.

A każdy kwiatuszek złoty
W przewodnią gwiazdę się zmienia,
I lśni nad czołem sieroty
Iskrą czystego natchnienia:

Choć pójdzie drogą boleści,
Choć nie zna rodzinnej strzechy —
W swych piersiach dziedzictwo mieści,
Pełne niebiańskiej pociechy.

Więc nie rozpaczaj tak, dziecię,
Że nie masz ojca i matki!
Pan Jezus chodzi po świecie
I zrywa po łąkach kwiatki.

Adam Asnyk.

Dalej skrzypki grajcie...

Zapomniane skrzypki moje, zagrajcie od ucha!
Lasy, wzgórza i doliny, zapalcie w nich ducha:
Ducha w nich zapalcie, niechaj brzmią naokół,
A ty, myśli moja, podlatuj jak sokół!
Już skowronek i jaskółka witają nas wiosną,
Rzućmy ziarno na tę ziemię, a kłosy wyrosną!

Trzeba orać ziemię żyzną z wiarą i nadzieją.
Nie dbać na to, chociaż kwiecień zaszumi zawieją;
Zaszumi zawieją, lecz jak świeży ranek
Rozpogodzi niebo maj, wiosny kochanek.
Dalej razem, jak te wołki, idźmy krok za krokiem,
Bo gdy zagon uprawiony, miło rzucić okiem.

Ty, fujarko, brzmij po drzewach, niech pękają liście,
Wtedy wtórem i las chórem zagra uroczyście:
Uroczyście zagra, jakby przy niedzieli,
Jak piosnka kochanki, serce rozweseli.
A więc skrzypki i fujarko, na ojczystej grzędzie
Razem grajcie, zgodnie, żwawo, a muzyka będzie!

Żyzna niwa kłosem pływa, kwiateczkami woni,
Tu się bławat patrzy w niebo, polny mak się płoni:
Polny mak się płoni, jakoś go wstyd ima,
Że błyszczy purpurą, lecz zapachu nie ma.
O! boć darmo, samym blaskiem nic się nie przymili,
Stokroć milsza jest pszenica, gdy kłos ciężki schyli!

Dalej, skrzypki, grajcie hucznie, Wisła dźwięk poniesie,
Na jej brzegach rosną lasy, słowiki są w lesie:
Słowiki są w lesie, na dziób kach zanucą
I całą naturę zbudzą, rozesmucą!
A gdy żniwo już skończymy, wtedy na dożynek
Wszyscy Bogu piosnkę świętą złożym w upominek.

Edm. Wasilewski.

Przeminie.

Gdyś ludzi kochał miłością tak czystą,
A żadnej zdrady twe serce nie znało,
Świat serce złamał, myśl zmroził ognistą —
Cóż ci z tych błogich dziś marzeń zostało?
Gorzkie wspomnienie! — Na tej łez dolinie
I to przeminie.

Gdy taką walką dusza rozkrwawiona
Jak ptak spłoszony przed światem się kryła
A ostrym smutku wieńcem ocierniona,
Z kielicha życia samą gorycz piła,
Łzy twe spłynęły! — Na tej łez dolinie
I to przeminie.

Gdy twym zamysłom wszystko idzie sprzecznie,
Z sobą, ze światem wciąż żyjesz w rozdwoju,
I walcząc mężnie, walczysz bezskutecznie,
Nie mogąc duszy wywalczyć pokoju,
Nie trać ufności! Na tej łez dolinie
I to przeminie!

Patrząc w to niebo, ale patrząc duszą,
Tęsknoty bóle kiedy cię owładną,
Smutny zawołasz: Ach, kiedyż się skruszą,
Kiedyż niewoli kajdany opadną?
O, bądź cierpliwy! — Na tej łez dolinie
I to przeminie.

Spojrzyj w czas zbiegły, a wnet się rozbudzi
W marzącej duszy młodych lat wspomnienie:
Wieleś wycierpiał dla ludzi, od ludzi:
Życie twe było jak jedno bolenie:

Przeszłość i przyszłość! — Na tej łez dolinie
Wszystko przeminie.

Pracuj i kochaj! Módl się bez ustanku.
Modlitwa z Bogiem duszę twoją złączy,
I łzy, coś przelał już w życia poranku.
I te, co jeszcze twe oko wysączy,
Uschną w mogile. — Na tej łez dolinie
Wszystko przeminie.

Bo każda życia chwilka, to ogniwo:
Jedno po drugiem w tym łańcuchu pęka.
Coś w smutku zasiał, piękne wyda żniwo.
Nad grobem życia zaświeci jutrzenka.
Nie trać odwagi! — Na tej łez dolinie
Wszystko przeminie!

Mężnie więc naprzód, jeszcze kroków kilka,
Kilka łez jeszcze przepłaczesz, pielgrzymie:
Wieczność się zbliża, życie jedna chwilka;
Z tobą i ból twój w mogile zadrzymie.
Wiara, nadzieja i miłość nie przeminie
Choć świat zaginie.

Ks. K. Antoniewicz

Dobre rady.

Wstawaj rano! sypiaj twardo!
Hartuj duszę — jadaj miernie,
Z bólem łam się z młodu hardo.
A dochowaj słowa wiernie

Ucz się słuchać — abyś umiał
Rozkazywać, gdy tak padnie!
Ucz się pracy — byś zrozumiał,
Co tam leży w życiu na dnie.
Ucz się milczeć — byś treściwie
Umiał podnieść w niebo głosy;
Ucz się modlić — byś cierpliwie
Umiał wytrwać na złe losy.
Rano rozważ, co masz czynić,
Nim postawisz krok na progu,
A wieczorem licz się Bogu!
I już lepiej jest obwinić
W sercu siebie niźli bliźnie,
Kiedy noga się pośliźnie.
Nic nie pocznij bez rozwagi,
Boga wzywaj do pomocy;
To nie zbraknie ci odwagi
Ani we dnie ani w nocy.

W. Pol.

Dzień święty.

Ludzie, rady mej słuchajcie:
Ojców zwyczaj zachowajcie!
Święto niechaj świętem będzie:
Tak bywało przedtem wszędzie.

Święta przedtem ludzie czcili.
A przecież wszystko zrobili.
A ziemia hojnie rodziła,
Bo pobożność Bogu miła.

Dziś bez przestanku pracujem.
I dniom świętym nie folgujem!
Więc też tylko zarabiamy.
Ale przecie nic nie mamy.

Albo nas grady porażą.
Albo zbytnie ciepła karzą;
Co rok słabsze urodzaje,
A zadrogość zatem wstaje.

Pracuj we dnie, pracuj w nocy:
Próżno bez Pańskiej pomocy;
Boga, bracia, Boga trzeba.
Kto chce syt być swego chleba.

Jan Kochanowski.

Z dobrych rad.

Chcesz być czemś w życiu, to się ucz,
Abyś nie zginął w tłumie:
Nauka — do potęgi klucz,
W tym moc, kto więcej umie.

Bo wiedz, — nie popchną tego wstecz
Ani pochłoną fale,
Kto umie choćby jedną rzecz,
Lecz umie doskonale.

Ignacy Baliński

Wątpliwości.

Strumień mówi: »Nie rozumiem, na co
Muszę ciągle z gór w doliny płynąć:
Mój bieg cały — próżną tylko pracą.
Kiedy w morzu mam bez śladu ginąć.

Na to kwiaty w dolinie rosnące:
»Ty się nie skarż o dobry strumieniu!
Twoje wody sączą życie łące,
Są niezbędne naszemu istnieniu.«

Kwiaty mówią: Dziwne nasze losy!
Po co wonie rozsiewać z kielicha?
Po co błyszczeć kropelkami rosy,
Gdy z nas każdy tak prędko usycha?...
Na to dziewczę: »Dola wasza — kwiaty,
Jest podziwu godną i zazdrości,
Swoim wdziękiem ożywiacie światy,
Sercom ludzkim niosąc woń piękności.«

Dziewczę mówi: »Na co mi uroda?
Na co w piersiach słodkich uczuć tyle?
Szkoda marzeń serdecznych, ach szkoda!
Wszystko zniknie jako sen za chwilę!...«
Na to młodzian: »Nikt szczęścia nie mierzył
Dnia długością, lecz tem co mu dano —
Bóg ci skarby uczucia powierzył.
Bądź kochała i bądź kochaną.

Młodzian mówi: »Ach! w tym życia boju.
Co wre ciągle przedemną i we mnie,
Próżno szukam zwycięstw i spokoju.
Po co żyję — gdy walczę daremnie?...
Na to usta dziewczęcia milczały,
Lecz rączkami oplotła mu szyję —
Wątpliwości jako śnieg stopniały...
I nie pytał więcej — po co żyje.

Adam Asnyk (El...y.)

VIII.

Pani Twardowska.

Jedzą, piją, lulki palą.
Tańce, hulanka, swawola:
Ledwo karczmy nie rozwalą:
Cha cha, chi chi, hejże hola!

Twardowski siadł w końcu stoła,
Podparł się w boki jak basza:
Hulaj dusza! hulaj! woła,
Śmieszy, tumani przestrasza.

Żołnierzowi, co grał zucha,
Wszystkich łaje i potrąca,
Świsnął szablą koło ucha:
Już z żołnierza masz zająca.

Na patrona z trybunału,
Co' milczkiem wypróżniał rondel,
Zadzwonił kiwską po mału:
Z patrona robi się kondel.

Szewcu w nos wyciął trzy szczutki,
Do łba przymknął trzy rureczki,
Cmoknął: cmok! i gdańskiej wódki
Wytoczył ze łba pół beczki.

Wtem, gdy wódkę pił z kielicha,
Kielich zaświstał, zazgrzytał:
Patrzy na dno. — Co u licha?
Po coś tu, kumie, zawitał?

Djablik to był w wódce na dnie;
Istny potwór, sztuczka kusa.
Skłonił się gościom układnie,
Zdjął kapelusz i dał susa.

Z kielicha aż na podłogę
Pada, rośnie na dwa łokcie,
Nos jak haczyk, kurzą nogę,
I kreguleze ma paznogcie.

»A, Twardowski... witam bracie!«
To mówiąc, bieży obcesem:
»Cóż to, czyliż mnie nie znacie?
Jestem Mefistofelesem!

Wszak ze mną na Łysej-Górze
Robił o duszę zapisy:
Cyrograf na byczej skórze
Podpisałeś ty, i bisy

Miały słuchać twego rymu:
Ty, jak dwa lata przebiegą,
Miałeś pojechać do Rzymu,
By cię tam porwać jak swego.

Już i siedem lat uciekło,
Cyrograf nadal nie służy:
Ty, czarami dręcząc piekło,
Ani myślisz o podróży.

Ale zemsta, choć leniwa,
Nagnała cię w nasze sieci:
Ta karczma Rzym się nazywa.
Kładę areszt na waszeci.

Twardowski ku drzwiom się kwapił
Na takie dictum acerbum, *)
Djabeł za kontusz ułapił,
A gdzie jest nobile verbum? **)

Co tu począć? kusa rada,
Przyjdzie już nałożyć głową...
Twardowski na koncept wpada
I zadaje trudność nową.

»Patrz w kontrakt, Mefistofilu,
Tam warunki takie stoją:
Po latach tylu a tylu,
Gdy przyjdziesz brać duszę moją,

Będę miał prawo trzy razy
Zaprządz ciebie do roboty.
A ty najtwardsze rozkazy
Musisz spełnić co do joty.

Patrz, oto jest karczmy godło:
Koń, malowany na płótnie:
Ja chcę mu skoczyć na siodło,
A koń niech z kopyta utnie.

*) Czytaj dictum acerbum; znaczy to: słowo surowe, nie wesołe.

**) Znaczy słowo szlachetne.

Skręć mi przytem biczyk z piasku.
Żebym miał czem konia chłostać:
I wymuruj gmach w tym lasku,
Bym miał gdzie na popas zostać.

Gmach będzie z ziarnek orzecha,
Wysoki pod szczyt Krępaku,
Z bród żydowskich ma być strzecha,
Pobita nasieniem z maku.

Patrz, oto na miarę ćwieczek,
Cal gruby, długi trzy cale.
W każde z makowych ziareczek
Wbij mi takie trzy bratnale.

Mefistofel duchem skoczy.
Konia czyści, karmi, poi:
Potem bicz z piasku utoczy,
I już w gotowości stoi.

Twardowski dosiadł biegusa,
Próbuje podskoków, zwrotów,
Stępa, galopuje, kłusa —
Patrzy, aż i gmach już gotów.

»No! wygrałeś panie bisie;
Lecz druga rzecz nie skończona
Trzeba skąpać się w tej misie
A to jest woda święcona.

Djabeł kurczy się i krztusi.
Aż zimny pot na nim bije:
Lecz pan każe, sługa musi.
Skąpał się biedak po szyję.

Wyleciał potem jak z procy,
Otrząsł się, dbrum! parsknął raźnie.
»Teraz jużeś w naszej mocy,
Najgorętszam odbył łaźnię.«

»Jeszcze jedno, będzie kwita,
— Zaraz pęknie moc czartowska! —
Patrzaj, oto jest kobieta.
Moja żoneczka, Twardowska.

Ja na rok u Belzebuba
Przyjmę za ciebie mieszkanie;
Niech przez ten rok moja luba
Z tobą, jak z mężem, zostanie.

Przysiąż jej miłość, szacunek
I posłuszeństwo bez granic;
Złamiesz choć jeden warunek,
Już cała ugoda za nic.«

Djabeł do niego pół ucha,
Pół oka zwrócił do samki:
Niby patrzy, niby słucha —
Tymczasem już blizko klamki

Gdy mu Twardowski dokucza,
Od drzwi, od okien odpycha,
Czmychnąwszy dziurką od klucza,
Dotąd, jak czmycha, tak czmycha.

A. Mickiewicz.

Golono, strzyżono.

U nas, kto jest niby chory,
Zwołuje zaraz doktory:
Lecz czując się bardzo słaby,
Prosi chłopa albo baby.
Ci ze swego aptekarstwa
Potrafiają i podagrze,
I chiragrze i głuchotom,
I suchotom i głupotom
Radzić — a i u nich wszakże
Nie masz na upór lekarstwa.

Mieszkał Mazur blizko Zgierza,
Któremu zginęła suka.
Straż domostwa i śpichlerza.
Gdy jej z żalem i kłopotem
W okolicy całej szuka,
Wróciła się tydzień potem.
Ledwie poznał że to ona:
Bo była w pół ogolona.
»O zbóje! żeby ją skryli
Używając takich figli.
Że biedaczkę wygolili!...«
»Powiedz raczej, że ostrzygli
— Robi mu uwagę żona —
Bo psów nie golą lecz strzygą.«
»Ano patrzajcież bo mi go,
— Odezwie Mazur z przekąsem —
Jaka ty mi dyć uczona!
Mając gołe jak pięść lice,
Chcesz nauczyć nas pod wąsem.

Co jest brzytwa, co nożyce?
A nasz pan, co mu łysina
Przyświeca się jak ta psina,
Myślisz, że jest postrzyżona?...«
»A wąsiki ekonoma,
— Odpowiada zaraz żona —
Co mu wiszą jak u sosny,
A błyszczą jak namaszczone,
Sąć golone czy strzyżone?...«
»Bierz ci licho twego pana,
I pana i ekonoma,
Dobrze, że suka jest doma,
Choć też szpetnie ogolona.«
»Toć i jam się ucieszyła
— Odpowiada zaraz żona —
Że się suka powróciła,
Choć też szpetnie ostrzyżona.«
»Głupiaś z twemi nożycami!«
»I ty z twojemi brzytwami!...«
»Że golona, przypatrz że się!«
»Że strzyżona, pokaże się...«

Tak się kłócą mąż i żona;
Miasto Zgierz całe się zbiega,
A krzyk wkoło się rozlega:
Ogolona! ostrzyżona!

Idzie sąsiad: »Niechaj przyjdzie,
Niech się wpatrzy i przekona.«
Idzie żyd: »Powiedz-no żydzie,
Czy golona? czy strzyżona?«
Od żyda aż do plebana.

Od plebana aż do pana.
Sprawa zapieczętowana:
Co sąsiad i żyd dowodził,
Na to się ksiądz i pan zgodził:
Że wygrała męzka strona,
Że suka jest ogolona.

Wracają do domu strony.
Po drodze chłop pyta żony:
»Czy wyroku treść pamięta?
Ona milczy jak zaklęta,
U progu suka ich wita:
Pójdź tu moja ogolona!«
Woła mąż. A kobieta:
Pójdź tu moja ostrzyżona!«

Mazur wściekły, już nie gadał.
Ani żonie odpowiadał;
Tylko wziąwszy pod rękawki,
Wlecze ją wprost do sadzawki,
I topi jak kadź ogórków.
Ona, nienawykła nurków,
Już się zachłysnęła nieraz:
On, trzymając za ramiona,
Gnębi, krzycząc: »A no teraz:
Czy golona czy strzyżona?«
Biedaczka, ze śmiercią w walce,
Czując skonu paraliże,
Wytknęła tylko dwa palce:
I na odpowiedź palcami,
Jakby dwiema nożycami,
Mężowi pod nosem strzyże.

Na ten widok, uciekł z wody.
Ona poszła do gospody;
On się puścił aż do Zgierza.
I tam przystał na żołnierza

A. Mickiewicz

Trzech Budrysów.

Stary Budrys trzech synów, tęgich jak sam Litwinów,
Na dziedziniec przyzywa i rzecze:
»Wyprowadźcie rumaki, narządźcie kulbaki,
A wyostrzcie i groty i miecze.

Bo mówiono w Wilnie, że otrąbią niemylnie
Trzy wyprawy na świata trzy strony:
Olgierd ruskie posady, Skirgiełł Lachy sąsiady,
A ksiądz Kiejstut napadnie Teutony.

Wyście krzepcy i zdrowi: jedźcie służyć krajowi,
Niech Litewskie prowadzą was bogi!
Tego roku nie jadę, lecz jadącym dam radę:
Trzej jesteście i macie trzy drogi.

Jeden z waszych biedz musi za Olgierdem ku Rusi,
Ponad Ilmen, pod mur Nowogrodu:
Tam sobole ogony i srebrzyste zasłony,
I u kupców tam dzięgi jak lodu.

Niech zaciągnie się drugi w księdza Kiejstuta sługi,
Niechaj tępi Krzyżaki psubraty:
Tam bursztynów jak piasku, sukna cudnego blasku
I kapłańskie w brylantach ornaty.

Skirgiełłem niech trzeci poza Niemen przeleci,
Nędzne znajdzie tam sprzęty domowe:
Ie za to wybierze dobre szable, puklerze,
I mnie stamtąd przywiezie synowę.

nad wszystkich ziem branki, milsze Laszki ko-
Wesolutkie jak młode koteczki. [chanki.
re bielsze od mleka, z czarną rzęsą powieka,
Oczy błyszczą się jak dwie gwiazdeczki.

Stamtąd ja przed półwiekiem, gdym był młodym czło-
Laszkę sobie przywiozłem za żonę: [wiekiem.
A choć ona już w grobie, jeszcze dotąd ją sobie
Przypominam, gdy spojrzę w tę stronę

Taką dawszy przestrogę, błogosławił na drogę:
Oni wsiedli, broń wzięli, pobiegli.
Idzie jesień i zima, synów nie ma i nie ma.
Budrys myślał, że w boju polegli.

Po śnieżystej zamieci do wsi zbrojny mąż leci,
A pod burką wielkiego coś chowa.
Ej to kubeł, w tym kuble nowogrodzkie są ruble?
Nie, mój ojcze, to Laszka synowa!

Po śnieżystej zamieci do wsi zbrojny mąż leci,
A pod burką wielkiego coś chowa.
Pewnie z Niemiec, mój synu, wieziesz kubeł bur-
Nie, mój ojcze, to Laszka synowa. [sztynu?

Po śnieżystej zamieci do wsi jedzie mąż trzeci.
Burka pełna, zdobyczy tam wiele:
Lecz nim zdobycz pokazał, stary Budrys już kaz
Prosić gości na trzecie wesele.

A. Mickiewicz.

Trzy Budryski.

Pani Klara trzy córki, jak sarneczki, wiewiórki,
Do salonu przyzywa i rzecze:
»Hej walizy i kufry niech spakuje Onufry,
A Jan z lamusa kocz niech wywlecze!

Bo musicie, me dziatki, z rodzinnej precz chatki
W świat wyruszyć dziś jeszcze z wieczora:
Wam szesnastej już wiosny minął dzionek radosny
O przyszłości pomyśleć więc pora!

Dziś, me córki, na świecie los się śmieje kobiecie
A jej droga różami wysłana:
Sama istnieć już może, nie zakuta w obroże
Przez mężczyznę, drapieżcę-tyrana!

Nowym świat dziś mknie torem, zerwał z szyche
Jedno prawo ma mąż i niewiasta! [pozorem.
Więc w zapasy i boje, was pieszczotki ślę moje
Sił udzieli wam wiosna... szesnasta.

O, w tej walce ze światem kwiat opadnie za kwiate
Snów, niesionych za chatki tej progi!
W fałsz jedziecie i zdradę, więc jadącym dam rad
Trzy jesteście i macie trzy drogi.

Jednej drogi szlak łzawy, lecz dostatków i sławy
Na nim stoją podwoje otworem,
Pierwsza pomknie z was zatem owym szlakiem
[w bój z światem.
Niech się uczy. — zostanie doktorem.

Niech zaciągnie się druga w ciężkie jarzmo u pługa,
Co siew nauk na serc szczepi grzędzie —
Siejba zmudna, wiem o tem, lecz zakwitnie siew złotem,
Profesorką więc druga z was będzie.

Tobie Zosiu, me dziecię, inne śmieje się życie.
Wiem, twa cząstka nie z tego jest świata —
Od kolebki do Boga życia wiedzie cię droga.
Tobie szczęście klasztorna da krata!

Wszystkim trzem zaś na drogę jedną dać chcę prze-
By was ustrzedz od łez i zawodu: [strogę,
Więc pomnijcie, me dziatki, klnę na miłość was matki,
Jaszczurczego się mężczyzn strzedz rodu!

Bo nad węże i żmije zdradniej czołga się, wije.
Najzjadliwsza ta ludzka gadzina!
Słodki, gładki, pieszczony, lecz gdy chwyci w swe
Ach, zgubiona nieszczęsna dziewczyna! [szpony.

Takie dawszy wskazówki, błogosławi im główki
I o listy ze łzami prosi.
Jan zajechał, Onufry wziął walizy i kufry —
Koz wyruszył i w świat je unosi.

Idzie jesień i zima, listów nie ma i nie ma.
Matka ręce zaciera radośnie:
To wzorowe dziewczęta! jak z nich każda zajęta!
A z nadziei aż serce jej rośnie!

Po śnieżystej zamieci poseł do wsi w cwał leci,
Z telegramem on pędzi do domu!
Matka widzi z daleka, drży z radości i czeka
Doktorskiego Anielci dyplomu!

Czyta, jękła, upadła, posiniała, pobladła.
A pierś szarpie z rozpaczy jej zmora,
Bo Anielcia — niestety! nie doktorskie biréty,
Lecz znalazła całego doktora!

Po śnieżystej zamieci poseł do wsi w cwał leci,
Z telegramem on pędzi do dworu!
Pewnie Zosia cnotliwa rady matki zawzywa,
Chcąc na wieki w mur wstąpić klasztoru!

Matka czyta, upadła, posiniała, pobladła,
Tonie w smutków bezbrzeżnym rozłogu:
Zosia, dobre to dziecię, chce poświęcić swe życie,
Lecz poświęcić — Jasiowi, nie Bogu!

Matka rwie się, szamoce, płacze dzionki i noce —
Aż w tem myślą natchniona szczęśliwą,
Pędzi w lot do stolicy i dla trzeciej dziewicy —
Pedagoga znajduje co żywo.

Franciszek Konarski

Dziad i baba.

Był sobie dziad i baba.
Bardzo starzy oboje;
Ona kaszląca, słaba,
On skurczony we dwoje.

Mieli chatkę maleńką,
Tak starą jak oni:
Jedno miała okienko,
I jeden był wchód do niej.

Żyli bardzo szczęśliwie
I spokojnie, jak w niebie;
Czemu ja się nie dziwię,
Bo przywykli do siebie.

Tylko smutno im było,
Że umierać musieli,
Że się kiedyś mogiłą
Długie życie rozdzieli.

I modlili się szczerze,
Aby Bożym rozkazem,
Kiedy śmierć ich zabierze,
Zabrała dwoje razem.

— Razem, to być nie może!
Ktoś choć chwilę wprzód skona.«
— Byle nie ty, nieboże!
— Byle tylko nie ona!«

— Wprzód umrę, woła baba.
Jestem starsza od ciebie.
Co chwila bardziej słaba:
Zapłaczesz na pogrzebie.«

— Ja wprzódy, moja miła!
Ja kaszlę bez ustanku.
I zimna mnie mogiła
Przykryje lada ranku.

— Mnie wprzódy — mnie, kochanie!
— »Mnie mówię! — Dośćże tego! —
Dla ciebie płacz zostanie.« —
»A tobie nie? Dlaczego?

I tak dalej a dalej,
Jak się zaczęli kłócić,
Tak się z miejsca porwali.
Chatkę chcieli porzucić.

Aż do drzwi — puk! powoli...
— »Kto tam?« — »Otwórzcie prosto!
Posłuszna waszej woli.
Śmierć jestem, skon przynoszę.

— »Idź babo drzwi otworzyć!
— »Ot to idź sam! jam słaba.
Ja się pójdę położyć.«
Odpowiedziała baba.

— »Fi! śmierć na słocie stoi.
I czeka tam nieboga!
Idź, otwórz z łaski swojej!
— »Ty otwórz, moja droga!

Baba za piecem z cicha
Kryjówki sobie szuka;
Dziad pod ławę się wpycha.
A śmierć stoi i puka.

I byłaby lat dwieście
Pode drzwiami stała:
Lecz znudzona nareszcie.
Kominem wleść musiała.

J. I. Kraszewski.

Przy łuczywie.

Ej — matulu — ja się boję!

— A czegoż to dziecię moje?

— Bo gdym wczoraj o tej porze
Był za kwitem tam we dworze.
To słyszałem, jak panowie
Powiadali w swej rozmowie.
Że na wiosnę — to najdalej,
Przyjdą jacyś tu Moskale.
Ludożerce — wilkołaki —
Co wygubią twór wszelaki...

— Ot — strach próżny cię owłada.
A bo Moskal ludzi zjada?

— Toć ja tego nie wiem wcale.
Ale wy, matulu, wiecie:
Więc powiedzcież mi raz przecie,
Co to właśnie są — Moskale,
I skąd biorą się na świecie?
Czy się lęgną — czy się rodzą,
Czy jak my po ziemi chodzą:
Czy jak wilcy lubią jary,
Czy to wodne są poczwary,
Czy skrzydlate — o łbach wielu
Jak smok niegdyś na Wawelu?
Gdyż koniecznie mi się zdaje,
Że to przecież jakieś dziwa:
Bo i dziaduś kiedy łaje,
To Moskalem mnie przezywa....

— Co ty pleciesz, jak w obłędzie!
Wszak to ludzie są, Wojtusiu,
Tacy sami jak i wszędzie.

— E — to chyba żart matusiu!
Bo mówili tam we dworze,
Że to jakaś dzicz — nieboże —
Co morduje — niszczy — pali —
Wzbrania mowy nam i wiary,
Nawet domy Boże wali,
A jakieś tam swoje cary
Jak samego Boga chwali.
I o takiej wy paskudze
Powiadacie, że to ludzie?
Nie, matulu, to — poczwary!

. . . . . .

Fr. Waligórski.

O Baśce, co jej krowę zajęli.

Miała Basia płową krowę,
Pognała ją na dąbrowę.
Jak pognała tak pognała,
Złoty wianek przewijała:
Przewijała w cichy ranek.
Komu wianek? sobie wianek.

A czy ją też dziewczę młode!
Kiedy krowa poszła w szkodę.
Podeptała dwa zagony,
Od tej strony do tej strony,
Albo za nią albo w nogi.
Jeno co jej widać rogi,
Krowa płowa, płowe zboże
Toć się w zbożu skryje może.

— Bodajże cię, cóż ja zrobię?
Ot i ludzie — maszci tobie...
Bodajże cię wianku złoty,
Narobiłaś Baśce psoty.
Oj! wyleciał dziad za krową,
Pogonił mi krówkę płową.
Ale moja płowa skora,
Będziesz latał do wieczora.

Nim ją chwycisz za dwa rogi,
Połamiesz se dziadu nogi.
Oj! wybiegła matka z chaty,
Co skakała przed stu laty.
Nie chodź matko, miła Ewo,
Stare nogi, stare drzewo:

Zostań babuś w chaty progu.
Oddaj żytko Panu Bogu.

— Oj! wyleciał chłopiec sokół.
Pogonił się za nią w okół:
Już tu ona, już tu ony.
Wiedzie krówkę przez zagony;
A ja cicho ani słówka.
Czyja krówka? Baśki krówka.
Zapłaćże mi za tę szkodę.
Albo płową sobie wiodę.

Krowa patrzy mokronosa.
Nadeptała tęgo kłosa.
Nadeptała niegodziwa.
Cóż ja poczne nieszczęśliwa!
— Mój Wawrzynie dam ci płatek,
Albo płatek, albo kwiatek.
— A ja nie chcę to ni owo.
Jeno daj mi jedno słowo:
Będziesz moją? — A matula?
Jak nie zechce to do króla.
Zawołamy: Królu Mości,
Kochamy się od dawności.
— A jak król ci nie uwierzy
Jeszcze złapie do żołnierzy..
— To pójdziemy do plebana.
Niechże będzie dana, dana.
Moje słowo, twoja krowa.
Baśka biała, krówka płowa.

Teofil Lenartowicz.

Z notatnika.

Gdyby mi tak los w nagrodę
Chociaż chłopską dał zagrodę
Chociaż chłopską dał!

Porałbym się z biedą, porał!
Świętą ziemię płużył, orał,
Swojski zagon siał!

Pojąłbym se jaką Zochę...
Ona w izbie, ja za sochę —
Byle z dolą iść.

Ona w izbie czy komorze,
A ja w polu w ranne zorze
Między zbożną kiść!

W dzień robotny z sierpem, k...
Ona boso i ja boso,
Na zagonków sznur!

Ona w kiecce, ja w sukmanie,
Żur na obiad, na śniadanie
Na odwieczerz żur!

Nie brakłoby nigdy chleba,
Ani wody, ani nieba.
Byłby własny kąt!

Chałupina na węgiełkach,
Podmurówka na węgiełkach,
We dwa okna front!

Byłby sadek pod oknami
Z słonecznikiem, z nagiętkami
Całe rzędy śliw!

A za sadem, od podwórka,
Stodolina i obórka,
Na gadzinę chlew!
W środku studnia, żuraw, wiadro,
Wszystko blizko, pod zanadrą!
Jeno sięgnąć tuż!
Wszystko w gębie! i na oku!
Od złych ludzi, czy uroku —
Człek sam sobie stróż!

A jakbym się podpanoszył —
Nową strzechą chatę poszył.
Miał dobytku dość —
To postarałbym się zara,
By zleciała boków para,
Bo to dobry gość!

Ptak na dachu, — ja w chałupie,
Na kolebkę deski łupię
Co rdzenniejszy słój!
Niechby człeku się nie cniło,
Trocha krzyku w izbie było,
Jaki drobiazg swój!

Wieprzka zakłułbym na chrzciny,
Dał napitku i gęsiny.
Chleba, sera w bród!!
Chłopak — Bartek! A dziewczyna —
Albo Kaśka — lub Maryna...
Ale chłopak wprzód!

Wodziłbym go z sobą w pole
Na oraną świeżo rolę!
Na pozęty snop!

Niechby wiedział z maleńkości.
Że tu wyrósł, że kość z kości.
Krew z krwi polskiej chłop!
Gdyby mi tak los w nagrodę
Choćby polską dał zagrodę,
Choćby kmiecy łan!
Żyłbym sobie po szlachecku,
Niby w niebie na zapiecku. —
Niczem wielki pan!
Miałbym wszystko, co potrzeba,
Szmatek ziemi, skrawek nieba —
Miałbym komu dać!
Ostałyby dzieci, żona —
Bartek ustrzegłby zagona,
Niechby kto chciał brać.

Kazimierz Laskowski (El.)

Rozmowa Michała.

Cóż Michale tam na dworze?
— Deszcz, że człowiek wyjść nie może.
Brzydko panie, zawierucha,
Wiatr szkaradny, niech pan słucha.
Ai strach, jaka wciąż ulewa,
— Więc przynieś na komin drzewa.
— Mam też suche... Niech pan siada...
Oj tak, deszcz okrutny pada.
— Daj-no książkę tę ze stołu
— Ta co z wierzchu, czy ta z żołu? —

— Tę, którąś rozcinał z rana...
Ta, ta, daj ją.« — »Proszę pana,
Choć raz muszę się zapytać,
Co pan wciąż tak może czytać!
Ja to o tych książkach słyszę —
Proszę pana, co w nich piszą?
Pan musi znać doskonale.« —
— »Różne rzeczy, mój Michale.
Historyę, różne dzieje,
Przez jakie świat szedł koleje.
Jakie były sławne ludy,
Jakie wiary były wprzódy.
Opisują różne kraje.
Wojny, prawa, obyczaje.
Jacy wielcy ludzie byli,
Jacy królowie gdzie rządzili.
Co, dlaczego tak się stało...« —
— Na co to się, panie, zdało!
Dość kłopotu na tym świecie
Myśleć by człek wyżył przecie.
Bo i teraz zewsząd bieda:
A to na co się to przyda
Jeszcze tam dochodzić głową.
Czy naprzykład to, czy owo.
Te tam dawne wojny, straty,
Jak tam było gdzieś przed laty?
Było panie, to już było,
Tak Bóg chciał, tak się zrobiło.
— Popraw ogień.« — »Pan się śmieje,
A to prawda... Jak deszcz leje!
Wszystko zniszczy... To tak właśnie
Jak dziecko, co to nie zaśnie.

Aż mu bajkę gadaj wprzódy
Praw mu dziwolągi, cudy,
O królewnach tam mospanie,
O trzech braciach, o sułtanie,
Że tam ktoś miał skarby, zbytek.
Jakiż panie w tem pożytek?
Dziecko, to tam się i bawi.
Matka głupia to mu prawi. —
— Jak to, stary! Ty powszednie
Bajki, te kuchenne bredzie,
Kładniesz w rowni...« — »Nie to, panie,
Cóż tam, moje proste zdanie!
My zwyczajnie na to ślepi.
Pan czyta, to wie najlepiej.
Proszę pana, mnie się roi,
W nich chyba coś więcej stoi,
Jeźli pan ma wolną chwilę:
Bo to panie ksiąg jest tyle,
Że liczba nie zachowana
Różnej formy, proszę pana. —
— W książkach także jest wykrycie,
Jak trzeba prowadzić życie:
Że tylko prawdziwa cnota
Do szczęścia otwiera wrota.
Żeby ludzie byli zgodni;
Że zawsze od wszelkiej zbrodni
Prawa jest najlepszą tamą...«
— »Proszę pana, toż to samo,
Byle na Mszę pójść w niedzielę.
Można słyszeć i w kościele.
A ksiądz człowiek też nie lada
Różnych nauk dość posiada:

Nie jednego, kto zbroduiczy.
Złaje nawet i wykrzyczy...
Lecz cóż! Panu rzecz ta znana.
Ludzie ludźmi, proszę pana.
Gdy w kościele, to to słyszą.
A z kościoła? to znów grzeszą.
— Więc źle robią, mój Michale.
— Bardzo źle. Ja też nie chwalę.
Powiedz mi pan z łaski swojej.
Jak w tych różnych pismach stoi.
Co też się na przyszłość stanie? —
— Śmieszne czynisz zapytanie?
— Bo to, panie, najciekawsze.
Czy już tak ma być na zawsze.
Jak jest dotąd? Czy się przecie
Raz polepszy co na świecie?
— A polepszy, w jakiejś porze.
— Kiedyż, panie, to być może?
— Wtedy, gdy tak jak należy
Rozum światło swe rozszerzy.
Gdy ciemnota zniknie wszędzie.
Gdy ksiąg jeszcze więcej będzie.
Kiedy nauk skarb otwarty ..
— Proszę pana, wolne żarty!
Od kiedy-to w takim trudzie,
Tych się nauk uczą ludzie?
Od kiedy już księgi piszą.
Co gdzie tylko widzą, słyszą.
W różnym panie tam języku,
To już właśnie, za bez liku!
Według tego w każdym kraju
Jużby było dziś jak w raju

A to panie zawsze bieda!
Choć grosz przyjdzie, to się wyda.
Wciąż drożyzna niesłychana...
To nie warto proszę pana.
Cośby to się ludziom snuło...
— No. idź już sobie, gaduło!

Stefan Witwicki.

Sen szlachcica.

Po obiedzie pan Jacenty
Chrapnął na kanapie:
Pomrukuje, świszcze nosem
I potężnie chrapie.

Białą chustką przykrył głowę
I rumiane lica,
By ich czasem nie ucięła
Mucha swawolnica.

Żona, dzieci, domownicy,
Każdy stąpa cicho,
Każdy palec ma na ustach:
Cyt, bo będzie licho!...

Cyt, nie budźcie, bo nieborak
Znużył się nielada,
Już trzy noce nie spał... w karty
Grając u sąsiada!

Wtem się zbudził, jak lew ryknął
Zacisnąwszy pięście,
Twarz mu zbladła — włos się jeży:
Nieszczęście, nieszczęście!«

Na głos biegną domownicy.
Biegnie w strachu żona:
— Mój Jacusiu! co ci rybko?«
Pyta go strwożona.

— Ach! nieszczęście, sen... okropność
Nad ludzkie pojęcie:
Zmówcie zaraz trzy pacierze
Na moją intencyę.

Jezus, Marya! mój Jacenty,
Czyś nie chory, rybko?
Zaraz poszlę po doktora,
Niech przyjeżdża szybko.«

— Ach! dajże mi, imość, pokój
Ze swymi doktory:
Sen mię strwożył, sen niezwykły...
Ach! okropne zmory!«

— Uspokój się mój, Jacenty,
Sen — mara, Bóg — wiara
Objadłeś się, moja rybko,
Więc... — Ale pleciesz, stara!

Wszak sny często Pan Bóg zsyła
Ludziom dla przestrogi.
— Więc powiedz, coć się śniło,
Że tak drżysz, mój drogi.

Może zbójcy, nieurodzaj,
Pomór, albo może
Moszko z wekslem i komornik?
— Idzie tam, jeszcze gorzej!

»Może wojna, rewolucya,
Sybir, lub broń Boże,
Śmierć którego z naszych dzieci?«
— »Gdzie tam, jeszcze gorzej!«

»Może potop, koniec świata,
Sąd straszliwy Boży,
Może piekło...?«
»Gdzie tam, jeszcze gorzej!

Oto śniłem, że nasz proboszcz
(A dajże go katu!)
Wsadził, panie, mnie bez czterech
Na dziewięć bez — atu!!«

Włodzimierz Wysocki.

Szewc Onufer.

I.

Szewc Onufer, tęgi majster
Z ojca, dziada i pradziada,
Od małego pachołęcia
Tajemnice kunsztu bada.

Wedle igły, wedle dratwy,
Jak niewielu jest on świadom,
Zaś na warsztat w kamienicy,
Co współczesna jego dziadom.

Przy kościele Augustyanów
Stoi chata Onufrowa —
W niej po szewcku i Bożemu
Konsolacyę liczną chowa.

Dobry sąsiad z Onufrego
Dla plebanii i świątyni —
Nie opuszcza nabożeństwa
I fundacye hojne czyni...

II.

Ma Onufer Onufrową,
Urodzeniem sobie równą,
Bo powiadał jego rodzic:
Niech się żeni szewc z szewcówną!...

Jejmość pani Onufrowa,
Córa majstra Jana Szczygła,
Parantelą i posagiem
Ród mężowski w górę dźwigła.

Jak przystało na majstrowę
W korpulencyę jest zasobna,
Głos jej gruby, gest wspaniały.
Pulchna rączka niezbyt drobna.

Z roku na rok jest przybytek
W starych mieszczan onej rodzinie.
Więc raduje się Onufer,
Że ród szewców nie zaginie...

III.

W czterech izbach Onufrostwa
Nie ubogo i chędogo,
Wszak mieszczanie z prapradziada
Iść w paragon z szlachtą mogą!

Garnitury jutą*) kryte.
Wielkie szafy, zydle drobne.
Simlerowskiej snać roboty,
Bo masywne i ozdobne.

Zaś na ścianach konterfekty:
Cały zacny świat mieszczański,
A »serwantka« w rogu salki,
A kanterek w drugim gdański.

Nie od dzisiaj ród Onufra
Słynne w świecie szyje buty.
Nie od dzisiaj zbiera grosze
W skrzyni krzepkiej i okutej...

IV.

Gdy kolegów majster zbierze
Od kuflelką i od dratwy,
Spędza z nimi błogie chwile,
Wśród krewniaków i wśród dziatwy.

Przewodniczy stary Szczygieł
Z gęstym wąsem, z głową siwą —
Płynie ciurkiem anyżówka
I marcowe szumi piwo.

Radby majster żyć przez wieki
Z towarzystwem swem cechowem,
Rad ich zalać spirytusem,
Skąpać w piwie dubeltowem.

*) juta — rodzaj tkaniny.

Więc węgrzyna na stół stawia
Przy kompanii hucznych śpiewach —
Niechaj żyje cech szewiecki!
Znajcie pana po cholewach!...

V.

Choć ma grosze szewc Onufer
W skrzyni krzepkiej i okutej,
Chce, by jego Onufrzęta
Tak jak ojciec szyły buty.

Nauczyła ich majstrowa
Kochać iglę, cenić dratwę,
Zaś szacunek dla pociągła
Sam pan majster wpaja w dziatwę.

Nieraz prawi najstarszemu
Z głębi serca morał suty:
Grunt są, chłopcze, dobre nogi!
Grunt na nogach dobre buty!

Ty z tradycyi jesteś szewcem..
Szewcem z dziada i pradziada —
Godność rodu cenić, chłopcze
I należy i wypada...

VI.

Płyną lata niby fale,
Nie wracają nigdy więcej —
Już wyrosły Onufrzęta
Z doby życia pacholęcej.

Już wyrosły Onufrzęta.
Szyją juchty, szyją »saki —
Łeb posiwiał Onufremu.
Nos mu zgrubiał od tabaki

Do kościoła Augustyanów
Codzień z rana chodzi stary.
Zaś pod wieczór regularnie.
Na nieszporach jest u Fary

Klepie pacierz szewc Onufer
I za dzieci i za siebie
I rozmyśla, że szyć buty
Będzie wkrótce chyba... w niebie...

Or-Ot.

Szewczyk na wysłudze.

Jestem ci ja szewczyk sobie,
Na wysługę pięć lat robię:
Jeszcze w łóżku leżę z rana.
Już traktament mam od pana.

A gdy wstanę — na śniadanie
Od pani się coś dostanie.
Dostanie się i w warsztacie,
Jak to wszyscy dobrze znacie.

Zaś wieczorem na czas dobry
Poczęstuje kto tam szczodry.
Poczęstuje raz, dwa szczerze,
Wszyscy dają, człowiek bierze.

Lecz to fraszka, mości panie,
Boć to tylko na rozgrzanie,
Gdyby nie ten przyodziewek,
Zapomniałbym nawet śpiewek.

A tak oto śpiewam sobie,
Kiedy patrzą, to i robię,
Boć to tylko pożyczane —
Niechno majstrem ja zostanę.

Lub choć tylko czeladnikiem,
Oj, pomacham pocięglikiem
I odpłacę to, co cudze,
Wszystkim chłopcom na wysłudze.

Dzisiaj skóra już odbita,
Więc się śmieję — ha! i kwita.
A że krzyczę, kiedy biją —
No, bo lubię melodyą.

Ignacy Danielewski.

Rozmowa pijaka z księżycem.

— Jakiż istnienia twego cel? —
Tak mówił do księżyca,
Wracając do dom w późną noc,
Strąbiony pijanica. —
Za matką ziemią biegniesz wciąż.
Dzierżąc się jej fartuszka,
I tylko kłopot z tobą ma
Poczciwa ta staruszka!...

To słońca jej zaćmiwszy twarz.
Pogrążasz nas w frasunku,
To znowu łonem wstrząsasz jej
Sromotnie bez szacunku.
Cyklony groźne na nią ślesz,
I na plag domiar jeszcze
Sprawiasz, że wyją do cię psy
I wiersze piszą wieszcze!...

Po niebie płączesz się jak ćma:
Gdzie ciebie nie posieję.
Tam wschodzisz, trupi lejąc blask.
Lecz światło twe nie grzeje...
Blachman pokrywa oczy twe,
I mordę masz zapitą.
Choć pijesz — cha, cha! — tylko mgły,
Ty głupi satelito!...

W orszaku gwiazd tyś ciurą jest.
A dmiesz się wielkim panem.
Myśląc, że imponujesz mi
Twem światłem pożyczanem...
Idyoto ty — udajesz świat,
A mówią nam gwiaździarze,
Że jednej karczmy nie ma tam
Na całym twym obszarze!...

Więc na co ciebie stworzył Bóg,
Ty niedołęgo srebrny?
Pożytku z ciebie ani krzty,
Tyś całkiem niepotrzebny!...

Na to z uśmiechem księżyc rzekł,
Z chmur wychyliwszy lice:
— Nie sarkaj, bratku!... wszak to ja
Pijakom do dom świecę!...

Włodzimierz Zagórski.

Z chaty górniczej.

W małej izdebce górnik, przy nim dziewczę w bieli:
On siedzi przy kominku, ona przy kądzieli.
Wtem słychać zdala ponure dzwonu jęki;
Stary podniósł się z ławy, wziął oskard do ręki:
— Bywaj zdrowa, córko droga, dzwon woła do roboty! —
— Ach, nie chodź dziś, mój ojcze, ach nie chódź, ojcze złoty!
Ja sama nie wiem czemu, lecz te dzwonu tony
Brzmią dzisiaj w mojej głowie, jakby pogrzebowe dzwony! —
— Eh, córko! toć jam górnik przecie, lat czterdzieści może
Zawsze m wychodził zdrowo na to światło Boże,
Toć i dzisiaj wrócę! — Rękę córce ścisnął
I znikł po za skałą. Za skałą szyb okropny,
Sam widok strachem zięby — —
Stary z odwagą wstępuje do głębi. — —
Trwoga córce w domu, ni chwili spać nie może:
Już dawno gwiazdy zgasły, już jutrzenka na niebie,
— Ach ojcze, drogi ojcze! już nie ujrzę ciebie! —
Wtem słychać z dala czyjeś kroki
— Do izby młodzian wpada.
Patrzy na dziewczę blade, i tak jej powiada:

— Niosą tu twego ojca! —
(Dziewczę mdleje! drży jak liść)
— Twój stary tak się spił, że sam nie może iść!

Idzie bieda.

Od wsi do wsi idzie bieda.
A przytułku któż jej nie da?
Choć ją z dworów wyszturchali,
Bieda sobie u nas chwali.

Bo chłop czeka ją przed progiem
I powita Panem Bogiem:
Ugościwszy należycie,
Ofiaruje całe życie.

Różnie w świecie jest niekiedy.
Ale nikt tak nie czci biedy,
Nikt się o nią nie postara
Jak ta nasza chłopska wiara.

Leje deszcz, dmie zawierucha,
Bieda idąc w palce dmucha,
Moknie, ziębnie, lezie dalej,
Ale sobie u nas chwali.

A. N.

Święta.

U Błażejowej, na Tamce
Przeszły święta aż miło:
Były śledzie, pierniki
I napitków w bród było.

Błażej w mieście nakupił
Słodkiej wódki i piwa,
Błażejowa przez tydzień
Piekła różne pieczywa.

Były strucle dwoiste,
I z powidłem i z makiem,
I karaski smażone,
I półmisek z szczupakiem.

I kapusta, i grzyby,
I miód przaśny, orzechy...
Słowem, taka wieczerza,
Że choć karaj za grzechy!

To też przeszły Błażejom
Godnie święta, aż miło,
Dwóch się jeno z czeladzi
Przy kieliszku popiło.

Potem dzieciak zachorzał,
Zawołali doktora;
Potem samej Błażejce
Nocą śniła się zmora.

Potem jeno się jeszcze
Krew zapiekła w Błażeju,
Ale mu się ulżyło
Po kwaterce oleju.

No, i Boruch wziął warsztat,
Za zaległe procenta,
Ale zresztą szczęśliwie
Przeminęły im święta.

„Baba.“

Choć od wieków się zowie
Płeć nadobna płcią słabą.
Herkulesy, Samsony
Kark zginali przed babą.
Niech chłop będzie jak dębczak.
Rzekłbyś: sama moc w drabie...
Skoro przyjdzie do czego,
Stuli uszy przy babie!
Najuczeńszy zgłupieje,
Najzdrowszego osłabi,
Najzuchwalszy zamilknie,
Niech się tylko obabi;
I zaledwie czasem
Mina wraca mu chrobra,
Gdy spostrzeże, że baba
Wyjątkowo coś dobra!
Cóż powiedzieć dopiero.
Gdy nizerny chłopczysko
Zwiąże los swój z niewiastą.
Niby brelok z dewizką!
Lub Wielkanoc nadejdzie,
A małżonka zaśpiewa.
Że się teraz zajmuje
Feminizmem... pieczywa!
Choćbyś nerwy miał grube
Jak stalowe antaby,
To je w końcu zrujnujesz.
Mając babę i baby!

Wobec tego — przypuszczam —
Uratuję ród męski,
Wyłuszczając sposoby,
Jak umniejszyć cios klęski,
Jak rozpoznać na zewnątrz,
W jakim baba jest stanie:
Czyli w dobrym humorze?
Czy też ma się na łanie?
Jak rozróżnić na oko,
Jaki której gatunek,
By stosowny zawczasu
Przygotować rynsztunek —
Słowem, jak się to czyni
W czas wojenny po sztabach.
Zrobię piórem (uprzedzam)
Rekonesans po babach!
Różne »bab« są gatunki
I rozliczne odmiany:
Wcale dobre puchowe,
Niezłe z »bitej śmietany«,
Bywają czasem »podolskie«,
Lub tak zwane »miarowe«,
Smaczne, jeśli na mleku —
Rozcierane żółtkowe«,
Bądź wogóle przy babie
Ten mniej szczegół na względzie.
Że im więcej jaj wbijesz,
Bardziej lekka ci będzie!
Jeśli jednak się która
Mimo tego »nie zdarzy«,
Nieomylnie pomaga,
Gdy się babę »zaparzy«.

Ale środkiem najlepszym,
Gdy zakalec jest w babie,
Wziąć na kredyt kapelusz,
Nowy żakiet, jedwabie —
Niech się stroi babina,
Niech się bawi, niech bywa...
Wtedy słodka, jak cukier,
Aż się w ustach rozpływa!

El.

A to mi się zdarzyło!

Wiesz co, kochana żono,
Że to wytrzymać trudno:
Nigdzie nie zamieciono,
Wszędzie nieład i brudno...
— Oho, znowu morały!
Będzie gderał dzień cały!
Jakby też o co było!
Straszne rzeczy się stały,
Że się tam raz zdarzyło!

— Ależ, moja kochana,
Przypomnij tylko sobie
Wizytę pana Jana:
W sali Staś marchew skrobie,
Na progu dwa szafliki,
Miska, trzewik Moniki,
Woda, co się w niej myto,
Na drzwiach brudne ręczniki...
— No, to się raz zdarzyło!

— A przypomnij duszko,
Owo miłe zdarzenie,
Jak Edzio wlazł pod łóżko,
I przy pannie Helenie
Wyciągnął stamtąd pierze,
Niepomyte talerze,
Jakąś gruszkę nadgniłą...
Doprawdy, aż wstyd bierze!
— No, to się raz zdarzyło!

Albo te nasze dzieci,
Obdarte, rozczochrane,
Brud się na nich aż świeci.
Toż to skonstatowane,
Że raz, nie wiem, kto taki,
Dawał im dwa trojaki;
Żal mu się ich zrobiło,
Myślał, że to żebraki...
— No, to się raz zdarzyło!

— Ależ moje kochanie,
Nie to, to co innego;
Że służbą zamieszanie,
Że aż coś okropnego.
Wiecznie cię o coś proszą,
To wnoszą, to wynoszą,
To się tam coś rozbiło...
A wypadeczek z broszą?
— No, to się raz zdarzyło!

— Ależ gdzie tam raz; — zawsze...
Zdaje mi się ktoś dzwoni...
— O, nieba najłaskawsze!
To pewnie pan Antoni!

A tam na sali pierzyna!
Nie otwieraj! — Regina!
Gdzie są klucze? — To miło!
Na biurku cielęcina!
A to mi się zdarzyło!

M. Rodoć (Mikołaj Bieruacki).

Rozmowa.

Na balu przy kolacyi, sąsiadki nieznanej
Pytam, na talerzyki patrząc z porcelany:
— A pani czy maluje też na porcelanie?
— Tak, panie!

— Bardzo miłe zajęcie, co przy pewnej wprawie
Ku pożytkowi służy, jak i ku zabawie,
Pani pewnie poświęca wiele czasu na nie?
— Tak, panie!

— A co pani zwykle maluje? Pewnie zgadnę.
Kwiatki? Panienki zawsze lubią rzeczy ładne.
Wiż, prawda, że odgadłem jej upodobanie?
— Tak, panie!

Ej! myślę, porcelana nudzi ją wyraźnie,
Trzeba wziąć inny przedmiot, a więc dalej raźnie
Pytam się: — A czy pani gra na fortepianie?
— Tak, panie!

— Jaka pani szczęśliwa, że może, gdy zechce,
Wywołać melodyę, co słuch i myśl łechce:
A o Chopinie jakie też ma pani zdanie?
— Ja, panie?

— Tak, pani nie kto inny, wszak rzecz naturalna,
Że go pani znać musi, gdy jest muzykalna,
Sądzę, że w nim gustuje pani niesłychanie?
— Tak, panie!

— A w Liszcie? Wszak to także talent znakomity,
Co wywołać może największe zachwyty;
Prawda? muzyka jego to jak wichrów granie?
— Tak, panie!

— Lecz pani ich nie może lubić jednakowo,
Oni tacy są różni — a więc daję słowo,
Pani Chopina wolisz! czy słuszne me zdanie?
— Tak, panie!

Oj! biedny Chopin, myślę, w grobie się przewraca.
Co tu rzec? Wtem mignęła z majonezem taca —
Czy pani chce łososia? doskonałe danie!
— Tak, panie!

No, przynajmniej jeść umię, a więc kontent z przerwy,
Wychylam szklankę wina dla nabrania werwy,
I ciągnę: Pani pewno lubi też czytanie?
— Tak, panie!

— No, i cóż pani czyta? Francuskie powieści?
Czy przekłada pani rzeczy swojskiej treści?
Sienkiewicza, co pisze tak nieporównanie?
— Tak, panie!

— Cieszy mnie, że Sienkiewicz tak panią zachwyca:
Nieprawdaż, że ciekawe są losy Kmicica?
Czy pani już skończyła »Potopu« czytanie?
— Tak, panie!

— I jakież to na pani wrażenie sprawiło?
Wszak prawda, że z ogromną napisane siłą?
Czy pani w tem podziela moje przekonanie?
— Tak, panie!

— Przepraszam, — pytam dalej tknięty myślą nową. —
Że może niedyskretne trochę rzucę słowo:
Czy pani nie jest czasem w narzeczeńskim stanie?
— Nie, panie!

A więc nie zakochana!... Boże z tej łaźni,
Kiedy mnie wydobędziesz, co tak strasznie drażni.
Bo dłużej tych nieznośnych znieść nie jestem w stanie,
»Tak, panie!«

W tej chwili podawano kotlety cielęce,
A więc pytam raz jeszcze w ostatecznej męce:
— A pani może woli kotlety baranie?
— Tak, panie!

— No, proszę jak to dziwnie — czy pani uwierzy,
Że byłem tego pewny, mówię jak najszczerzej;
Czy zasłuży domyślność moja na uznanie?
— Tak, panie!

O nieba! nie wytrzymam — wtem podają lody.
Z radością piję duszkiem całą szklankę wody:
— No... a na kotylionie czy pani zostanie?
— Tak, panie!

— Czy tak? to życzę pani wesołej zabawy;
Co do mnie mam już dosyć tej balowej sprawy.
A zbytek przyjemności zaszkodzić jest w stanie!
— Tak, panie!

— Przepraszam, żem zbytnią nużył ją rozmową,
Lecz za to w mojej głowie, daję pani słowo,
Pamięć o twej wymowie na wieki zostanie!
— Panie!

Skończyła się nareszcie piekielna tortura:
Ach! żebyście widzieli, jakiegom dał nura,
Zmykam, a w uszach dudni, jak z dachu kapanie:
»Tak, panie!«

O panie! wasz języczek zwykle prędko chodzi,
Lecz gdy która milcząca na świat się narodzi,
Od jej nieznośnych: nie panie« »tak panie!«
Wybaw mnie Panie!

Ja nie mogę deklamować.

Raczcie państwo mi darować,
Ja nie mogę deklamować!
Deklamować to nie łatwo;
Ot, tak bajkę Krasickiego
Wypowiedzieć gdzieś przed dziatwą,
Nie byłoby nic trudnego,
Ale w tak poważnem gronie,
Gdzie szanownych osób tyle,
Tyle pięknych oczek płonie,
Ja się nigdy nie ośmielę.
Nie, nie mogę!
Nawet boję się spróbować,
Czuję w sercu dziwną trwogę.
Ja nie będę deklamować.

Nuż przypadkiem się omylę.
Lub zabraknie mi gdzie słowa,
Lub zająknę się na chwilę —
I zabawa już gotowa.
Tak za moje dobre chęci
Państwo wyśmiać mię gotowi,
A to wcale mnie nie nęci.
Lepiej coś kto inny powie,
A ja z drugich śmiać się wolę.
Niźli siebie mam żałować.
Proszę przyjąć moją rolę.
Ja nie będę deklamować... —

Straszny sen.

Straszny miałem sen, cóż chcecie:
Dziś nad ranem mi się śniło.
Że na całym Bożym świecie.
Kobiet ani krzty nie było.
Znikło gdzieś niewieście plemię.
Lecz zrobiło się tak miło,
Taki spokój objął ziemię.
Odkąd kobiet już nie było,
Że tracili wszyscy głowy
Z zbytku szczęścia i radości:
Bo wraz znikły i obmowy.
Plotki, spory i zazdrości.
Kokieterya i niewiara.
Zdrada, flirtu skutki złe;
Odkąd znikła ta poczwara,
Co kobietą zwała się.

Odkąd znikły nasze żony
I teściowe... przyznam skrycie.
Szczęściem świat był przepełniony.
W raj zmieniło nam się życie.
To też była ludzkość cała
Rada kobiet tej zatracie;
Szczęście bowiem swe widziała
Odtąd tylko w celibacie...
Lecz jednakże... chociaż przecie...
Były uczty i hulanki,
Nudno było na tym świecie.
Każdy wzdychał do kochanki.
I spleen*) zaczął szerzyć klęski.
Od północy do poranku
Wzdychał cały rodzaj męski.
Wzdychał ciągle, bez ustanku;
Ciężkiem stało się to życie,
Serce spało jak w popiele.
Wielu z nas szeptało skrycie:
— »Luba moja, przyjdź aniele.«
Blizkim był już koniec świata
Z epidemii poziewania,
Gdy radosna wieść przylata,
Że się dziwny cud odsłania:
Gdyż ujrzano przez lunetę
Coś... — (i wszystkim krew zawrzała) --
Podobnego do kobiety,
Co na ziemię zstępowała.

---

*) nuda.

Każdy poczuł, że mu nowe
W piersi rodzi się znów życie.
Każdy znowu podniósł głowę
I powracał ku kobiecie.
Odmłodniało męskie plemię,
Wszystkim krzyk się wyrwał z łona
I napełnił całą ziemię:
— Witajże nam upragniona!
Zapanował znów raj dawny,
Gdyż już pewnik był to jawny.
Że choć z niemi straszna bieda,
Lecz bez kobiet — żyć się nie da.

Przykry sen.

Przykry miałam sen — cóż chcecie:
Dziś nad ranem mi się śniło.
Że na całym Bożym świecie.
Mężczyzn ani krzty nie było.
Skutkiem jakiejś dziwnej klęski
Zniknął cały rodzaj męski.
I wąsate znikło plemię,
Jakby z mężczyzn wymiótł ziemię.
Chłopca ani odrobiny.
Na lekarstwo nigdzie męża:
Raj był — Boże mój jedyny!
Istny raj — i raj bez węża.
Żadnych pokus, zdrad, niewiary.
Spokojniutko było w świecie.
Odkąd znikły te poczwary.
Co wiązały świat kobiecie.

Co nam tyle łez wylały,
Męki powód nieustanny!
Odtąd światem rządzić miały
Same panny, panny, panny.
No, i radość głośna była
W tem panieńskiem społeczeństwie,
Bo się ludzkość zniewieściła.
Mając ideał w panieństwie.
Tylko każda — ukryć trudno —
Powiadała sobie cicho,
Że na świecie jakoś nudno,
Bardzo nudno...
Co za licho?!!
Nie bawiły stroje, mody,
Fatałaszki, tańce, plotki,
Zobojętniał urok słodki,
Smutno było jak w klasztorze,
Świat był cały nie w humorze.
Przez ambicyę chwaląc losy,
Miałyśmy, ot, takie nosy!
Do północy — od poranku
Świat poziewał bez ustanku:
Więc stuliwszy każda uszy,
Powiadała sobie w duszy:
Z mężczyznami wielka bieda,
Lecz bez mężczyzn żyć się nie da!
Apatyczne i znudzone,
Ociężałe, senne, smutne,
Schnąc, jak trawy niekoszone,
Życie wiodłyśmy pokutne;

I w tej drzemce nieustannej
Wciąż wzdychały wszystkie panny,
I przez sen szeptały skrycie:
Przyjdź mój luby — moje życie!...«
Blizki był już koniec świata
Z epidemii poziewania:
Wtem, jak piorun wieść przylata,
Że się dziwny cud odsłania:
Bo daleko przez lunety
Obaczono gdzieś... wąsiki
Schodzącego z nieb komety.
Co w mężczyzny szedł postaci...
»Gwałtu! — rwetes, piski, krzyki,
Świat kobiecy głowę traci.
I ze wszystkich stron niewieście
»Głosy zabrzmią w chór: Nareszcie!«
Przyznać muszę choć spłoniona,
Że i mnie się wyrwał z łona
Taki krzyk — i żem zbudzona
Pocichutku powtórzyła:
Z mężczyznami wielka bieda,
Lecz bez mężczyzn — żyć się nie da!

IX.

Wybór żony.

Sławetny Bartosz gdzieś tam w małem mieście,
W średnim już wieku i nawpół siwawy.
Lecz jeszcze czerstwy i żwawy.
Chciał się ożenić nareszcie.
Miał on swój domek na rynku.
Kawał roli, sklep do szynku.
Przytem grosz obfity.
Więc na męża wyśmienity.
Szukał małżonki, a że jak to bywa,
Nigdy na takim towarze nie zbywa.
W bliskości siebie, bez łamania głowy.
Wynalazł sobie dwie wdowy...
Jedna z nich była młoda, czuła, rzewna,
Druga dojrzalsza, lecz na żonę pewna:
Trudny więc wybór i wielkie kłopoty...
Tymczasem wdówki, z przymiloną miną,
Ciągle się niby z żartu i pustoty
Bawiły jego czuprynką
Młodsza go chciała mieć młodszym, nadobnym,
A starsza więcej do siebie podobnym:

Wciąż mu więc z głowy włos po włosie rwały —
Jedna — czarny, druga — biały.
Aż go nakoniec ten żart tak zeszpecił,
Że głupią głową jakby dynią świecił...
— Ho, ho! — tak z gniewnym ozwie się zapałem —
Jeszcze bez żony, a już wyłysiałem!
Cóż będzie, gdy się ożenię!
Nie, nie bądź dudkiem, Bartoszu!
Bądźcie mi zdrowe, kłaniam uniżenie!
Baby zostawił na koszu.

Franciszek Morawski.

Utoniona.

Raz pewna jejmość, z głośnych kłótni znana,
Babą sekutem lub Herodem zwana,
Po długiej i żwawej sprzeczce,
Kąpiąc się, w blizkiej utonęła rzeczce...
Mąż jej, co w wiecznej z nią się ścierał wojnie,
Lecz, jak poczciwiec, zawsze ustępował,
Chciał ją pochować przystojnie
I chociaż djabła, żałował.
Nawzdłuż więc całe obchodził wybrzeże,
Patrząc, czyli gdzie żony nie spostrzeże:
Dwóch przechodniów pytał, badał.
Ale żaden jej nie zoczył.
— Idź niżej z wodą — jeden mu powiadał. —
Może prąd ją na dół stoczył. —
— Nie, nie! — rzekł drugi, — idź raczej pod górę:
Gdyż pewno w swojej przygodzie,
Przez upór, sprzeczną naturę,
Popłynęła przeciw wodzie...

Żart to był tylko, lecz mówiąc otwarcie,
Była i prawda w tym żarcie:
Bo kiedy licho taką jędzę nada,
Już się z maleńka kłóci i ujada.
Kłóci się zawsze i wszędzie,
Do zgonu kłócić się będzie,
I gdyby jeszcze jaka możność była,
Po śmierci by się kłóciła!

Franciszek Morawski.

Beduin i wąż.

Beduin zbrojny kopją, jechał sobie piaskiem.
Noc była — wtem na stepie mignęło coś blaskiem —
Więc pocisnąwszy konia dotarł w oka mgnieniu.
I ujrzał, jak wąż srogi zwijał się w płomieniu;
Chciałby wyleść, nie może, bo zewsząd go piecze.
— Ratuj mię, Beduinie! dam co chcesz — wąż rzecze.
Na to Arab: złośnika ratować się boję;
Nuż ukąsisz?
Przenigdy, na sumienie moje!
Wzruszony Arab uzdeczkę zwiesił na dzidzie,
I podał mu przez płomień — wąż do góry idzie,
A sunąc się po drzewcu, przypełzał nieznacznie,
I skoczywszy na szyję, jeźdźca dusić zacznie.
— Co robisz? krzyknął Arab.
— Duszę.
— Och! i za co?
Taki zwyczaj: tu zawsze za dobre złem płacą.
Pofolguj! — rzeknie Arab — zwłoka nie zaszkodzi.
Póki się na to zdanie trzech sędziów nie zgodzi.

— Mniejsza o to, gad rzecze, sfolguję na razie. —
I jechali pustynią, póki na oazie
Nie ujrzeli wiatrami palmy kołysanej.
— Słuchaj palmo! rzekł Arab — ten gad uwiązany
Na mej szyi, winien mi swoje ocalenie,
A teraz chce mię dusić! I gdzież tu sumienie
Utrzymywać, że dobre zawsze złem się płaci?! —
Palma na to: — ma słuszność, a ty nie masz racyi.
Mój los niech ci dowiedzie; wszak co dzień przez wieki
Pielgrzyma liściem mojem zasłaniam od spieki,
Grzeję w zimno, owocem karmię go obficie,
A jednak on toporem odbiera mi życie! —
Na te słowa wąż silniej pocisnął za szyję:
Jadą dalej, gdzie źródło z pod opoki bije;
Arab rzecz opowiedział — a źródło po chwili
Odmruknęło: — mój człecze! ten wąż się nie myli.
Patrz na mnie: odkąd z głębi wylewam zdrój szklany,
Pragnienie tu przychodzą gasić karawany;
A kiedy się napiją i ludzie i stada,
Wiesz co robią? ot, każdy brud swój we mnie składa!
Dwóch sędziów się zgodziło; wąż z radości bryknął
I tak ścisnął pierścienie, że Arab aż krzyknął.
Lecz jeszcze sędzia trzeci nie wydał wyroku. —
Wtem spostrzegają lisa: myszkował na boku
I już, już się wynosił, gdy oni: Stój bracie!
Na pół słówka prosimy!
— Z daleka, co macie,
Mówcie do mnie; nie głuchym! — rzekł i stanął w dali.
A oni mu o sprawie swej opowiadali.
Gdy skończyli, frant główką pokiwał wątpliwie
I rzekł: — Oczom nie wierzę, dlatego się dziwię:

Więc ażebym zrozumiał, pokażcie mi przecie
Jak to było? —
A oni: — Rzecz najprostsza w świecie! —
I Arab znów przywiązał uzdę do kopii,
A gad po drzewcu na dół spuścił się ze szyi.
— Łap zdrajcę! krzyknął lisek. I wąż siedział w matni,
Gdzie niewdzięcznik był zduszon. Szkoda! nie ostatni.

Lucyan Siemieński.

Czapla, ryby i rak.

Czapla stara, jak to bywa,
Trochę ślepa, trochę krzywa,
Gdy już ryb łowić nie mogła,
Na taki się koncept wzmogła.
Rzekła rybom: — Wy nie wiecie,
A tu o was idzie przecie.
Więc wiedzieć chciały,
Czego się obawiać miały.
Wczora
Z wieczora,
Wysłuchałam, jak rybacy
Rozmawiali: »Wiele pracy,
Łowić wędką i wiecierzem;
Spuśćmy staw, wszystkie zabierzem:
Nie będą miały otuchy,
Skoro staw będzie suchy.
Ryby w płacz; a czapla na to:
— Boleję nad waszą stratą.
Lecz można złemu zaradzić,
I gdzieindziej was osadzić:

Jest tu drugi staw blizko:
Tam obierzcie siedlisko:
Chociaż pierwszy wysuszą,
Z drugiego was nie ruszą.
Więc nas przenieś! rzekły ryby:
Wzdrygała się czapla niby.
Dała się nakoniec użyć,
I zaczęła służyć:
Brała jednę po drugiej w pysk, niby nieść mając,
I tak pomału zjadając.
Zachciało się nakoniec skosztować i raki.
Jeden z nich widząc, iż go czapla niesie w krzaki,
Postrzegł zdradę, o zemstę zaraz się pokusił.
Tak dobrze za kark ujął, iż czaplę udusił.
Padła nieżywa:
Tak zdrajcom bywa.

Ign. Krasicki.

Osiełek przebierający.

Osiełkowi w żłoby dano
W jeden owies, w drugi siano.
Uchem strzyże, głową kręci:
I to pachnie i to nęci.
Od któregoż teraz zacznie,
Żeby sobie podjeść smacznie?
Trudny wybór, trudna zgoda:
Chwyci siano, owsa szkoda.
Chwyci owies, żal mu siana.
I tak stoi aż do rana.

A od rana do wieczora:
Aż nareszcie przyszła pora,
Że oślina pośród jadła
Z głodu padła.

Aleksander Fredro.

Osieł szlachcicem.

Tak się raz osieł dąsał,
Tak się z zwierząt natrząsał,
Taki był dumny, wspaniały —
Że go inne nie poznały.
Pojąć nie można było,
Co mu się zrobiło!
Koniecznie wszystkim dowodził,
Że się szlachcicem urodził...
Dwie godziny o tem gadał!
Powiadał,
Co to miał przodków, a zwłaszcza jak sławnych
Jak niezmiernie dawnych:
Wyliczał lata za laty,
Jak się ciągnęły jego antenaty,*)
Jak się wznosiły do góry,
Coraz w większą sławę rosły,
Jakie to były rozumne figury,
Co to były za osły!...
A lis mu na to: Jakżeś nierozsądny!
Zawsze swoich chwalisz przodków:
I ty nie jesteś z wyrodków,
I z ciebie osieł porządny!...

Franciszek Morawski.

*) antenaty przodkowie.

Szczep winny.

Mówią Araby, że gdy szczep winny
Adam posadził, djabeł złoczynny
Podlał krwią pawią, co Adam szczepił.
A gdy się w wzroście krzew coraz krzepił
I listki wydał,
Djabeł krew małpią do pierwszej przydał.
Zeszły jagody — skropił lwią juchą,
A gdy dojrzały, a było sucho,
Skropił je wszystkie posoką świnią...
Cóż teraz czynią?
Ot: kiedy wina szklankę kto łyknie,
Jak paw się nadmie; po drugiej — krzyknie;
Skacze, jak małpa, gdy szklanki mnoży;
Po piątej, szóstej — jak lew się sroży;
A kiedy coraz więcej przyczynia,
Z pawia, lwa, małpy staje się... świnia.

Ign. Krasicki.

Gęsi.

Ni stąd ni zowąd, naglą zdjęte trwogą,
Gęsi pod blizkim zerwały się lasem,
I wielką przez wieś uciekając drogą,
Z strasznym leciały hałasem.
— »Cóż to za głupstwo z takim wrzaskiem wpadać?«
Tak zlękły kogut z wzniosłej woła tyki:
— »Nikt was nie myśli ni gonić, ni zjadać —,
Poco więc, poco te krzyki?«

— »Alboż my wiemy, co się dzieje z nami? —
Tak rzecze jedna, pędząca w odwodzie,
— My tylko lecim za temi gęsiami,
Które tam krzyczą na przodzie«...
Podobno gęsi takie — ludzie bają —
I na naszych naradach często się zdarzają...

Fr. Morawski.

Wyżeł i pszczoły.

Jestto cnota nad cnotami
Trzymać język za zębami —
Stare powiada przysłowie.
Wszyscy jednakże smakujem w obmowie:
O cudzych grzechach rozmowa tak słodka...
Raz pewien wyżeł przebiegły i śmiały,
Wielki bajarz, wielki plotka,
Przytem lizuś doskonały,
Proszony czy nieproszony,
Latał na wszystkie strony;
Wiedział wszystkie zwady, sprzeczki,
Wszelkich skrytości dociekał:
Słowem u wszystkich ogryzał kosteczki,
A potem wszystkich oszczekał.
Suczki z suczkami,
Psiarnie z psiarniami
Zwaśnił, zniechęcił i skłócił,
Cały porządek przewrócił.
Wtem raz szczególna ciekawość go wzięła,
Jakaś pokusa go bodzie
Zajrzeć do ula, który stał w ogrodzie...
Najprzód ostrożnie bierze się do dzieła,

Obchodzi, wącha, skrada się, przemyka;
Ale zaledwie nos wtyka,
Cała pszczół gromada
Z straszliwym brzękiem wypada...
Wyżeł w nogi! — lecz te w złości
Tak go cięły bez litości
To po brzuchu,
To po uchu,
To po pysku, to po grzbiecie,
Że już nie wiedział o świecie!
Wtem mu jedna w nozdrze wpadła,
I tem mu dojadła.
Szarpie się, rzuca i wyje, nosem ziemię ryje,
Jęczy, na wszystkie strony kręci się, wywija,
Wreszcie leci jak szalony i łeb o kamień rozbija.
I dobrze mu tak było! Kto nadto ciekawy,
Kto nos swój niepotrzebnie w cudze wtyka sprawy,
A wszystkich czerni szkaradnie:
Prędzej czy później w taką łapkę wpadnie,
Że będzie wzgardą i pośmiechem świata.
Taka to Wcibskich zapłata.

Fr. Morawski.

Kozieł i wilk.

Raz basiur,*) napotkawszy kozła, rzekł mu: »Bracie,
Litość mnie szczera bierze, kiedy patrzę na cię;
Chciałbym cię wspomódz, wzmocnić, zwilczyć jednem słowem:
Sierść masz lichą, wytartą, a tak — futrem płowem

*) łowiecka nazwa wilka.

I puszystem porośniesz, — będzieć ciepło w zimie,
Spokojnie i bezpiecznie; — już ci się nie imie
Lada kurta do łydek, bo wilczy ród znany!
Dla nas przecie Bóg stworzył kozły i barany.
Mamy prawo zjeść wszystko, co jest do zjedzenia,
Lub mówiąc krócej — siłę. Więc gdy do plemienia
Naszego będziesz liczon — twój będzie świat cały!«

Na to kozieł odrzecze: »Zaszczyt to nie mały.
Lecz nie widzę sposobu. Kozłem mnie stworzono,
Kozłem był dziad mój, ojciec, — kozłem mlekiem łono
Matki mnie wykarmiło, — jakaż na to rada?«

— »Znajdziem sposób — wilk rzecze — więc naprzód wypada,
Bym cię zasymilował, to znaczy zadławił,
Następnie schrustał, połknął, a w ostatku strawił;
Wówczas wsiąkniesz w krew moją, zmienisz się w me kości
I w mych dzieciach do późnej przejdziesz potomności.«

A na to znowu kozieł: »Uważ, panie drogi,
Że Pan Bóg dał mi na łbie strasznie twarde rogi.
Więc nim mnie strawić zdołasz, to przed tą odmianą,
Sam się nimi zadławisz, gdy ci w gardle staną.«

Henryk Sienkiewicz.

Papuga i wróbel.

Nie pamiętam, w której stronie.
Czy to w Litwie, czy w Koronie —

Dość że w Polsce, tego czasu
Narobiło to hałasu;
I daj Boże! by dzieci nasze, lub choć wnuki
Skorzystały z tej nauki! —

Za pałacem, śród ogrodu
Stała ogromna altana,
W siatkę z drutu oplatana —
W niej ptastwo różnego rodu,
Które wymieniać rzecz byłaby długa.
Lecz rej wodziła papuga;
Bo w kraśne pióra okryta
I z gadulstwa znamienita,
A stąd najbardziej zuchwała,
Że kilka słów francuskich na pamięć umiała
I ciągle je powtarzała.

Dudki, pawie i gawrony
Uwielbiały z wielkim krzykiem,
Że ród papug tak uczony,
Iż obcym gada językiem.
A ona,
Wielką dumą napuszona,
Z żadnym się już w rozmowę nie zawdała ptakiem;
Z jednym tylko szpakiem
Czasem przywitać się raczy;
Bo wiadomo, że bardzo sprytny naród szpaczy —
I ten, słuchając pilnie przez czas długi,
Nauczył się wymawiać kilka słów papugi,
Stąd łaska i uprzejmości
U owej hardej Imości,

Co siadłszy na pierwszej grzędzie,
Chciała rozkazywać wszędzie.

Wszystkie ptaki,
Jaki taki
Spuściwszy główki na dół i pisnąć nie śmiały,
Chyba, by głosić papugi pochwały. —
Aż wtem, wróbel mały,
Choć niepozorny z postaci,
Ani z miny,
Ni z czupryny,
Ale szczerszy i śmielszy od ptaków swych braci —
Zadarłszy dzióbka do góry
Rzecze do niej: »Moja pani,
Skąd te fochy u Wasani!
Wyrzekłaś się danego głosu od natury
I z nas jeszcze chcesz tu szydzić?
I przewodzić nudnym krzykiem,
Paplając cudzym językiem;
Ot, powinnabyś się wstydzić,
Bo to brzydkie są narowy
Nie szanować własnej mowy!
Wiem ja dobrze, że słowiki
I skowronki i czyżyki
Bardzo piękne mają głosy, —
Jednak im nie zazdroszczę ni sarkam na losy!
Ale sobie świergocę jak moi ojcowie,
Szarzy wróblowie —
I nie trzeba mi było obcej mowy wiedzieć,
Aby ci prawdę powiedzieć.« —

Miał racyę wróbel choć szary i mały. —
Oby tylko te słowa, z serca wyczerpane,
Nie padły jak groch na ścianę
I z wiatrem się nie rozwiały!

. . . . . .

Konstanty Gaszyński.

X.*)

Pan Tadeusz.

Wstęp.

Litwo, Ojczyzno moja! Ty jesteś jak zdrowie:
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję — bo tęsknię po tobie.

Panno Święta, co Jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostrej świecisz Bramie! Ty, co gród zamkowy
Nowogródzki ochraniasz z jego wiernym ludem!**)
Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem,
Gdy od płaczącej matki pod Twoją opiekę
Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę
I zaraz mógłem pieszo do Twych świątyń progu
Iść za wrócone życie podziękować Bogu: —
Tak nas powrócisz cudem na ojczyzny łono!...
Tymczasem przenoś moją duszę utęsknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych,

---

*) Dział niniejszy zawiera ustępy z większych poematów.

**) Jak w Polsce obraz *M. B. Częstochowskiej*, tak na Litwie słyną cudami obrazy *M. B. Ostrobramskiej* w Wilnie i *M. B. Zamkowej* w Nowogródku.

Do tych pól, malowanych zbożem rozmaitem,
Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem;
Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,
Gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała,
A wszystko przepasane, jakby wstęgą, miedzą
Zieloną; na niej z rzadka ciche grusze siedzą.

Adam Mickiewicz.

Powieść o Domejce i Dowejce.

Pamiętam, za mych czasów żyło dwóch sąsiadów,
Oba ludzie uczciwi, szlachta z prapradziadów,
Mieszkali po dwóch stronach nad rzeką Wilejką,
Jeden zwał się Domejko a drugi Dowejko.
Do niedźwiedzicy oba razem wystrzelili:
Kto zabił, trudno dociec; strasznie się kłócili
I przysięgli strzelać się przez niedźwiedzią skórę;
To mi to po szlachecku, prawie rura w rurę.
Ja byłem sekundantem; jak wszystko się działo,
Opowiem od początku historyę całą.

Domejki i Dowejki wszystkie przeciwieństwa
Pochodziły, rzecz dziwna, z nazwisk podobieństwa
Bardzo niewygodnego. Bo gdy w czas sejmików
Przyjaciele Dowejki skarbili stronników,
Szepnął ktoś do szlachcica: daj kreskę Dowejce;
A ten niedosłyszawszy dał kreskę Domejce.
Gdy na uczcie wzniósł zdrowie marszałek Rupejko:
»Wiwat Dowejko!« drudzy krzyknęli: »Domejko!«
A kto siedział w pośrodku, nie trafił do ładu,
Zwłaszcza przy niewyraźnej mowie w czas obiadu.

Gorzej było: raz w Wilnie jakiś szlachcic pjany
Bił się w szable z Domejką i dostał dwie rany;

Potem ów szlachcic, z Wilna wracając do domu,
Dziwnym trafem z Dowejką zjechał się u promu.
Gdy więc na jednym promie płynęli Wilejką,
Pyta sąsiada: Kto on? odpowie: »Dowejko«;
Nie czekając, dobywa rapier z pod kirejki,
Czach, czach, i za Domejkę podciął wąs Dowejki.
Wreszcie, jak na dobitkę, trzeba jeszcze było,
Żeby na polowaniu tak się wydarzyło,
Że stali blizko siebie oba imiennicy
I do jednej strzelili razem niedźwiedzicy.
Prawda, że po ich strzale upadła bez duchu,
Ale już pierwej niosła z dziesiątek kul w brzuchu;
Strzelby z jednym kalibrem miało wiele osób;
Kto zabił niedźwiedzicę? dojdźże! jaki sposób?
Tu już krzyknęli: »Dosyć! trzeba raz rzecz skończyć,
Bóg nas czy djabeł złączył, trzeba się rozłączyć:
Dwóch nas jak dwóch słońc pono zanadto na świecie.«
A więc do szerpentynek i stają na mecie.
Oba szanowni ludzie; co ich szlachta godzą,
To oni na się jeszcze zapalczywiej godzą.
Zmienili broń: od szabel szło na pistolety;
Stają; krzyczym, że nadto przybliżyli mety;
Oni na złość, przysięgli przez niedźwiedzią skórę
Strzelać się: śmierć niechybna! prawie rura w rurę:
Oba tęgo strzelali — »Sekunduj Hreczecha!«
»Zgoda, rzekłem, niech zaraz dół wykopie klecha:
Bo taki spór nie może skończyć się na niczem;
Lecz bijcie się szlacheckim trybem nie rzeźniczym:
Dosyć już mety zbliżać, widzę żeście zuchy;
Chcecie strzelać się, rury oparłszy na brzuchy?

Ja nie pozwolę; zgoda, że na pistolety;
Lecz strzelać się nie z dalszej ani bliższej mety,
Jak przez skórę niedźwiedzią. Ja rękami memi
Jako sekundant skórę rozciągnę na ziemi,
I sam was ustawię. Waść po jednej stronie
Stanie na końcu pyska, a waść na ogonie.«
»Zgoda!« wrzaśli: »czas?« — »jutro« — »miejsce?«
Rozjechali się. [»Karczma Usza.«

Ledwie dniało, już z jednej strony taradejką
Jedzie Dowejko, z drugiej na koniu Domejko.
Patrzą, aż tu przez rzekę leży most kosmaty,
Pas ze skóry niedźwiedziej, porzniętej na szmaty.
Postawiłem Dowejkę na zwierza ogonie
Z jednej strony, Domejkę zaś po drugiej stronie.
Pukajcie teraz — rzekłem — choć przez całe
życie,
Lecz póty was nie spuszczę, aż się pogodzicie.
Oni w złość; a tu szlachta kładzie się na ziemi
Od śmiechu, a ja z księdzem słowy poważnemi
Już im z Ewanielii, z statutów dowodzić!
Nie ma rady! — śmiali się i musieli zgodzić.

Spór ich potem w dozgonną przyjaźń się zamienił
I Dowejko się z siostrą Domejki ożenił;
Domejko pojął siostrę szwagra, Dowejkównę,
Podzielili majątek na dwie części równe,
A w miejscu, gdzie się zdarzył tak dziwny przy-
padek,
Pobudowawszy karczmę, nazwali: Niedźwiadek.

Adam Mickiewicz.

Koncert nad koncertami.

Było cymbalistów wielu,
Ale żaden z nich nie śmiał zagrać przy Jankielu.
(Jankiel przez całą zimę nie wiedzieć gdzie bawił,
Teraz się nagle z głównym sztabem wojska zjawił).
Wiedzą wszyscy, że mu nikt na tym instrumencie
Nie wyrówna w biegłości, w guście i w talencie.
Proszą, ażeby zagrał, podają cymbały;
Żyd wzbrania się, powiada, że ręce zgrubiały,
Odwykł od grania, nie śmie i panów się wstydzi;
Kłaniając się, umyka. Gdy to Zosia widzi,
Podbiega i na białej podaje mu dłoni
Drążki, którymi zwykle mistrz we struny dzwoni,
Drugą rączką po siwej brodzie starca głaska,
I dygając: »Jankielu, mówi, jeśli łaska!
Wszak to me zaręczyny: zagrajże Jankielu!
Wszak nieraz przyrzekałeś grać na mem weselu!«

Jankiel niezmiernie Zosię lubił; kiwnął brodą
Na znak, że nie odmawia; więc go w środek wiodą,
Podają krzesło; usiadł, cymbały przynoszą;
Kładą mu na kolanach. On patrzy z rozkoszą
I z dumą, jak weteran w służbę powołany,
Gdy wnuki ciężki jego miecz ciągną ze ściany;
Dziad śmieje się, choć miecza dawno nie miał w dłoni,
Lecz uczuł, że dłoń jeszcze nie zawiedzie broni.

Tymczasem dwaj uczniowie przy cymbałach klęczą,
Stroją na nowo struny i, próbując brzęczą;
Jankiel z przymróżonemi napoły oczyma
Milczy i nieruchome drążki w palcach trzyma.

Spuścił je. Zrazu bijąc taktem tryumfalnym,
Potem gęściej siekł struny, jak deszczem nawalnym:
Dziwią się wszyscy. Lecz to była tylko próba,
Bo wnet przerwał i w górę podniósł drążki oba.
Znowu gra. Już drżą drążki tak lekkimi ruchy,
Jak gdyby zadzwoniło w strunę skrzydło muchy,
Wydając ciche, ledwie słyszalne brzęczenia.
Mistrz zawsze patrzył w niebo, czekając natchnienia.
Spojrzał z góry, instrument dumnem okiem zmierzył,
Wzniósł ręce, spuścił razem, w dwa drążki uderzył:
Zdumieli się słuchacze.
Razem ze strun wiela
Buchnął dźwięk, jakby cała janczarska kapela
Ozwała się z dzwonkami, z zelami, z bębenki.
Brzmi Polonez Trzeciego Maja!... Skoczne dźwięki
Radością oddychają, radością słuch poją;
Dziewki chcą tańczyć, chłopcy w miejscu nie dostoją.
Lecz starców myśli z dźwiękiem w przeszłość się
uniosły,
W owe lata szczęśliwe, gdy senat i posły,
Po dniu Trzeciego Maja, w ratuszowej sali,
Zgodzonego z narodem króla fetowali.
Gdy przy tańcu śpiewano: »Wiwat król kochany!
Wiwat Sejm, wiwat Naród, wiwat wszystkie Stany!«
Mistrz coraz takty nagli i tony natęża:
A wtem puścił fałszywy akord, jak syk węża.
Jak zgrzyt żelaza po szkle: przejął wszystkich dre-
szczem
I wesołość pomieszał przeczuciem złowieszczem.
Zasmuceni, strwożeni słuchacze zwątpili:
Czy instrument niestrojony? czy się muzyk myli?

Nie zmylił się mistrz taki! On umyślnie trąca
Wciąż tę zdradziecką strunę, melodyę zmąca,
Coraz głośniej targając akord rozdąsany,
Przeciwko zgodzie tonów skonfederowany.
Aż Klucznik pojął mistrza, zakrył ręką lica
I krzyknął: »Znam! znam głos ten! to jest Targowica!«
I wnet pękła ze świstem struna złowróżąca...
Muzyk bieży do prymów, urywa takt, zmąca;
Porzuca prymy, bieży z drążkami do basów.
Słychać tysiące coraz głośniejszych hałasów:
Takt marszu, wojna, atak, szturm, słychać wystrzały,
Jęk dzieci, płacze matek... Tak mistrz doskonały
Wydał okropność szturmu, że wieśniaczki drżały,
Przypominając sobie ze łzami boleści
Rzeź Pragi, którą znały z pieśni i powieści;
Rade, że mistrz nakoniec strunami wszystkiemi
Zagrzmiał i głosy zdusił, jakby wbił do ziemi.
Ledwie słuchacze mieli czas wyjść z zadziwienia,
Znowu muzyka inna: znów zrazu brzęczenia
Lekkie i ciche; kilka cienkich strunek jęczy,
Jak kilka much, gdy z siatki wyrwą się pajęczej.
Lecz strun coraz przybywa. Już rozpierzchłe tony
Łączą się i akordów wiążą legiony,
I już w takt postępują zgodzonymi dźwięki,
Tworząc nutę żałosną tej sławnej piosenki:
O żołnierzu-tułaczu, który borem, lasem
Idzie, z biedy i głodu przymierając czasem;
Nakoniec pada u nóg konika wiernego,
A konik nogą grzebie mogiłę dla niego.
Piosenka stara, wojsku polskiemu tak miła!
Poznali ją żołnierze; wiara się skupiła

Wkoło mistrza; słuchają, wspominają sobie
Ów czas okropny, kiedy na Ojczyzny grobie
Zanucili tę piosnkę i poszli w kraj świata:
Przywodzą na myśl długie swej wędrówki lata,
Po lądach, morzach, piaskach gorących i mrozie,
Pośrodku obcych ludów, gdzie często w obozie
Cieszył ich i rozrzewniał ten śpiew narodowy.
Tak rozmyślając, smutnie pochylili głowy...

Ale je wnet podnieśli; bo mistrz tony wznosi,
Natęża, takty zmienia, coś innego głosi.
I znowu spojrzał z góry, okiem struny zmierzył,
Złączył ręce, oburącz w dwa drążki uderzył.
Uderzenie tak sztuczne, tak było potężne,
Że struny zadzwoniły, jak trąby mosiężne,
I z trąb znana piosenka ku niebu wionęła,
Marsz tryumfalny: »Jeszcze Polska nie zginęła!
Marsz Dąbrowski do Polski!...« I wszyscy klasnęli
I wszyscy »Marsz Dąbrowski« chórem okrzyknęli!

Muzyk, jakby sam swojej dziwił się piosence,
Upuścił drążki z palców, podniósł w górę ręce;
Czapka lisia spadła mu z głowy na ramiona,
Powiewała poważnie broda podniesiona,
Na jagodach miał kręgi dziwnego rumieńca,
We wzroku, ducha pełnym, błyszczał żar młodzieńca.
Aż, gdy na Dąbrowskiego starzec oczy zwrócił,
Zakrył rękami, z pod rąk łez potok się rzucił.

»Jenerale, rzekł, ciebie długo Litwa nasza
Czekała, długo, jak my, Żydzi, Mesyasza...
Ciebie prorokowali dawno między ludem
Śpiewaki... ciebie niebo obwieściło cudem...

Żyj i wojuj, o, ty nasz!...« Mówiąc ciągle szlochał.
Żyd poczciwy Ojczyznę, jako Polak kochał!
Dąbrowski mu podawał rękę i dziękował,
On, czapkę zdjąwszy, wodza rękę ucałował.

A Mickiewicz.

Konrad Wallenrod.

Pieśń Wajdeloty.

Kiedy zaraza Litwę ma uderzyć,
Jej przyjście wieszcza odgadnie źrenica;
Bo jeśli słuszna wajdelotom wierzyć,
Nieraz na pustych cmentarzach i błoniach
Staje widomie morowa dziewica,
W bieliźnie, z wiankiem ognistym na skroniach,
Czołem przenosi białowieskie drzewa,
A w ręku chustką skrwawioną powiewa.

Strażnicy zamków oczy pod hełm kryją,
A psy wieśniaków, zarywszy pysk w ziemi,
Kopią, śmierć wietrzą i okropnie wyją.

Dziewica stąpa kroki złowieszczemi
Na sioła, zamki i bogate miasta;
A ile razy krwawą chustką skinie,
Tyle pałaców zmienia się w pustynie,
Gdzie nogą stąpi, świeży grób wyrasta.

Zgubne zjawisko! — Ale więcej zguby
Wróżył Litwinom od niemieckiej strony
Szyszak błyszczący ze strusimi czuby,
I płaszcz szeroki, krzyżem naczerniony.

Gdzie przeszły stopy takiego widziadła,
Niczem jest klęska wiosek albo grodów:
Cała kraina w mogiłę zapadła.
Ach! kto litewską duszę mógł ochronić,
Pójdź do mnie, siądziem na grobie narodów,
Będziemy dumać, śpiewać i łzy ronić.
O wieści gminna, ty arko przymierza
Między dawnemi i młodszemi laty:
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty.
Arko! tyś żadnym niezłamana ciosem,
Póki cię własny twój lud nie znieważy;
O pieśni gminna, ty stoisz na straży
Narodowego pamiątek kościoła,
Z archanielskiemi skrzydłami i głosem, —
Ty czasem miewasz i broń archanioła.
Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje,
Pieśń ujdzie cało, tłum ludzi obiega;
A jeśli podłe dusze nie umieją
Karmić ją żalem i poić nadzieją,
Ucieka w góry, do gruzów przylega
I stamtąd dawne opowiada czasy.
Tak słowik z ogniem zajętego gmachu
Wyleci, chwilę przysiądzie na dachu:
Gdy dachy runą, on ucieka w lasy,
I brzmiącą piersią nad zgliszcza i groby
Nuci podróżnym piosenkę żałoby.
Słuchałem piosnek — nieraz kmieć stuletni
Trącając kości żelazem oraczem,
Stanął i zagrał na wierzbowej fletni
Pacierz umarłych; lub rymowym płaczem

Was głosił, wielcy ojcowie — bezdzietni.
Echa mu wtórzą, ja słuchałem zdala,
Tem mocniej widok i piosnka rozżala,
Żem był jedynym widzem i słuchaczem.
Jako w dzień sądny z grobowca wywoła
Umarłą przeszłość trąba archanioła,
Tak na dźwięk pieśni kości z pod mej stopy
W olbrzymie kształty zbiegły się i zrosły.
Z gruzów powstają kolumny i stropy,
Jeziora puste brzmią licznemi wiosły,
I widać zamków otwarte podwoje,
Korony książąt, wojowników zbroje,
Śpiewają wieszcze, tańczy dziewic grono.
Marzyłem cudnie — srodze mię zbudzono!...
Gdybym był zdolny własne ognie przelać
W piersi słuchaczów i wskrzesić postaci
Zmarłej przeszłości: gdybym umiał strzelać
Brzmiącemi słowy do serca spółbraci;
Możeby jeszcze w tej jedynej chwili,
Kiedy ich piosnka ojczysta poruszy,
Uczuli w sobie dawne serca bicie,
Uczuli w sobie dawną wielkość duszy,
I chwilę jedną tak górnie przeżyli,
Jak ich przodkowie niegdyś całe życie.

Adam Mickiewicz.

Trybunał tajemny.

Stój, dumny władco! Jest sąd i na ciebie.
W Marienburgu wiem ja loch podziemny;
Tam, gdy noc miasto w ciemnościach zagrzebie,
Schodzi na radę trybunał tajemny.

Tam jedna lampa na podniebiu sali
I w dzień i w nocy się pali;
Dwanaście krzeseł koło tronu stoi,
Na stole ustaw księga tajemnicza;
Dwunastu sędziów, każdy w czarnej zbroi,
Wszystkich maskami zamknięte oblicza,
W lochach od gminnej ukryli się zgrai,
A larwą jeden przed drugim się tai.

Wszyscy przysięgli dobrowolnie, zgodnie,
Karać potężnych swoich władców zbrodnie
Nazbyt gorszące lub ukryte światu.
Skoro ostatnia uchwała zapadnie,
I rodzonemu nie przepuszczą bratu;
Każdy powinien, gwałtownie lub zdradnie,
Na potępionym dopełnić wyroku:
Sztylety w ręku, rapiery u boku.

Jeden z maskowych zbliżył się do tronu,
I stojąc z mieczem przed księgą Zakonu,
Rzekł: »Straszliwi sędziowie!
Już nasze podejrzenie stwierdzone dowodem:
Człowiek, co się Konradem Wallenrodem zowie,
Nie jest Wallenrodem.

Kto on jest? nie wiadomo. Przed dwunastu laty
Nie wiedzieć skąd przyjechał w nadreńskie krainy.
Kiedy hrabia Wallenrod szedł do Palestyny,
Był w orszaku hrabiego, nosił giermka szaty.
Wkrótce rycerz Wallenrod gdzieś bez wieści zginął;
Ów giermek, podejrzany o jego zabicie,
Z Palestyny uszedł skrycie
I ku hiszpańskim brzegom zawinął.

Tam w potyczkach z Maurami dał męstwa dowody,
I na turniejach mnogie pozyskał nagrody,
A wszędzie pod imieniem Wallenroda słynął.
Przyjął nakoniec zakonnika śluby
I został mistrzem dla zakonu zguby.
Jak rządził, wszyscy wiecie; tej ostatniej zimy,
Kiedy z mrozem i głodem i z Litwą walczymy,
Konrad jeździł samotny w lasy i dąbrowy,
I tam miewał z Witołdem tajemne rozmowy.
Szpiegowie moi dawno śledzą jego czynów;
Wieczorem pod narożną skryli się wieżycą,
Nie pojęli, co Konrad mówił z pustelnicą,
Lecz, sędziowie! on mówił językiem Litwinów.
Zważywszy, co nam tajnych sądów posły
Niedawno o tym człowieku doniosły,
I o czem świeżo mój szpieg donosi,
I wieść już ledwie nie publiczna głosi:
Sędziowie! ja na mistrza oskarżenie kładę
O fałsz, zabójstwo, herezyę, zdradę.«
Tu oskarżyciel przed Zakonu księgą
Ukląkł, i wsparłszy na krucyfiks rękę,
Prawdę doniesień zatwierdził przysięgą
Na Boga i na Zbawiciela mękę.
Umilkł. Sędziowie sprawę roztrząsają;
Lecz nie ma głosów, ni cichej rozmowy;
Ledwie rzut oka lub skinienie głowy
Jakąś głęboką, groźną myśl wydają.
Każdy z kolei zbliżał się do tronu,
Ostrzem sztyletu na księdze Zakonu
Karty przerzucał, prawa cicho czytał,
O zdanie tylko sumienia zapytał,

Osądził, rękę do serca przykłada,
I wszyscy zgodnie zawołali: »biada!«
I trzykroć echem powtórzyły mury:
»Biada!« W tem jednem, jednem tylko słowie
Jest cały wyrok. Pojęli sędziowie:
Dwanaście mieczów podnieśli do góry:
Wszystkie zmierzone — w jedną pierś Konrada.
Wyszli w milczeniu, — a jeszcze raz mury
Echem za nimi powtórzyły: — »biada!...«

Wykonanie wyroku.

»Kto idzie?« trzykroć odźwierny zawołał.
»Biada!« krzyknęło kilka dzikich głosów;
Widać, że strażnik oprzeć się nie zdołał,
I brama tęgich nie wstrzymała ciosów.
Już orszak dolne krużganki przebiega,
Już przez żelazne pokręcone wschody,
Do Wallenroda wiodące gospody,
Łoskot stóp zbrojnych raz wraz się rozlega;
Alf zawaliwszy wrzeciądzem podwoje,
Dobywa szablę, wziął czarę ze stoła,
Poszedł ku oknu, — »stało się!« zawoła,
Nalał i wypił: — »Starcze! w ręce twoje!«
Halban pobladnął, chciał skinieniem ręki
Wytrącić napój, wstrzymuje się, myśli;
Słychać za drzwiami coraz bliższe dźwięki,
Opuszcza rękę, — to oni — już przyśli.
»Starcze! rozumiesz, co ten łoskot znaczy?
I czego myślisz? masz nalaną czaszę,
Moja wypita; starcze! w ręce wasze!«
Halban poglądał w milczeniu rozpaczy.

»Nie, ja przeżyję... i ciebie, mój synu! —
Chcę jeszcze zostać, zamknąć twe powieki
I żyć. — ażebym sławę twego czynu
Zachował światu, rozgłosił na wieki.
Obiegę Litwy wsi, zamki i miasta.
Gdzie nie dobiegę, pieśń moja doleci:
Bard dla rycerzy w bitwach, a niewiasta
Będzie ją w domu śpiewać dla swych dzieci!
Będzie ją śpiewać, i kiedyś w przyszłości
Z tej pieśni wstanie mściciel naszych kości!«
Na poręcz okna Alf ze łzami pada,
I długo, długo ku wieży poglądał.
Jak gdyby jeszcze napatrzyć się żądał
Miłym widokom, które wnet postrada.
Objął Halbana, westchnienia zmieszali
W ostatniem, cichem... długiem uściśnieniu.
Już u wrzeciądzów słychać łoskot stali,
Wchodzą, wołają Alfa po imieniu:
»Zdrajco! twa głowa dzisiaj pod miecz padnie,
Żałuj za grzechy, gotuj się do zgonu,
Oto jest starzec, kapelan Zakonu.
Oczyść twą duszę i umrzyj przykładnie.«
Z dobytym mieczem Alf czekał spotkania,
Lecz coraz blednie, pochyla się, słania;
Wsparł się na oknie, i tocząc wzrok hardy,
Zrywa płaszcz, mistrza znak na ziemię miota,
Depce nogami z uśmiechem pogardy:
»Oto są grzechy mojego żywota!
Gotówem umrzeć — czegoż chcecie więcej?
Z urzędu mego chcecie słuchać sprawy?
Patrzcie na tyle zgubionych tysięcy,
Na miasta w gruzach, w płomieniach dzierżawy.

Słyszycie wicher? pędzi chmury śniegów, —
Tam marzną waszych ostatki szeregów.
Słyszycie? wyją głodnych psów gromady,
One się gryzą o szczątki biesiady.
Ja to sprawiłem; jakem wielki, dumny,
Tyle głów hydry jednym ściąć zamachem!
Jak Samson jednem wstrząśnieniem kolumny
Zburzyć gmach cały, i runąć pod gmachem!«
Rzekł, spojrzał w okno i bez czucia pada,
Ale nim upadł, lampę z okna ciska;
Ta trzykroć kołem obiegając błyska,
Nakoniec legła przed czołem Konrada.
W rozlanym płynie tleje rdzeń ogniska,
Lecz coraz głębiej toczy się i mroczy.
Wreszcie, jak gdyby dając skonu hasło,
Ostatni, wielki krąg światła roztoczy.
I przy tym blasku widać Alfa oczy,
Już pobielały — i światło zagasło.

A. Mickiewicz.

Ojciec zadżumionych.

Śmierć ostatniego dziecka i matki.

Z założonemi na piersiach rękoma
Siedziała trzy dni matka nieruchoma,
W kącie namiotu żółta jakby z drewna.
Dziecina stała się blada i rzewna,
Bo mleko matki zaczęło wysychać,
I co dnia płacz było w kołysce słychać...
Co dnia, gdy przyszła wieczorna godzina,
Śpiewającegom słyszał muezina.

Jakby się nad mym ulitował losem,
Zaczął smutniejszym nawoływać głosem,
Krzycząc ze swego piaskowego stoga
Nieszczęśliwemu ojcu — wielkość Boga.
O! bądźże mi ty pochwalony, Alla!
Szumem pożaru, co miasta zapala,
Trzęsieniem ziemi, co grody wywraca,
Zarazą, która dzieci mi wytraca
I bierze syny z łona rodzicielki.
O! Allah! Akbar Allah! jesteś wielki!

Wszystko, co miało tylko twarz człowieka,
Zaczęło stronić odemnie z daleka.
Zarazę było znać na mym namiocie —
I wiesz? że nawet tych wróbelków krocie,
Co zlatywały się tutaj o brzasku
Jeść okruszyny i kąpać się w piasku,
Odkąd mi dzieci zaczęło ubywać,
Po żer przestały się wszystkie zlatywać.
Czy odstraszyło je podarte płótno
Namiotu mego? czy twarz moja biedna? —
Nie przyleciała z ptaszyn ani jedna,
I spostrzegłem to — i było mi smutno.

Po córce w pięć dni — o! Boże, mój Boże!
Z wieczora huczeć już zaczęło morze,
I słońca się krąg pochował ponury,
I niebo czarne zaciągnęły chmury.
Noc przyszła, dotąd w pamięci ohydna,
Ciemna, od gromów czerwoności widna.
Jeszcze dziś czuję i widzę i słyszę,
Słyszę, jak namiot gęste sieką deszcze,
Jak się rozciąga, jak głucho szeleszcze,

I od piorunów się cały czerwieni,
Podobny grobom szatańskim z płomieni.
Zdawało mi się za burzy łoskotem,
Żem słyszał martwe dzieci, za namiotem,
Wszystkie jęczące przeraźliwie, głucho;
Więc natężałem wzrok, serce i ucho
I z przerażeniem rozmyślałem sobie,
Jak moim dzieciom takiej nocy w grobie!

I nagle — czemuż ta śmierć tak zdradziecko,
Tak cicho weszła pod namiotu żagle?!
Grom spadał hucząc po gromie — i nagle
W kołysce z cicha zapłakało dziecko —
A płacz ten musiał być strasznym wyrazem...
Bo zaraz — matka — ja — oboje razem —
Rzuciliśmy się, gdzie robaczek lichy...
A choć dziecięcia jęk był bardzo cichy,
To tak wydawał się obojgu głośny,
I tak rozdarty, i taki żałośny,
I tak z głębokich wnętrzności wyjęty!
I tak rozumny! i taki przeklęty!
Żeśmy oboje biegli gromem tknięci,
I bez nadziei już! i bez pamięci!

I nie zawiodło przeczucie żałoby!
Umarło — z takiej jak tamte choroby.
I poszło leżeć między trupy bratnie,
Moje najmilsze!... i moje ostatnie!!!
Śmierć mi go czarna wzięła nielitośnie.
I już nie wróci! ani mi urośnie!
Ani go kiedy mój dom już zobaczy!
I już nie wróci nigdy! — o! rozpaczy!!!

Noc przyszła druga, błyszcząca gwiazdami.
Byliśmy z matką w namiocie — przed nami
Leżało dziecko na stole, nieżywe,
Nieruchomością śmierci przeraźliwe.
Uczułem wtenczas, patrząc na tę postać,
Że gdyby mogło choć tak z nami zostać,
Przez wszystkie lata — choć tak nie inaczej —
Ubyłoby mi z serca pół rozpaczy.
A to już — ani zarazy strażnicy,
Ani ja niosłem do Szecha kaplicy,
Gdzie się nam trupia otwierała brama —
Ale je matka tam zaniosła sama.

W namiocie pustym ja zostałem z żoną...
I nie mówiliśmy do siebie słowa —
Bo powiedz, jakaż być mogła rozmowa,
W pustym namiocie między mną a żoną?...
Cisza ogromna namiot nasz zaległa.
Chyba mysz jaka w księżycu przebiegła;
Zgoła innego jęku ni szelestu...
Tak doczekaliśmy się dni czterdziestu.
I kwarantanny przybyli lekarze,
Głęboko patrząc w nasze smutne twarze.
Widziałem, jak się każdy z nich zadziwiał;
Bo nachyliłem się był i posiwiał.
A żona moja od niespań i troski,
Była jak bursztyn, albo żółte woski;
Na głowie miała z włosów siwych wieniec,
Jakiś okropny ceglany rumieniec,
A oczy pełne takiej błyskawicy
Jak ci, co wyjdą na słońce z ciemnicy.

Lekarz nam kazał w sustawy uderzyć,
Tam gdzie zaraza pierwsze rzuca strupy —
Zdrów byłem. — Ludzie! czy będziecie wierzyć?
Ja, co me wszystkie całowałem trupy,
Z tej kwarantanny wychodziłem zdrowy! —
Żona, co nawet nie tknęła połowy,
Nad piersiami się uderzywszy, zbladła,
I zachwiała się z jękiem — i upadła.
A ja na ręce wziąłem trup niewieści,
Zaniosłem w namiot i rzuciwszy brzemię
Upadłem przy niej jak martwy na ziemię.
I obudziłem się — na dni czterdzieści...

. . . . . .

. . . . . .

Dziś — oto dziewięć wielbłądów podróżnych,
A na nich — patrzaj, osiem juków próżnych:
I nie zostało mi nic — oprócz Boga;
I tam mój cmentarz — a tamtędy droga.

Juliusz Słowacki.

Marya.

Śmierć Miecznika.

Na ukraińskiej cerkwi błyszczą się trzy wieże,
A ukraińskie baby szepcą swe pacierze!
Biją we dzwony żaki i zrsk sobie krzeszą;
Ludzie dobrzy — czy pogrzeb, czy to chrzciny, spieszą.
Wewnątrz kiry, katafalk i trumna, a w rzędy
Blado się palą świece: czarno, straszno wszędy.
Czyjaż tam wzniosła postać śród ciekawych grona
Leży długim i martwym krzyżem rozścielona?

Czyjaż to pierś rycerska w kurzawie się wala?
I z tą cichą pokorą, co się nie użala,
Choć i najsroższych kaźni ciężkie dźwiga brzemię,
W swej niemej pobożności jakby wbita w ziemię?
Blady — jak łysk od gromnic, co mu na twarz wbiega,
Smutny — jak śpiew umarłych, co się tam rozlega;
Z poziomego zniżenia, gdzie go wiara tłoczy,
Jak robak świętojański świecą jego oczy.
Ach! to pana Miecznika siwa, nędzna głowa:
Niedawno żonę stracił, teraz córę chowa;
Na to huśtał kołyskę, by w trumnie uśpili,
Na to jej woził lamę, żeby całun szyli...
I dziwno — tak nieczułym stał się na pogrzebie,
Jakby już dusza jego była z córką w niebie.
I takim był i potem: ni żalu, ni skargi
Nikomu nie zwierzyły wypłowiałe wargi;
Ni łzów w hardem spojrzeniu nie było oznaki;
Mniej z ludźmi, więcej z Bogiem, a zresztą — jednaki.
Codzień on w jednej porze chodził pokryjomu;
Lecz nim wydano hasła, powracał do domu.
Raz — i północ minęła, a Miecznik nie wraca;
I gdy patrząca czujność nadzieję utraca,
Gdy dziko grają trąby, a ze snu, jak z procy,
Rzucili się rycerze k' zemście lub pomocy,
Znaleźli go w cmentarzu. Przy córki i żony
Przyległych dwóch mogiłach klęczał nachylony:
Taż sama w ustach słodycz, a w czole sędziwość,
Taż sama bladość twarzy, ale oczu żywość,
Czapka, wąsy, dla Polski straszydło na wrogi,
I żupan ten sam czarny; tylko że gdy trwogi

Odgłos trąby wojennej dochodził daleki,
Nie porwał się do korda: już spał — spał na wieki.
I cicho, gdzie trzy mogił w posępnej drużynie;
I pusto, smutno, tęskno — w bujnej Ukrainie.

Antoni Malczewski.

Podole.

Napad tatarski.

Było właśnie naówczas w Załuczu wesele.
Ozwał się dzwon niedzielny w czerczeckim kościele.
Do ślubu wyjeżdżali w weselnych okrzykach
Drużbowie, i pan młody przodem — na konikach;
Dalej cała drużyna; — dalej, panna młoda
Śród drużek, w ślubnym wieńcu, piękna jak pogoda!
Tylko co przed ołtarzem stali oblubieńce,
I ksiądz stułą miał związać złączone już ręce:
Gdy wtem: »Turcy, Turcy!« wieść jak piorun padła,
I każda twarz żyjąca przestrachem pobladła.
Gdzie kto stał, tam osłupiał. — Żony, starce, dzieci,
Wszystko to bez pamięci obłąkane leci.
Co tu robić? Co począć? — »Ukryć się w pieczary!«
Krzyknął — z dawna świadom napadów — Sotski stary.
»Co młodsi — do strzemiona ze spisą i mieczem,
Pójdziem i w imię Boże ten motłoch przesieczem.
A choćby na jednego było pięćdziesięciu.
Nie w liczbie nasza wiara, ale w naszem cięciu!
A choć i przyjdzie zginąć, to zginiemy z chwałą,
Za wolność z mieczem w ręku, jak mężom przystało.«
Skończył Sotski — i wkrótce na głos jego mowy
Trzysta chłopa stanęło gdyby las dębowy,

I w gminie ucichł popłoch na głos dobrej rady,
I zbierać się poczęły różnych siół gromady...
Przyszła chwila rozstania, i pieczary gardło,
Chętne wsparciu tułaczów, szerzej się rozwarło;
A każdy łzą boleści oblewając lice,
Zostałym pożegnania wyciągnął prawicę.
Jak las stoją rycerze — dołem — na opoce,
A wiatr im od południa kitkami migoce;
I podolskiej równiny wychowaniec dziki,
Rwie się rumak, gotowy na miecze i piki.
Stary Sotski na czele — choć włos bieli zima,
Bije się za dziesięciu — i żartów z nim niema:
»Dalej dzieci, w boży czas! Bóg nam stanie tarczą,
A podolskie ramiona za resztę wystarczą;
Pokażemy pohańcom, co to polskie ostrze!«...
Poszli....
Lecz jakiż jeszcze rycerz wyjazd swój odwleka?
Młody a z niewiastami pozostał jak starzy? — —
Nie! — on ich nieodrodny — on taki jak oni,
Raz świśnie na konika i wnet ich dogoni.
Lecz patrz, tam jego luba stoi na uboczy
I łamie białe rączki i łzami ćmi oczy,
I zawodzi żałośnie i pierś targa biedną —
Nieszczęśliwa! i świata z za łez jej nie widno...

...»Nie płacz luba! ja wrócę, jeśli zła godzina
Nie zagubi zawiśnie podolskiego syna:
Wrócę, i ty barwinkiem przystroisz mi kitkę,
A ja ci z pohańskich branek
Złotą lamę na namitkę
W zamian dam za wianek.«

»Gdy już taka wola nieba,
Że iść musisz nieodbicie,
Że rozłączyć się potrzeba:
Idź, mój luby, w imię Boże,
Niech Bóg oręż twój wspomoże.
Walcz, lecz pomnij, że moje na sztych niesiesz życie.

Walcz, lecz pomnij w mieczów szczęku,
Że oddychasz tchnieniem Zosi,
Że jej szczęście w twoim ręku:
Ocal je, ona cię prosi.«

»Bywaj zdrowa moja luba!
Ja na wieki wierny tobie,
Co Bóg sądzi: życie — zguba,
Wierny w życiu, wierny w grobie.«

Jak wiatr lekki wpadł na konia,
Spojrzał, świsnął, krzyknął —
Zatętniły dolne błonia,
Jak wiatr lekki zniknął.

Zniknął, a ona biedna, wydarta pociesze
Sama jedna została, jak jaskółka w strzesze.
Sześć dni już upływało, a lasy okolne,
Spały cicho, jak pierwej od napaści wolne.
Nie było żadnej wieści, tylko głos puhaczy,
Wtórował po jaskiniach wygnańców rozpaczy:
I tęskna jakaś trwoga za tym jego śpiewem
Wpiła się w każde serce przeczucia powiewem;
Bo zawsze, moje dzieci, nocny jęk puhacza
Złą jest wróżbą przyszłości — nieszczęście oznacza.

Smutniej i coraz straszniej było z każdą chwilką,
Zatrwożone spojrzenia, ciche jęki tylko.
Niewyraźne modlitwy, tłumione westchnienia
Odbijały pieczary i niebios sklepienia,
Lecz odbite nie doszły przed tron wybawienia!

Raz w niedzielę z południa trzy dziewczęta młode,
Zbiegły na dół z dzbankami do rzeki po wodę:
Była tam piękna Zosia — w tej weselnej szacie,
W tym samym ślubnym wianku jak ją pamiętacie:
(Bo do czasu powrotu swego oblubieńca,
Przysięgła nie zdjąć z głowy weselnego wieńca,)
Wpatrzyła tedy oko, gdzie przed sześciu dniami
Westchnieniem go bolesnem odwiodła i łzami,
Jakby tam w samej rzeczy zaoczyła kogo.
— »Basiu! czy przywidzenie? lecz patrz tam daleko,
Pędzą czterej rycerze końmi ponad rzeką.«
Toż samo wzrok Nastusi, toż stwierdził i Basi;
Krzyknęły z uniesieniem: — »To nasi, to nasi!
Przecież Bóg ich nam wrócił, dzięki Jemu, dzięki!«
Lecz jakże nagle radość zmieniła się w jęki,
Których echem odbiły okoliczne wzgórki:
»Przez Boga uciekajmy! to Turki, to Turki!«

...I szybsze od uczuć trwogi, co w pierś się cisły,
Zalęknione dziewczęta nagle się rozprysły,
I zaledwie przebiegło jedno mgnienie oka,
Już je pod cień obronny przyjęła opoka....
Tymczasem nasi ciągnąc w niezłomnym szeregu,
Zdybali nieprzyjaciół na dniestrowym brzegu.
Krwawe było spotkanie; — pohańców nawała
Garstkę naszych w około jak powódź zalała:

Sypnęły się pociski, rozpacz parła cięcia, —
Zginąć! — jeden cel naszym, jedne przedsięwzięcia:
Aż gdy ramię — nie ducha — osłabiły siecze,
I na karkach niewiernych stępiły się miecze:
Własnych cnót męczennicy pośród tej pożogi,
Godni siebie, szczęśliwi, padli co do nogi.

Maurycy Gosławski.

Wiesław.

Wesele.

Już miły wieczór uśmiechał się ziemi,
Gdy wracał Wiesław z końmi kupionemi.
Z przydrożnej wioski rozlega się granie,
Słychać wesołe pląsy i śpiewanie.
Parskając konie, bieżą po gościńcu,
Widać dziewoje przy rucianym wieńcu.
Biją drużbowie w podkówki ze stali:
A gdy wędrowca mile powitali,
Tak rzekł starosta, zarządzca wesela:
Dobrze to w każdym znaleźć przyjaciela!
Witajcież do nas, wy, z proszowskiej ziemi!
Nie chciejcie gardzić dary ubogiemi:
Pożyjcie z nami, czem tu gospodarzy
Wdzięczna prac rola i dobry Bóg darzy.
Napatrzycie się krakowskim dziewojom,
Rozlicznym tańcom i przecudnym strojom;
Wreszcie i w tany puścić się nie szkodzi.
Bo choć strudzeni, widzę, żeście młodzi.
Na to Halina występuje młoda,
W całem weselu najpierwsza uroda:

Wstydzi się, wstydzi, jednak przed nim staje,
Ciasta z koszyka i owoc podaje:
„Obcy wędrowcze! jużci przyjąć trzeba
Naszych owoców i naszego chleba!"
A przytem uśmiech jakowyś uroczy
Zwrócił na siebie wędrownika oczy;
I zwrócił tyle, że odtąd jedynie
Okiem i duszą został przy Halinie.

Wchodzi do izby na wesołe tany,
Z kubkiem od drużbów Wiesław powitany;
Potem starosta, zarządzca wesela,
W te słowa drużbom porady udziela:
„Jużci pierwszeństwo zostawcie obcemu.
Niech idzie w tany, niech też po swojemu
Skrzypkom zanuci, dziewoję wybierze:
Bo z obcym trzeba uczciwie i szczerze."

I wybrał druchnę, której wdzięk uroczy
Zwrócił na siebie wędrownika oczy:
Naprzód wychodzi, przed muzyką staje,
Halina w pląsach rękę mu podaje;
Za nim się w koło młodzieńcy zebrali,
Nucą i biją w podkówki ze stali;
Wiesław się za pas ujął ręką prawą,
Zagasił wszystkich poważną postawą,
W skrzypce i basy sypnął grosza hojnie,
Ojcom za stołem skłonił się przystojnie.
Halina pląsa z miną uroczystą,
Oburącz szatę ująwszy kwiecistą,
On tupnął, głowę nachylił ku ziemi
I zaczął nucić słowy takowemi:

Niechże ja lepiej nie żyję,
Dziewczę! skarby moje!
Jeśli kiedy oczka czyje
Milsze mi nad twoje.
Patrzajże mi prosto w oczy,
Bo widzi Bóg w niebie,
Że mi ledwie nie wyskoczy
Serduszko do ciebie!«

Bierze Halinę, i tak w około
Przodkując drużbom, tańczy wesoło;
A gdy ku skrzypkom znowu powróci,
Staje i w pląsach tak dalej nuci:

Czemuż ja w proszowskiej ziemi
Małe zaznał dziecię.
Byłbym między krakowskiemi
Najszczęśliwszy w świecie.
Krew nie woda ludźmi włada,
Bo któż sercem rządzi?
Człowiek pragnie i układa,
A wszystko Bóg sądzi.«

Halina w pląsach przed nim ucieka,
On w ręce pleszcząc goni z daleka:
A gdy dogoni, z ujętą wróci,
Staje i w pląsach tak dalej nuci:

Nie uciekaj ptaszku luby,
Moje sto tysięcy!
Dogonię ja mojej zguby
I nie puszczę więcej.

Krąży słowik w szumnym lesie,
Gałązek się czepia,
Aż dognany, piórka niesie,
Gniazdeczko ulepia.«

Sam teraz w pląsach przed druchną stroni,
A ona za nim poskocznie goni
I dogoniony, gdy znowu wróci,
Staje i w pląsach, tak przed nią nuci:

»Gospodarzu, nie dasz wiary,
Jak konie opłacę:
Wydałem ja twe talary,
Moje serce stracę.
Grajcie skrzypki! bo się smucę.
W opłakanym stanie,
Z konikami ja powrócę,
Serce się zostanie.«

Dłoń mu podała, a on w około
Przodkując drużbom tańczy wesoło.
A gdy do nowej piosenki stanie,
Skrzypek drzymiący zakończył granie.
Na to Halina zapłoniona cała,
Między teścine za stół uciekała;
Wiesław staroście i matkom się kłania;
Słychać w około pokątne szemrania.
Długo się Wiesław gościnnie weselił.
Już się też dzionek nad górami bielił;
Pożegnał wszystkich w zasmuconym stanie.
Wciąż mając w uszach i śpiewy i granie:

W sercu niepokój, a myśli jedynie
Krążą niewolne przy pięknej Halinie.

Kazimierz Brodziński.

Margier.

Smierć Lutasa.

Ransdorf marzył w namiocie daleki od ludzi,
Kiedy go szelest zbroi z marzenia obudzi:
Łucznik z pobojowiska wszedł pod namiot żwawo
Oblany krwią, osypan bojową kurzawą.
»Wodzu — rzecze — bojowe przynosim ci dary,
Jest to umierający bałwochwalca stary.
Przynosim go pod samy namiot Waszej Cześci!
Ależ to silny Litwin, ze sto czartów mieści,
A całą staję ziemi zawalił swem ciałem,
A takiej długiej brody nigdy nie widziałem,
A choć we krwi opłynął, choć wyziewa ducha.
Olbrzymim głosem z piersi jak z kotła wybucha.«
Tak łucznik gadatliwy o swym jeńcu gwarzy,
A Ransdorf, co go słucha, pobledniał na twarzy,
I jak zbrodniarz, którego na torturę zową,
Wychodzi przed swój namiot.
Tam z powisłą głową
I z przebitemi piersmi, skrępowany w sznury,
Leżał Lutas otulon szmatami wilczury;
Odarty ze przyłbicy i z miecza i z młota.
Poczerniałemi usty złorzeczenia miota,
Szamoce się z więzami jego ręka wściekła,
Po jego siwej brodzie płynie krew zapiekła.

Ransdorf skinął, i z ramion rycerskiego dziada
Ocięto gruby powróz, co ręce przejada;
A starzec, jakby upiór, jakby trup mogilny,
Wstał... zachwiał się na ziemi i upadł bezsilny:
Tylko całą potęgę i duszy i ciała
Skupił w dzikiej źrenicy, co krwią zakipiała;
Raz spojrzał na Ransdorfa tak dziko, tak hardo,
Że go zdeptał spojrzeniem i przeszył pogardą.
I jęknął: »W uroczystej śmiertelnej godzinie
Witaj, młody rycerzu i chrześcijaninie!
Mianowano cię wodzem... los godzien zazdrości!
Pożądanych do Litwy sprowadziłeś gości!
Witam cię i pozdrawiam przekleństwem mej ziemi,
Które Litwa wyrzecze nad kośćmi mojemi.
Zbawiłem cię od śmierci w zlitowaniu podłem, —
Więc to ja tę szarańczę na Litwę przywiodłem,
Co jej niwę pustoszy... O! gdzież moja chwała?
Gdzie krew, co w tylu bitwach chrobrze się wylała?
Przekleństwo, ej, przekleństwo pozostanie po mnie!...
Tyś zwyczajnie jak Krzyżak, działał wiarołomnie:
Tak uczy wasza wiara i wasi prorocy,
Za chleb ofiarowany, rzucić kamień z procy,
Za uścisk, płatnąć mieczem — tyś dziecko bezprawi, —
Nie winien srogi tygrys, że się we krwi pławi:
Lecz ten godzien zaginąć w piekielnej czeluści,
Kto zwierzę krwi niesyte z kagańca wypuści...
Oto krew naszych braci, płomień naszych zgliszczy
Słyszę z dala jak huczy, przelewa się, świszczy,
I gorącym potokiem leje się do łoua,
I miga przed oczami jak chusta czerwona...

Wkrótce ty sam zobaczysz, co jest zgon zbrodniarza·
Zgryzota bystrym słuchem przed śmiercią obdarza:
Ja słyszę, jak z niebiosów Perkun mnie przeklina,
Jak płacze każda matka i każda dziecina,
Jak jęczy biedna Egle uwięziona w wieży,
W którą topór kapłański w tej chwili uderzy
W zamian za twoją głowę — niechaj mnie przeklina.
I tutaj moja zbrodnia i tu moja wina.
Gdzie wtedy był mój topór, gdy truchlejąc cała,
Niegodne dziecka Litwy uczucia wyznała?
Dlaczegom jej nie zabił? jednem cięciem mojem
Obdarzyłbym i Eglę i Litwę spokojem!
Czemum ci nie dał zginąć na ofiarę piekła?
Czemu ze starych oczu łza grzeszna pociekła?...
Tak Lutas słabym głosem rozdzierając płuca,
Na wilgotnej murawie targa się i rzuca,
I ręce to wypręża, to do prośby składa:
»Młodzieńcze! jeszcze jedna zostaje ci zdrada:
Ukazać loch tajemny. — O! rycerzu krzyża!
Patrzaj: oto się Lutas do prośby poniża,
Błagam cię, wiarołomco, w imieniu mej ziemi:
Nie mów o tajnym lochu przed braćmi twojemi.
Jeżeli nie wejdziecie przez tamte bezdroże,
Jeszcze Litwa na siłach pokrzepić się może...
Szalony! co ja czynię? i co mi się marzy?
Że w pół drogi zbrodniczej zatrzymam zbrodniarzy?!
O nie! ty się nie cofniesz przed żadną ohydą!
Jak wilki do owczarni niech podkopem wnijdą,
Niech zburzą gród Margiera ..... wiarołomni...
Lecz przysiągłeś na Boga... twój Bóg się dopomni
Zemsty za pogwałcone klątwy uroczyste. –
O! przybity do krzyża chrześcijański Chryste!

Ciśnij z krzyża piorunem, poganin Cię błaga,
Niech się pomści krew Litwy i Twoja zniewaga!
Albo wróćcie mi siły i miecz dajcie w ręce,
Ja się zemszczę... do łuków! do mieczów, młodzieńce!
Brońcie wejścia do lochów! bo już wróg napada!
Powiedzcie Margierowi,... że w obozie zdrada.
Że Lutas... zdradził Litwę! ...« Tu oddech się zatnie:
Ryknął lew strasznym płaczem — ryknienie ostatnie
Rozległo się w pustyni. Choć w krzyżackim tłumie
Nikt, krom wodza, litewskiej mowy nie rozumie,
Jednak wszyscy pobledli, każdy oddech ścina:
A tylko mnich brodaty, słysząc z ust Litwina,
Że wymawia Chrystusa i ręce podnosi:
Oto — rzecze — poganin chrztu świętego prosi.
Z płaczem wyznaje grzechy, spowiada się w skrusze,
Spieszmy odebrać piekłu zatraconą duszę!
I już ze stągwią wody, z Niemna zaczerpniętej
Chciał nad czołem Lutasa odprawić chrzest święty,
Przybliża się ostrożnie i wyciąga szyję —
»Ciesz się, piekło! już stary poganin nie żyje!

Wład. Syrokomla.

W tym roku.

Pod Lipskiem.

Już nie było nadziei — zostały sztandary,
Którym żołnierz dozgonnej dochowuje wiary:
Chorągwie, orły, drzewce, poszczerbione w blizny,
Ostatnie drzazgi sławy!...
Zostało niewygasłe pod duszą wspomnienie
O Marengo, o Wagram, Hohenlinden, Jenie —

Zostały — z pieśnią dziadów przelane na wnuki —
Płowce, Grunwald, Cecora, Chocim, Wielkoluki!
Została — zapisana na ziemi i w niebie —
Ofiarna krew praojców w wiedeńskiej potrzebie.
Okopy Świętej Trójcy, Racławice, Raszyn...
Twarz Czarnieckich wyjrzała z zadymionych faszyn!
W głuchym trzasku kartaczy, w żegocie granatów
Poszum skrzydeł husaryi doleciał z za światów!
Żółkiewscy, Chodkiewicze, Karlińscy, Rejtany
Stanęli na wyżynach w hufiec nieskalany!
Został ból... pamięć sławy... hańba Targowicy!...
Książę*) gardą pałasza otarł łzę z źrenicy,
Jeszcze raz myśl bolesną zwrócił po za siebie,
Ku tej, nieodkupionej krwią, Piastów kolebie —
Jeszcze raz okiem wodza, przez mgliste opary,
Objął przygarść walczącej beznadziejnie wiary —
I — jakby chciał przysięgę złożyć w pierś żołnierza,
Że Bogu tylko odda, co Bóg mu powierza, —
Uniósłszy, srebrnym orłem spięte, shako z głowy,
Runął naprzód! ratować honor narodowy!
Cześć droższą nad zwycięstwo! Cenniejszą od tronu!
I zaczęła się walka na śmierć bez pardonu...
Żołnierz zrozumiał wodza, wódz odczuł żołnierzy —
Szeregami przebiegło, niby szept pacierzy:
»Jezus! Marya! Józef!« — I w odmęcie bitwy
Zabrzmiało, jakby echo ostatniej modlitwy!
Jakby ostatni odzew przed ludźmi i Bogiem,
Ostatni apel Polski!
Żołnierz zwarł się z wrogiem.

---

*) Ks. Józef Poniatowski.

Nie czekając komendy, bojowych sygnałów,
Skoczyły szczątki pułków w ćmę gęstych wystrzałów,
Zszczepiły się i wżarły. Nikt życia nie bronił,
Wódz, żołnierz śmierć wyzywał, śmierć niósł i śmierć [gonił,
Jedną mając — jedyną myśl i wiarę:
Zabijać!...

... Bóg rozgrzeszył, Bóg przyjął ofiarę,
I osądziwszy w niebie, za co bój się toczy,
Kazał Śmierci — sam w chmurach smutne kryjąc oczy.
Deszcz padał, działa grały, a Śmierć szła pochodem,
Jak zwierz, z knici bagnetów wypędzony głodem:
Z paszczęką dział rozwartą wybuchami prochów —
W koronie dymów, na kształt olbrzymich rosochów —
Brodząc we krwi, na strzępy szarpiąc żywe ciała,
Straszna, potężna grozą, bólem oszalała,
Licząca wszystkie jęki wśród wojennej wrzawy,
By jej łupu wraz z duszą nie wziął Anioł Sławy!
Daremnie niebo płacze...

Trup pada ordynkiem.
Ściele się szeregami, barwi pojedynkiem,
Bo gdzie zbrakło szeregów, nie stało starszyzny,
Żołnierz polski sam umiał umrzeć dla ojczyzny!
Nic to! Że wróg odrasta, jak kadłub padalczy —
Jeden na stu uderza, jeden za stu walczy,
Prze naprzód, czołga w dymach, wznosząc krwawe ręce.
Klęka, jak na cmentarzu przy Chrystusa męce
I na grób — w którym drogą chowając matulę,
Rzuca grudką święconą — szląc ostatnią kulę!

Żołnierz walczy i ginie...

. . . . . .

Bój miał się ku końcowi... Przemoc była górą!
Nawała nieprzyjaciół, jak dosięgło oko,
Zalała całą przestrzeń długo i szeroko.
Wąż*) objął cielskiem, zdusił i przygniótł ciężarem...
Żołnierz spełnił powinność: kona pod sztandarem
Z bronią w ręku, imieniem Przenajświętszej Panny
Żegnając ziemię... wodza...
Książę dwakroć ranny,
Jeszcze w bój się wyrywa, jeszcze szabli ima,
Goniąc śmierć upragnioną rozpaczy oczyma!
Spiął konia... Próżno Kicki i Bléchamp poczciwy
Zaklinają u końskiej uczepieni grzywy,
Próżno Szydłowski, własnem osłaniając ciałem,
Pada w oczach, na wylot przeszyty wystrzałem,
Próżno dzielny Umiński, zabiegając z boku,
Chwyta za cugle, prosi, błaga ze łzą w oku —
Wódz nikogo nie słyszy, nikogo nie słucha...
Chce umrzeć! śmierci pragnie całą głębią ducha!
Chce tam! samemu Bogu odkryć ranę krwawą,
Którą mu chciano złotą zabliźnić buławą!
Chce tam! Bogu powiedzieć, że wierzył jak w Boga,
Temu**)... Spojrzał na zachód —
I runął w ćmę wroga.
A już z topieli dymów środkiem widał rzecznych —
Szedł anioł Sławy, wsparty na śmierci Walecznych.
Skinął... i sto wystrzałów nad osobą księcia
Zaświeciło jak gdyby nimbem wniebowzięcia!

*) Wąż tj. szeregi wojska nieprzyjacielskiego.
**) tj. Napoleonowi.

Sto dział rozwarło paszczę tryumfalnem wyciem!
Już każdą chwilę życia trzeba płacić życiem,
Każde mgnienie okupić bohaterskim zgonem,
Już ziemia zda się wołać pogrzebowym dzwonem,
Już... śmierć!
Wódz gardzi śmiercią! Uniósł się w strzemie-
Całą duszę ma w oczach, a oczy w marzeniu: [niu,
Błysnął szablą, odrzuca złoconą buławę,
Leci, jakby objęty w pół-sen a pół-jawę,
Jakby gonił minione przeszłości obrazy!

. . . . . .

Marzy... śni... Myślą odbiega za siebie, daleko,
Leci na skrzydłach wspomnień! dumnym wzrokiem
Nagle... błysnęło z boku... [toczy!
Ból otworzył oczy!
Widzi, gdzie jest! czem żyje... Słyszy tentent koni...
Zwraca głowę... Poznaje z rozpaczą: To oni!«
Ciż sami, co tam śnieżne przebiegali pola,
A za którymi w tropy szły śmierć i niewola!
Ciż sami... tu! po niego!...
Chwyta za pierś... Boże!
Trafili!... Już oręża podźwignąć nie może!...
Już słychać krzyk złowrogi dla polskiego ucha:
— Poddaj się!«
Dalej, koniu! W imię Ojca... Ducha!
Dalej koniu!... dojrzeli wodza-bohatera!
Dalej koniu!... już rumak resztę tchu wypiera!
Dalej koniu!... już fala spiętrzona kolebie!
Dalej koniu!... już książę utkwił oczy w niebie!
Dalej! dalej!... już rzeka roztwiera strumienie!...
Dalej! już tylko chwila! tylko jedno mgnienie!

Skok jeden!...
I wódz stanął na wieczności progu,
Oddając honor Polski do niewoli — Bogu!
. . . . . .
. . . . . .
Na ziemi dzień gasł zwolna w mrokach u zachodu,
I zaczęła się szara godzina narodu.

Kazimierz Laskowski.

Pan Balcer w Brazylii.

List Jana Grudy do rodziców.

... Piszę ja do was, Rodziciele moi,
Z struchlałem sercem, z mokremi oczyma,
A między nami morze wielkie stoi,
Nie daje do was i przez moc mnie trzyma,
Iż srogie puszcze są i góry straszą
Między mną tutaj, a hań, chatą waszą.

...Więc tylko oczy podnoszę nad szczyty,
Ranie i wieczór patrzący w tę stronę,
Gdzie jest kłosami nasz zagon nakryty,
Gdzie łąki nasze o rosie koszone...
I radbym ptakiem przelecieć tę drogę,
I wiatrem radbym przez nią — a nie mogę.

I tak mi w oczach stoi tu, jak żywa,
Ta nasza strzecha snopami poszyta,
I kalenica wysoka, a krzywa,
I dusza o niej zamyśla i pyta...
Ale jej słówka nikt stamtąd nie poda,
Taki świat ziemi je, i taka woda.

I widzę prawie chruściane te płoty,
Studnię, żurawia widzę, cembrowinę...
I rady sobie nie wiem od żoroty,
I od tęskności — o kęs, że nie ginę..
Przez góry czuję, i przez wielkie morze,
Jak mięta pachnie tam i drzewko boże...

. . . . . .

...Chorość mnie tutaj przygniotła, jak brzemię,
Iż dobrej w sobie za grosz nie mam siły.
I prędko pewnie przyjdzie mi iść w ziemię,
Na oceańskie dno i bez mogiły.
Bo tu moc ludu ginie z tej choroby,
Których rzucają w morze, a nie w groby.

...Tak z onych bogactw wielkich, z majętności,
Obiecywanych przez cudze te kraje,
Dla moich, w ogniu trzęsących się kości,
Trzech łokci piasku siwego nie staje,
Co u nas żebrak ma... I nie porośnie
Brzoza nademną baśkami o wiośnie.

...Więcbym tu wpisał te smutki, te żale,
I tę śmierć czarną, co na mnie już kracze.
I tę gorącość, co w piersiach mam, ale
Szkoda mi oto matusi, że płacze,
Łzami sypiąca na papier ten biały,
Co go jej morza dalekie oddały.

...Bogdajżeś pierwej stradała mnie płodem,
Matko, niż na świat, na dolę tę padłem...
Bom jest chorobą ściśniony i głodem,
I jak zwierz węszę po ziemi za jadłem.

Jak ptak bez gniazda skrzydłami tu biję.
I nocą zrywam się i — jak pies — wyję!

. . . . . .

...Prosiłbym ja was, byście mi za morze
Odkazowali, jaka była zima?
Czy tatuś pod siew nowiznę już orze?
I czy tam wiosna już, czyli mróz trzyma?
Ale że dusza we mnie nie doczeka,
Niż pismo przyjdzie z takiego daleka.

...Oj, leciałbych ja, by goląb ten siwy,
Albo żuraw kruczący o wschodzie...
Bo mi się zdaje, że znów byłbym żywy
Po naszym chlebie i po naszej wodzie,
Ale że srodze struchlałe mam kości
Od wielkich żarów tych i od żałości...

...Więc trudne rzeczy są i podaremne,
Bym się stąd dostać przemógł za żywota.
Ale jak pomrę, to przez bory ciemne.
Przez morze pójdę, co się wichrem miota.
Pójdę i trafię pod chaty okienko...
Tak mi dopomóż Bóg i święta Męko!

. . . . . .

...A teraz żegnam i kłaniam się pięknie,
Ojcze i Matko, do samych wam kolan:
A jak tam nocą w kominie wiatr jęknie
I z niedogasłych skry rzucą się polan,
Albo jak dźwierze kto nocą zarusza,
To będę, matuś, ja i moja dusza.

...Żegnam już wszystkie życzliwe sąsiady,
I całą naszą chudobę, i pole,
Żegnam i grusze na miedzy, i sady,
I żytnie brogi, i zasiek w stodole,
I całą wioskę od płota do płota,
I kosę moją żegnam już i wrota.

...Teraz mi dajcie bić z wieży we dzwony,
Od wschodu słońca do zachodu słońca.
I niechaj będzie Chrystus pochwalony!
I ostaj z Bogiem, moja kochająca
Matuchno droga! I ty, Ojcze miły!
I kłaniam wam się od mojej mogiły.

Marya Konopnicka.

Ziemio ty nasza!

Ziemio ty nasza! Cóż nam się ostało,
Jeno ty sama i twe miłowanie!
Choćbym cię ojcem nazwał, — jeszcze mało...
I choćby matką, jeszcze mi nie stanie.
Boś ty jest wszystko! I dusza i ciało,
I ród, i życie, — wszystko w twojem mianie.
Że kto przerzecze cię, jakoby siebie
Zbogacił skarbem na ziemi i w niebie.

Gdyś jest, a co mi? Powietrze mnie samo
Nosi, by ptaka nad gniazdem usłanem.
Jak król słoneczną odziewam się lamą,
W polu, na łące, w kuźni — jestem panem!
Lecz gdy cię braknie, kiedy czarną bramą
Wyszedłem z ciebie, staję się łachmanem

Poniewieranym wśród ludzkiego roja,
Że pyta lada kiep: — Gdzie ziemia twoja?

I w bok cię zeprze, i gęby napuszy,
Iż sam się czuje, jak w domu u matki.
A ty się wtedy dzierż twardo swej duszy,
I serca w sobie podpalaj ostatki.
A choć ci oko łza żrąca zaprószy,
Nie dbaj, łba podnieś, bo też cię do szmatki
Ni kto nie zwiąże! Zdzierż górnie psubrata,
Rzekąc: — A gdzieżby? W samym środku świata!

Chcesz? mierzaj! Nie chcesz? Wolna przed się droga!
Gdzieżeś ją mniemał być? Kędyś na stronie?
Na szarym końcu? Za piecem? U proga?
My z pod ogona nie wypadli wronie!
My, Polska, zawsze stalim bliżej Boga,
W borowych szumach, w pól żytnich pokłonie,
A wy, — za nami dopiż — ziemie obce,
Jako do dzisiaj jest widać to w szopce.

Na trzykrólowy czas! Przy żłóbku Pana
Nie ujrzysz Niemca tam, ani Francuza,
Jeno Macieja, Kubę, Stacha, Jana,
Abo Balcera w czerwieni, jak tuza!
Któż ochfiarował Dzieciątku barana?
Kto na ligawce grał mu, jak nie luza
Nasza pastusza, co w pieśni i wszędzie
Pierwsza je, o czem więc stoi w kolędzie.

Może tam i wy macie przywileje
Swoje, i swoje obrachunki z niebem.
Alić to powiem, że do nas się śmieje
Chrystus, gdy idzie polem, albo żlebem

Górskim, abo więc przez borowe knieje,
Bo mu tam wszystko pachnie kwieciem, chlebem,
Miodem, żywicą, i wszystko mu miłe:
Lud, sady, łąki, i chaty pochyłe.

Prawda jest, sypnął złota na te kraje,
I morze rozlał od nieba do ziemi.
Alić uśmiechu jego tu nie staje,
Nie chodzi on tu nocami cichemi...
Jako pan sługom — płaci wam. Nam — daje,
Jak ociec dzieciom, rękoma własnemi.
Pomniej-ci, prawda, ale że z miłości,
Nie z łaski, to wam Polak nie zazdrości.

Wy kraje swoje macie, jak kopalnie.
Dopóki jasna swieci wam z nich ruda,
Póty się sami dmiecie tryumfalnie,
Jak nie, — obcego napędzacie luda...
My do ziem naszych bierzemy się mszalnie,
Krzyżem znaczona jest wiosenna gruda,
A zaś wychodzi z pod tej chłopskiej ręki,
Przypodniesiona, jak kielich ów męki.

Wtedy się staje cichość nad polami,
Co są obsiane i ziarnem i duchem...
Oboje żreją. Oboje runiami
Nadziei wscholzą, za ciepłym podmuchem.
Ziem nasza czuje! Ziem nasza jest z nami,
Czyli we kwieciach, czyli pod obuchem.
A kiedyś, człeku, we łzach się położył
Na własny zagon, już duch w tobie ożył.

A my by pewno tutaj, — Podlasiaki, —
Nie szli korabiem, przez to wielkie morze,

Pewno nie padliby tu jak te ptaki,
Odlatujące w zachodnich łun zorze,
Pewno chleb suchy jadłby jaki taki,
Na szczerym piachu, na dzikim ugorze,
By nad swą ziemią ubogą i polną,
Mogli zachować w ciele duszę wolną!

W nas tej chytrości, co wytęża ślepie
Za zyskiem, — niemasz! W nas jest rzewność cicha,
Co nawet w grubym i twardym czerepie
Żywie, jak płomię, i w niebo oddycha.
Anielskie pióra są u nas w polepie
Chaty, co choćby nie wiedzieć jak licha,
Coś ma górnego w sobie, coś z zaświata,
Coś co w niej śpiewa, jarzy się, ulata!

... Więc to na dziwo było ludom onym
Postronnym, które bacząc naszej nędzy,
Tym naszym grzbietom u taczek schylonym,
Mniemały, iż to czynim dla pieniędzy.
A my tym ogniem paleni czerwonym,
Tchem własnym gnali czas! A prędzej! prędzej!
A pieniądz dla nas co? Jeno to wiosło,
Coby nas do dom przez morze poniosło.

Cóż wie Portugał o tem, czy Hiszpany?
Byle na głowie miał myckę z kutasem,
Na mycce wielki kapeluch słomiany,
Na hajdawerach pas, a nóż za pasem,
Byle przez zęby pluł i ćmił kabany,
A pokrzdękiwał na gitarze czasem,
Już zdrów, już wesół, i ani się pyta:
Gdzie mu zachodzi słońce i skąd świta.

Jako więc oracz, kiedy na uwrocie
Zagrzęzi pługa, a pojrzy po niwie,
I oną czarną ziem już widzi w złocie
Pszenicznych kłosów, szumiących chrzęstliwie,
Tak my, w trojakim prażący się pocie,
Już oglądali, jak Polska tam żywie,
Jako nas woła, jak pilno nas czeka,
I jak nam do niej trza, — z tego daleka.

Marya Konopnicka.

W kościele.

Inaksza znowu moda jest w niedzielę.
Place zalega murzyństwo pstrym tłumem,
A kiedy dzwony uderzą w kościele,
Pcha się to ławą z hałasem i z szumem,
Jak stado czarnych baranów w kierdele,
Z daleka cuchnąc kozim potem, rumem;
Co drugi, trzeci — z psem, a w rękach laski,
I tak zawalą nawę po bałaski.

Dopieroż taki elegant se siędzie
Na kiju, fontaź czerwony, sam bosy,
I tak na strony wykręca się wszędzie,
Za uchem zaś mu sterczą papierosy.
Już ci lusterko z kieszeni dobędzie,
Plunie w garść, już ci przymusknie se włosy,
Zagwiżdże na psa i patrzy po gółkach,
A pies tymczasem węszy po ampułkach.

Wtem ksiądz z ambony huknie: — »A hultaje!
A drapichrusty jedne!« — Tu zamacha

Pięścią — »To takie wasze obyczaje?
To msza i kościół, i Bóg u was fracha?
Na Polskę patrzcie, co wam przykład daje!
Polska! Polacy! Wywodzą się z Lacha,
Czyli tam Lecha. To, panie, nie drwinki!
A słyszcie, jak to śpiewają godzinki.

Polska! Polacy! A wiecie, barany,
Co to jest?... Dalej, złazić mi z tych lasek!...
To jest najmilszy kraj, Bogu wybrany.
Niż tutaj srebro, tam więcej wart piasek.
— Złazicie, czy nie? Lby ośle! Bałwany!
Czekacie, aż was przemierzy ten pasek? —
— Polska!... By nie śnieg, co drogi zagrodził,
Chrystus Pan byłby w Polsce się narodził!

Ale to nic jest! Wszak stoi w kolędzie,
Że Polska w światłach betleemskich stanie
Nad narodami. Że z niej to się wszędzie
Rozniesie, ono wiosenne śpiewanie
Wolności świata. Że wyjdzie orędzie
I nowy zakon narodom się stanie,
Przez moc, co nie jest francuska, ni włoska,
Ani angielska, ale jest moc boska!

Na klęczki, durnie! Bo o czem tu mowa,
Tego na klęczkach słuchać wam, hołota!
Polska... Polnego narodu królowa,
Cała przetkana w kwiatuszki ze złota,
Cała w łez srebrze, cała rubinowa
Od krwi ofiarnej, co tam jest za wota...

Boże! Po co ja gadam? Po co płaczę?
O Polsko, Polsko, kiedyż cię obaczę! ...

Buchnął z ambony szloch, opadła głowa
Na pierś, ksiądz klęknął jak przed sakramentem.
Co obaczywszy, gromada też owa
Runęła o ziem, z okrutnym lamentem.
Tak co niedziela grzmiała polska mowa.
Której nikt nie znał tu w tem miejscu świętem,
Krom nas, a one poczciwe kudłacze
Aże ryczały płacząc, że ksiądz płacze.

Marya Konopnicka.

Pieśń o domu naszym.

Wszystko człowiek zdobyć musi.

Synu gazdów i oraczy!
Czy wiesz co się tobie znaczy?
Czem to trzeba dom ozdobić?
Co świat daje, — czem Bóg raczy?
Ha! na wszystko trza zarobić,
O co serce się pokusi —
Wszystko człowiek zdobyć musi!...
Zdobyć! zdobyć! — owo sprawa!
Bo nic darmo się nie dawa.
Co Bóg daje, lub co Boże,
To jest tylko ci zwierzone:
Co świat daje, lub dać może,
To wieczyście zaprzeczone....
I świat trzyma — i Bóg trzyma —
Więc bądź czuły na rozdroże:

Bo wyboru tutaj niema,
I w zakonie lub na sforze,
Będziesz musiał chodzić, karnie —
I przejść zacnie — albo marnie!
Są i skarby, co się bierze,
Których łaska Pańska strzeże:
Są i takie, co je niosą
Niby kwiaty jeszcze z rosą:
Co je sypie świat obficie,
I przystraja nimi życie,
I zatruwa nimi dusze,
I wydaje na katusze,
Po zużyciu i przesycie....
Więc znać trzeba, co to warte
I na jaką pisać kartę?
Co świat daje, mało warte
I jak stary pieniądz starte:
Skarb nie chowa się pod wichę —
Co ci obcy daje — liche!
Choćby złocił i cukrował!
Co sam niesie, mało warte —
A to tylko bywa dobre,
Dzielne duchem, sercem chrobre,
Co przed tobą dobrze schował,
Co od niego jest zdobyte,
Co mu gwałtem jest wydarte
Duchem — pracą — krwią obmyte!
Synu gazdów i oraczy!
Twardy żywot ci się znaczy:
Zdobyć! zdobyć! owo sprawa!
Bo nic darmo się nie dawa —

I jedynie to posiędziesz,
Co na siłę sam zdobędziesz!
Trzeba zdobyć: pracę — zdrowie —
Siłę — męstwo — ducha — wprawę —
Miarę w oku — miarę w mowie —
I już z młodu dobrą sławę.
Trzeba zdobyć: rozum — wiedzę —
Zdobyć statek — zdobyć wolę —
Trzeba zdobyć dom i miedzę —
I zasługi własnej pole.
Trzeba zdobyć serce wierne —
Wiernych sprawie towarzyszy —
Zdobyć szczytne — zdobyć mierne —
Wiarą — pracą — w łasce — w ciszy. —
Sam za siebie oracz orze,
Nikt ci w pracy nie pomoże:
Sam utargać musisz wołu —
I dostatek twego stołu
Znieść i z blizka i z daleka —
Utrzeć konia i człowieka —
Utrzeć własną duszę hardą —
Utrzeć wolę pracą twardą. —
Zdobądź pracę, miły bracie!
To od grzechu wielka tarcza
I na żywot jej wystarcza....
Ona tylko świat weseli,
I nią sławne córy — syny,
Gdy po mieczu idą czyny,
Poświęcenia po kądzieli.

Wincenty Pol.

Pieśń o ziemi naszej.

Nasz lud.

Od gór aż po morza,
Legła ziemia sławna z zboża,
Z serca, z męstwa, z gościnności,
Wielka wiarą i kochaniem
I przy wierze wiernem staniem,
Wielka krzywdą i cierpieniem,
Święta krwi tej poświęceniem,
W której siedli duchem prości.
Bóg choć dojmie, błogosławi,
I dał szczodrą ręką z nieba
Narodowi, co mu trzeba,
Jako ojciec Staszic prawi:
»Dał mu chleba i stal twardą,
Złota, srebra jedno w miarę!«
Serce czułe, duszę hardą,
Miękką wolę, silną wiarę,
Kraj otwarty, miłość kraju,
Ciężką pracę, ramię silne,
Mądrość złożył w obyczaju,
I dał czucie nieomylne.
To też ludzie tam najszczersi!
Tam to polski świat ochoczy:
Serce chłopcom ledwo z piersi,
A krew z lica nie wyskoczy.
Tam to dziewcząt śliczne oczy!
Do taneczka, tylko śpiewki!
Stare baby wygadane:
A wesołe i rumiane
U matusi rosną dziewki.

Kędy wzgórek, to i dworek.
Kędy wioska, tam i woda,
Kowal pijak i gospoda;
A nad wioską i nad borem,
Nad sadami i nad dworem,
Jasną blachą pobijany
Świeci kościół murowany.
Stare drzewa wieży bronią,
I na »Anioł Pański« dzwonią;
A gołębie krążą stadem
Nad plebanią i nad sadem...
Dwór pod lipą stoi biały,
Pod piastowym dębem chata,
Nad nią bocian gniazdo splata,
A w niej żyje lud zuchwały.
Póki zgodnie, póty zgodnie,
To i miło i swobodnie!
Lecz gdy obcy w bójkę wda się,
Gdzie rzempolą raźno grajki,
Nie policzy kółek w pasie,
Gdy go wezmą na kiłajki!
Tam nie żarty, bójka sroga!
Pod razami trzeszczą kości,
A kosterę wiedzie droga
Suchym lasem do wieczności!
Bo to lud, co krew ma w żyłach,
A krew pono nie jest lodem!
Lud to z Pana Boga rodem,
To też czuje się na siłach.
Więc do czego się sposobi,
To nie idzie mu już zmudnie.

I co robi, to już robi
Z całej duszy, nie obludnie!
Gdy pracuje — to już szczerze,
Kiedy sądzi — to z powagą,
Gdy się modli — w dobrej wierze,
A gdy mówi — to rzecz nagą,
Kiedy kocha — to serdecznie!
Lecz nie bardzo tam bezpiecznie,
Gdzie na wroga godzi składnie:
Bo się bije rad gromadnie —
I co pocznie za gromadą,
I za wspólną ludzką radą,
To też idzie mu i składnie.
Więc czy w drodze, czy to w rynkach,
Czy na polu, czy w kościele,
Na dograbkach, na dożynkach,
Wszędzie razem ludu wiele.
Przy zabawie, czy przy pracy,
Wszędzie razem, pieśnią, mową,
Wszędzie jedni i jednacy,
Czy do pitki, czy do bitki,
Czy do szklanki, czy do tanki,
Czy to przyjdzie do piosenki,
Czy dołożyć przyjdzie ręki,
Czy nałożyć przyjdzie głową!
A przy szklance, pogadance,
Jeśli wspomnisz mu o żonie,
O domowym jego progu,
I ojczystym tym zagonie,
I o dziatwie i o Bogu:
Toś mu zabrał duszę całą!

To i we łzach się rozpłynie,
I przebaczy lub pominie
Krzywdę wielką, jak rzecz małą.
Choć to swoje, człek się kusi
I pochwalić, co się godzi:
Nie zła ziemia to być musi,
Kiedy takie ludzie rodzi.

Wincenty Pol.

W polskim domu.

Wielkie domy za granicą,
A w nich ciasno, choć nie ludno.
U nas mury się nie świecą,
A o kącik nie tak trudno.
Ledwo człekby czasem wierzył:
Dom niewielki — wtem gość wchodzi,
Ot i domek się rozszerzył,
I wnet miejsce gdzieś się rodzi.
Przybył drugi i dziesiąty,
I nie ciasno jest nikomu:
Wyprzątnięto wszystkie kąty,
Coraz szerzej w małym domu.
Zda się, że pan domu sobie
Ścian i miejsca gdzieś przysporzył.
A on tylko w domu tobie
Drzwi i serce swe otworzył.
I ta strzecha, choć uboga,
Chociaż nizka, przecież blizka
Dla obcego i dla swego,

I od Boga aż do wroga
Jest tu miejsce dla każdego.
A dopieroż to przyjęcie,
Jakie bywa w polskim domu!
Jak tam każdy poczczon święcie!
Jak nie braknie nic nikomu!
W dzień wesoło, w noc rzęsisto.
Biało, gładko, potoczysto.
Czeladź syta i okryta.
Wszystko w czasie urządzone.
Przymaszczone, osłodzone,
Indyk kruchy, kapłon tłusty.
A do tego dzban nie pusty.
Jest czem serce rozweselić.
Jest się wszystkim czem obdzielić
Lecz gdy rzucisz stoły hojne
I pominiesz dworską bramę.
Ściany, jakby nie te same.
Znowu ciche i spokojne...
Przed świętymi lampa płonie,
Na kominku ogień strzela.
A tem światłem czasem spłonie
Ponad łożem karabela...
Gdy zawcześnie do spoczynku.
A Bóg nie dał w dom sąsiada.
Osiwiała para siada
Do marvasza przy kominku:
I jegomość kartę łaje.
A z czterdziestu jejmość zdaje....
Wszystko cicho — nic nie szaśnie,
Czasem tylko warta wrzaśnie.

Albo kotki załopocą.
Lub panienki zachichocą...

Bo i cóż to tam za żywość
Młodych Polek i uroda:
Tam wstyd szczery, tam poczciwość,
Tam po Bogu dusza młoda!

Boć to w cnocie i w szczerocie
W wiejskim domku uchowane,
Wypieszczone, umuskane:
Niby dumne i dostojne,
A potulne jak trusiątka!
Niby dworne, a pokorne,
Jakieś takie bogobojne,
Jakby jakie niebożątka!

Myśl ich cicho w życiu świeci,
Pełne życia, jak nadzieje;
Lubią pieśni, tańce, dzieci,
Wiosnę, kwiaty, stare dzieje....

Gdy wesołe, istne trzpiotki
I wiewiórki i szczebiotki!
Lecz gdy w smutku myśl zagrzebie,
Wówczas Polka taka rzewna,
Iż uwierzysz, że jej krewna
Najsmutniejsza z gwiazd na niebie!

Choć człek duszy jej nie zbadał,
Wkoło serca tak tam prawo,
Tak rozkosznie i tak łzawo,
Jakbyś grzechy wyspowiadał.

A gdy uśmiech łzę pokryje,
I dla ciebie serce bije.

To cię dojmie tak do żywa,
Iż to cudne, cudne dziwa,
Że się serce nie rozpłynie,
Że od szczęścia człek nie zginie!
Zda się, że to żyjesz społem
Z rajskiem dzieckiem, czy z aniołem.
Lecz to szczęście nie tak tanie,
Przeboleje dusza młoda:
Jednak lat i łez nie szkoda,
Boć raz w życiu to kochanie.
A jak ci się która poda
Z całej duszy i statecznie,
To już twoją będzie wiecznie,
I w ład pójdzie ci z nią życie,
Bo twej duszy nie wyzięb:
Ona sercem pojmie skrycie,
Co myśl wieku dźwiga w głębi;
Co się w czasie zrywa, waży,
To w rumieńcu na jej twarzy,
Jak w zwierciadle się odbije;
Bo w tem łonie przyszłość żyje.

A czy chcecie wiedzieć, jaka?

Świetna, świetna, jak myśl ona,
Którą natchnie Bóg i bitwa!
Czysta, święta jak modlitwa
Przed skonaniem odmówiona;
A potężna, jak lud kmiecy,
Co ją dźwignie swemi plecy!

Wincenty Pol.

Bitwa racławicka.

Niewidomy przewodnik.

Zaparskały wszystkie konie,
Zabrzękły pałasze:
Maszeruje opłotkami
Polskie wojsko nasze.
Maszeruje, nie żartuje,
Kraj jak malowany.
Idą nasi w trąbki grają,
Biją w tarabany.
Opłotkami, szeregami,
Konnica, piechota,
Małe dzieci zadziwione
Patrzały z za płota:
Powłaziły na gałęzie,
W te zielone gąszcze,
I na wierzbach, na topolach,
Siedziały jak chrząszcze.
Tyle naszych idzie, jedzie,
Jak gościniec długi:
Lecz Kościuszki nie poznali,
Bo był jak i drugi.
A ci ludzie, co poznali,
To mówili sobie:
Że też taka wielka dusza,
W tak małej osobie.

Kołem, kołem, po nad siołem
Krąży sokół siwy:
Pochował się przed sokołem
Wszelki ptaszek żywy.

Wyciągnięty, jak rozpięty,
To skrzydłami wzruszy...
Popatrzał się nasz Kościuszko,
Niema żywej duszy.
— »Chociaż nie ma żywej duszy,
Ani żadnej trwogi,
Sprowadźcież mi przewodnika,
Co zna wszelkie drogi;
Trza mi człeka nie z daleka,
A z tej samej wioski,
By prowadził a nie zdradził
Ten naród krakowski.« —

Więc się skłonił przed Kościuszką
Wójt, gospodarz setny,
Z pod kościoła sprowadzony
Staruszek stuletny.
Ten, choć oczy dawno stradał
W okrutnym pożarze,
Gdzie co leży, jak należy,
Dokładnie pokaże.
Krzywym wężem się podpiera,
Ręką na wiatr maca,
I przez ścieżki nieznajome
Drogę sobie skraca.
— »Już ja dawno słyszał o tem.
Rzekł, ściągnąwszy ręką,
Żeście, ojcze, pokarali
Moskwę pod Dubienką.
A pierw jeszcze powiadali,
Jak to po zwyczaju,

Żeście kędyś wojowali
Aż w murzyńskim kraju;
Że wam pereł uryańskich
W podarunku dano,
Jakby grochu łuszczonego
Węborek w kolano.
I że za te perły drogie,
W morzu wyzbierane,
Przyjechaliście wykupić
Ojczyznę kochaną.« —

A Kościuszko z wdzięcznym śmiechem:
— »Serdeczny ojczulu,
Gdybyć można garścią pereł
Ująć Polsce bólu«...
— »Prawdać, prawda Naczelniku,
Na mój rozum kmiecy,
Kto chce na chleb zapracować,
Musi zgarbić plecy.
Niechżeć tedy Bóg pomaga
I Matka Gidelska,
W polskiej roli wyorana
Królowa Anielska.
Niechżeć tedy«... — I przycichnął
Starzec siwowłosy,
Wbił kolana w grządką ziemię.
Ręce wzniósł w niebiosy;
I na oczy pociemniałe,
Co nie widzą słońca,
Na te smutne oczy białe,
Wyszła łza gorąca...

I przygarniał pożółkłemi
Dłońmi wietrzyk polny
I brzęk szabli narodowej
I głos pieśni wolnej...
Madaliński i Kościuszko,
Piechota, hułani,
Stali na wpół rozrzewnieni,
Na wpół zadumani.
— »A cóż mówisz, Jenerale?
Wszak to szlachcic prawy!« —
I potoczył po narodzie
Wzrok serdecznie łzawy.
Matko Boża, Pani świata,
Ojcze Zbawicielu!
A serce w nim zakołata,
Jako dzwon Wawelu.
Co przepadło, to przepadło,
Co żywe, to żywe,
Nie nadobne co nadobne,
Lecz co sprawiedliwe.

— »Dziadku, dziadku, wstańcie z ziemi!«
Lecz starzec nie wstaje,
Tylko ręką na powietrze
Nieme znaki daje.
— »Idźcie, idźcie prostą drogą,
Idzie z wami taki,
Co po borach, po bajorach
Prowadzi Polaki.
Wie on wszystkie w świecie drogi,
Gdzie proste, gdzie kręte,

Już tam pewny człek ubogi,
Gdzie postawi piętę.
Niby idzie nie idący,
Ziemi nie dotyka...
A mnie dajcie ucałować
Ręce Naczelnika ...

Więc na rozkaz Naczelnika
Z wschodu do zachodu,
Przed starym się pokłoniły
Chorągwie narodu.
A gdy krasne te jedwabie
Wietrzyk zakoleba,
Prawili se gospodarze:
— »Widzisz, to tak trzeba!
Wracaj dziadku do pacierza
Gołąbeczku siwy,
Zalatuje wiosna świeża
Ode kmiecej niwy.« —

Więc dziaduszek, jakby przejrzał
Jakby Boskim cudem,
Zwrócił się za Naczelnikiem,
Za krakowskim ludem...
»Idźcie, idźcie polskie dzieci,
Ty poczciwy ludku,
A gdy dobra wieść doleci,
Zamrę pocichutku.
Bom do biedy przyuczony,
A nie do radości...
Gdzieś dalekie słychać dzwony,
Drżą we starym kości«...

I odwiedli na bok dziada,
Dziatwa na koń siada:
Mgła w dolinach się rozrzedza,
Opada, opada.
A z pode mgły rozpędzonej,
Jakby skrzydłem ptaszem,
Kraj szeroko się wynurza
Siwem polem naszem:
Krzemienisty, kamienisty,
Pełen traw i wzgórzy;
Przecinany, poszarpany,
Jak po wielkiej burzy.
A gdzieniegdzie w ciszy złotej,
Której nic nie budzi,
Stoją brzozy, jak sieroty
Po odejściu ludzi.
Mgła opada po nizinach,
Leci za kraj świata,
Anioł Boży z dolin, wzgórzy,
Siwe mgły rozmiata.

Teofil Lenartowicz.

Loterya.

(W skróceniu.)

.. Spojrzał na zgasłe dawno w kominie zarzewie,
Na biały śnieg za oknem i otrząsł się w gniewie:
Potem koło warsztatu błędnem okiem zmierzył,
I przeniósł wzrok na bladą na łóżku kobietę,
Na dziecko, ciałem matki od zimna okryte,
I ku drzwiom się posunął z uśmiechem na licu.

. . . . . .

Uderzył w klamkę, hardo patrząc dokoła,
I stanął niecierpliwy: z izby ktoś go woła:
— Odchodzisz?!
— Zaraz wrócę... puść mnie... wiem
co trzeba...
— Nie dla mnie... lecz dla dziecka chleba!...
— Pójdę poszukać...
— Kłamiesz... głos się tobie mieni...
— Puść mnie!... Przyniosę...
— Idziesz? Jesteśmy zgubieni...
Ty znowu do kantoru!...
— Raz ostatni... żono!...
Kobieta się podniosła z twarzą rozżarzoną
Płomieniami gorączki i świętego gniewu;
Już dawno żal w niej szukał na chwilę wylewu,
Teraz ta burza cierpień w jej duszy gotowa.
Takie z piersi dyszących wydarła jej słowa:
— Nieszczęsny!... Raz ostatni!... Ileż takich było!...
Rzuciłeś pracę sytą i spokojność miłą,
Rzuciłeś dobrą sławę i domową zgodę,
Rzuciłeś chleb powszedni, swoją sól i wodę,
Rzuciłeś wszystkie skarby nasze po kolei,
Wreszcie i życie swoje... w otchłań swych nadziei!
Przeklęty dzień, gdyś zaczął!... Szatan twoją rękę
Pochwycił i w piekielną popadłeś paszczękę!
Wszystko poszło... Za długom już cierpliwa była.
Dzisiaj... słuchaj... jeśli ci dusza twoja miła,
Nie daj skonać dziecięciu!... Bo jeżeli skona,
Z grobu przyjdę rachunku żądać zrozpaczona,
I w godzinę skonania — już w anielskiej bieli —
Stanę z dzieckiem zabitem u twojej pościeli!...

Tu padła i złowieszczym kaszlem się zaniosła.
On milczał. Dzika wściekłość w sercu jego rosła.
Wreszcie szepnął ponuro:
— Cóż poczne? gdzie ruszę?
Nie mam grosza...
Kobieta podniosła wezgłowie,
I z węzełka wyjęła jakieś grosze wdowie:
— Masz — rzekła — daję tobie w rękę dziecka duszę!...

* * *

Późną nocą ktoś pod drzwi skrada się lepianki.
Popróbował... pchnął mocniej — a ciężko oddychał,
I lękliwie szedł, jakby z północnej hulanki...
Wszedł i sprzęty ostrożnie rękami odpychał...
Księżyc świecił. Jak we dnie było w izbie biało,
Człowiek przystąpił, w łóżko patrząc niesmiało,
Schylił się... drgnął... znów stanął i nachylił ucho...
Odskoczył i wraz całem skoczył naprzód ciałem...
— Żono — zawołał z krzykiem — przebacz mi... przegrałem!...
I słuchał... Cisza była głęboka ni słowa...
Tylko z dworu jęczała wietrzna noc zimowa...
Zatrząsł się i pieszczenie szepnął:
— Chcesz mnie skarać?
Słusznie, lecz przebacz... odtąd już się będę starać...
Wrócę do pracy... szał mój rzucę!... Czar już pęknął...
Chleba nie mam... lecz jutro... Przemów!...
Nagle jęknął
Głosem straszniejszym, niźli ludzka na to mowa;
Prawdy jasność zalśniła przed nim piorunowa,

I wszystko razem zgasło. A pod owym cieniem.
Oczy jego obłędu zabłysły płomieniem,
Rzucił się, porwał żonę ramieniem zuchwałem,
I trzęsąc nią, zaryczał ze łkaniem: — Przegrałem!...
I znowu schwycił dziecię i straszniej zakrzyczał:
— Przegrałem....
Odjął ręce, i dwa ciała boże
Bez szelestu się sztywnie zsunęły na łoże...
Postał chwilkę — a potem wzrok mu bólem zdziczał,
Przeszedł smugę miesięczną ze spokojnym szałem
I wyszedł, powtarzając chrapliwie: — Przegrałem!...

* * *

Często w ciemną noc słyszą mieszkańce strwożeni,
Jak po ulic samotnej echowej przestrzeni,
Między domów murami rozbija się dziki,
Niby śpiew... niby skarga — straszniejsza nad krzyki,
Monotonny, w natury uciszeniu całem,
Bezsenny głos szaleńca:
— Przegrałem... Przegrałem!...

Władysław Orden.

Sonety wojenne.

Natarcie konnicy na konnicę.

Znak do natarcia dany — wtem dwa ciała żywe
Jak dwie chmury, nim grzmot z nich śmiertelny wy-[strzeli.
Wolno się posuwają na wietrznej topieli:
Coraz bliżej nadchodzą, krwi i mordów chciwe.

I znak drugi uderza — i koń wstrząsnął grzywę
I parsknął — okiem strzelił — i żywiej i śmielej
Kopytem dziarskiem ziemię pod nogami dzieli,
Jakby wiedział, że niesie wyroki szczęśliwe.

Marsz, marsz! trzeci raz słychać — patrz — na skrzydłach fali
Nie tak ku niebu morze miota się z otchłani,
Jak jeździec, jak koń pędzi — ziemia się tumani. —

Krzyk okropny — szczęk broni — znani i nieznani
Mieszają się — kto wygrał? — Nie rozpoznać w dali.
Tamci pierzchli — z trupami zwycięzcy zostali.

Stefan Garczyński.

Posterunek na stracenie.

»Wy idźcie! — Ja z wyborem zostanę młodzieży.
Duszą naszą i ciałem będziecie zakryci:
Na znak ogień rozłożym i zapalim wici —
Teraz idźcie, niech bęben do marszu uderzy.

Jeśli jutro z nas który do was nie przybieży,
Dajcie na mszę, niech kapłan ołtarze wyświeci
I za tych modły wzniesie, co w polu zabici!«
Zamilkł — poszli — i ogień błysnął jaśniej — szerzej.

Długo błyskał — żołnierze maszerują drogą —
Znikł — łunę tylko widać w chmurze malowaną —
Może i oni w niebo przyjęci zostaną!

Świta — jeżeli żyją — wnet powrócić mogą —
Przeszedł dzień — przeszło jutro — nowe błysło rano!
Na mszę dajcie! — Zabici — nie widać nikogo!

Stefan Garczyński.

Ostatni kanonier.

Konie wszystkie poległy — żołnierze wybici —
Dowódzca tylko jeden z dwoma pozostały,
Oszańcowany w trupy jak w zastępne wały,
Z dwóch armat ciągle bije, i dymi, i świeci.

Lecz napróżno — krwi, mordów wrogowie niesyci
Bateryami na zastęp uderzają mały;
Wkrótce się wróg zwycięstwem zupełnem poszczyci —
Wody niema — spiż w ogniu — kurzą się zapały.

Więc strzelać zaprzestano — śród kul, w siarki dymie,
Trzech z lontami jak duchy migają się zdala;
Nieszczęście! — kula znowu jednego obala!

Co za krzyk? — Skąd ten wystrzał? — czyjeś słychać imię —
Imię wołając brata. spiż moczy w krwi bratniej
I znowu dym — i świeci kanonier ostatni.

Stefan Garczyński.

Przeczucie śmierci.

Już ognie rozłożyli szerokie dokoła,
Kręcą się koło strawy żołnierze strudzeni,
Tu głos słyszeć niezbożnych, tam nabożnych pieni;
Z daleka straż co chwila hasło głucho woła!

Jednemu tylko smutno — jego pieśń wesoła
Nie rozśmieszy, nabożna tęsknoty nie zmieni,
I błądzi między wrzawą, jak śród grobów cieni;
I smutek mu na chwilę nie ucieknie z czoła.

Pytałem o przyczynę — nic nie odrzekł na to,
Myśleć z drugim, samotnie czuć zawsze jest milej;
Może i on przyczyny nie wiedział w tej chwili.

Może płakał nad świeżą przyjaciela stratą?
Może się żegnał w sercu z rodzicielską chatą?
Nazajutrz — bitwa była — i jego zabili!

Stefan Garczyński.

Treny.

Tren X.

Urszulo moja wdzięczna! gdzieś mi się podziała?
W którą stronę, w którąś się krainę udała?
Czyś ty nad wszystkie nieba wysoko wzniesiona:
I tam w liczbę Aniołów małych policzona?
Czyliś do raju wzięta, czyliś na szczęśliwe
Wyspy zaprowadzona? czy cię przez tęskliwe
Charon jeziora wiezie? i napawa zdrojem
Niepomnym, że ty nie wiesz nic o płaczu moim?
Czy człowieka zrzuciwszy i myśli dziewicze,
Wzięłaś na się postawę i piórka słowicze?
Czyli się w czyścu czyścisz, jeśli z strony ciała
Jakakolwiek zmazeczka na tobie została?
Czyś po śmierci tam poszła, kędyś pierwej była,
Niżeś się na mą ciężką żałość urodziła?
Gdzieśkolwiek jest, jeśliś jest, lituj mej żałości,
A nie możeszli w onej dawnej swej całości,
Pociesz mię, jako możesz, a staw się przedemną.
Lubo snem, lubo cieniem, lub marą nikczemną.

Jan Kochanowski.

Spis rzeczy.

		Str.
	Przedmowa	IV
	I.	
1.	Z Glosy św. Teresy — Zygmunt Krasiński . .	1
2.	Westchnienie do Boga — Seweryn Goszczyński .	6
3.	W kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej — Bwan	7
4.	Mojżesz — Marya Konopnicka	8
5.	Wieczerza Pańska — Lucyan Rydel	9
6.	Chryste, o Chryste — Lucyan Rydel	10
7.	Hagar na puszczy — Kornel Ujejski	11
8.	Chrystus cudowny — Or-Ot (Artur Oppman) . .	13
	II.	
9.	Św. Jan Kanty — Ks. Karol Antoniewicz . . .	15
10.	Św. Jacek — Ks. Karol Antoniewicz	17
11.	Garnek popiołu — Ks. Ignacy Hołowiński . . .	20
12.	Święty Izydor — Franciszek Morawski	21
13.	Przejście Pańskie — Adam Pług (Ant. Pietkiewicz)	24
14.	Chleb — Adam Gorczyński	31
15.	Źródło św. Gangolfa — Antoni Edward Odyniec	34
16.	Brzoza Gryżyńska — Franciszek Morawski . . .	35
17.	Zachwycenie — Teofil Lenartowicz	38
18.	Wyroki — Teofil Lenartowicz	42
	III.	
19.	Piast — Julian Ursyn Niemcewicz	46
20.	U Piasta — *	49
21.	Leszek Biały — Julian Ursyn Niemcewicz . . .	52
22.	Kazimierz Wielki — Szczęsny Zahajkiewicz . .	55
23.	Duma o Samuelu Koreckim — Felicyan Faleński	57

Str.

24. Stefan Czarniecki — Wincenty Pol 60
25. A za tego króla Jana — Marya Konopnicka . . 61
26. O Kilińskim — Wincenty Pol 64
27. Pogrzeb Józefa Poniatowskiego — J. U. Niemcewicz 65
28. Śmierć pułkownika — Adam Mickiewicz . . . 68
29. Powrót z niewoli tatarskiej — Ign. Domachowski 69
30. Dawni rycerze — Adam Pajgert 70
31. Turczyk — Józef Borkowski 71
32. Giermek — Franciszek Morawski 73
33. Dziewczę polskie — Ludwik Jabłonowski . . . 78
34. Branka tatarska — Lucyan Siemieński 80

IV.

35. Pieśń o ziemi naszej — Wincenty Pol 82
36. Co milsze — Teofil Lenartowicz 83
37. Kościółek wiejski — Or-Ot 84
38. Nasz Jegomość — Kazimierz Laskowski (El) . . 85
39. Krzyże wioskowe — Wład. Syrokomla (Ludwik Kondratowicz) 87
40. W domu — J. S. Chamiec 90
41. Domek rodzinny — F. H. 91
42. Pieśń o domu — Marya Konopnicka 93
43. Nasza chata — Marya Konopnicka 94
44. Zagroda polska — Kazimierz Laskowski . . . 95
45. Rodzinnej ziemi — Ewan 96
46. Dziaduś — Marya Konopnicka 97
47. Nie chcę innego piękna — El. (Kazim. Laskowski) 98
48. Tęsknota za krajem — Konstanty Gaszyński . . 99
49. Błogosławieństwo polom — Jan Nep. Jaśkowski . 102
50. Po śmierci — Maryan Gawalewicz 104
51. Noc — Teofil Lenartowicz 105
52. Ptaszęta — Seweryna Duchińska 106
53. Do skowronka — Władysław Syrokomla . . . 106
54. Niewiast polskich serca święte — Or-Ot . . . 107
55. Z »Saksów« — Kazimierz Laskowski (El) . . . 109
56. Do swoich — Maciej Pakuła (Marya Konopnicka) 112
57. Garść ziemi — Aleksander Kraushar 114

Str.

58. Pożegnanie — Karol Hoffman 116
59. Powitanie — Karol Hoffman 116
60. Za chlebem — Jerzy Żuławski 117
61. Dla chleba — Michał Bałucki 118
62. Góral — C. M. O. 119

V.

63. Głód — Edward Słoński 121
64. Wiązka drzewa — Władysław Bełza 122
65. Sierota — * 123
66. Bez dachu — Marya Konopnicka 124
67. Przed sądem — Marya Konopnicka 127
68. Za służbą — Kornel Ujejski 130
69. »Na gody« — Marya Konopnicka 133
70. A jak poszedł... — Marya Konopnicka . . . 134
71. Gęsiarz — Kazimierz Gliński 135
72. Chłopskie serce — Marya Konopnicka 137
73. Zwierzyna — Władysław Syrokomla 139
74. Żebrak — Antoni Górecki 141

VI.

75. Do granicy — Marya Konopnicka 144
76. Grobowiec na granicach Syberyi — St. Garczyński 150
77. Zesłaniec — Henryk S. Kamieński 153
78. List z Sybiru — Or-Ot 155
79. Skarga Żmudzinów — Włodzimierz Wolski . . 158
80. Samarytanka — Franciszek Waligórski . . . 164
81. Pogrzeb Kościuszki — Kornel Ujejski 165
82. Reduta Ordona — Adam Mickiewicz 168
83. Nocleg — Adam Mickiewicz 171
84. Krzyżyk z Olszynki — Or-Ot 174
85. Smutno mi Boże — Juliusz Słowacki 176
86. Marsz pogrzebowy — Kornel Ujejski 177
87. Pocztylion — Władysław Syrokomla 181
88. Zdrajca — Stefan Garczyński 183
89. Śmierć zdrajcy ojczyzny — Antoni Górecki . . 187
90. Alpuhara — Adam Mickiewicz 191
91. Zapóźno. (Ballada jakich wiele) — J. N. Jaśkowski 193

Str.

92. Powitanie — Jan Nep. Jaśkowski 198
93. Powrót taty — Adam Mickiewicz 201
94. Wesele — Antoni Edward Odyniec 204
95. Lubor — Bohdan Zaleski 209
96. Pielgrzym — Bohdan Zaleski 212
97. Policzek — Jan Nep. Jaśkowski 213
98. Kmotr królewski — Leon Rygier 216
99. Śpiewak-zwycięzca — Or-Ot 219
100. Wzgórek pożegnania — Bohdan Zaleski . . . 221
101. Grabarz — Władysław Syrokomla 224
102. Piorun — Antoni Edward Odyniec 227
103. Król dębów — tłum. Antoni Edward Odyniec 229

VII.

104. Hasło — Ewan 231
105. Oda do młodości — Adam Mickiewicz . . . 231
106. Resurrecturis — Zygmunt Krasiński 234
107. Testament mój — Juliusz Słowacki 237
108. Fantazya — Narcyza Żmichowska 238
109. Kobiecie — Władysław Bełza 241
110. Do młodej Polki — Władysław Bełza . . . 242
111. Sztandar — Władysław Bełza 243
112. Nasz sztandar — Marya Konopnicka . . . 245
113. Do młodych — Adam Asnyk 246
114. Młodości moja — Kornel Ujejski 247
115. Toast — Kornel Ujejski 248
116. Hymn orłów — Edmund Wasilewski . . . 249
117. Kto silniejszy — Bolesław Czerwieński . . . 250
118. Pieśń na dzisiaj — Józef Kościelski 252
119. Przy kowadle — Władysław Ordon 254
120. Słonko — Adam Asnyk 255
121. Pan Jezus chodzi po świecie... — Adam Asnyk 256
122. Dalej skrzypki grajcie — Edmund Wasilewski 257
123. Przeminie — Ks. Karol Antoniewicz 259
124. Dobre rady — Wincenty Pol 260
125. Dzień święty — Jan Kochanowski 261
126. Z dobrych rad — Ignacy Baliński 262
127. Wątpliwości — Adam Asnyk (El..y) 262

Str.

VIII.

128. Pani Twardowska — Adam Mickiewicz . . . 264
129. Golono, strzyżono — Adam Mickiewicz . . . 269
130. Trzech Budrysów — Adam Mickiewicz . . . 272
131. Trzy Budryski — Franciszek Konarski . . . 274
132. Dziad i baba — Józef Ignacy Kraszewski . . 277
133. Przy łuczywie — Franciszek Waligórski . . 279
134. O Baśce, co jej krowę zajęli — T. Lenartowicz 281
135. Z notatnika — Kazimierz Laskowski 283
136. Rozmowa Michała — Stefan Witwicki . . . 285
137. Sen szlachcica — Włodzimierz Wysocki . . 289
138. Szewc Onufer — Or-Ot 291
139. Szewczyk na wysłudze — Ignacy Danielewski 295
140. Rozmowa pijaka z księżycem — Włodz. Zagórski 296
141. Z chaty górniczej — * 298
142. Idzie bieda — A. N. 299
143. Święta — El. (Kazimierz Laskowski) . . . 299
144. »Baba« — El. (Kazimierz Laskowski) . . . 301
145. A to mi się zdarzyło — M. Rodoć (M. Biernacki) 303
146. Rozmowa — * 305
147. Ja nie mogę deklamować — * 308
148. Straszny sen — * 309
149. Przykry sen — * 311

IX.

150. Wybór żony — Franciszek Morawski . . . 314
151. Utoniona — Franciszek Morawski 315
152. Beduin i wąż — Lucyan Siemieński 316
153. Czapla, ryby i rak — Ignacy Krasicki . . . 318
154. Osiełek przebierający — Aleksander Fredro . 319
155. Osieł szlachcicem — Franciszek Morawski . . 320
156. Szczep winny — Ignacy Krasicki 321
157. Gęsi — Franciszek Morawski 321
158. Wyżeł i pszczoły — Franciszek Morawski . . 322
159. Kozieł i wilk — Henryk Sienkiewicz . . . 323
160. Papuga i wróbel — Konstanty Gaszyński . . 324

X.

161. Pan Tadeusz: Wstęp — Adam Mickiewicz 328

Str.

162. Powieść o Domejce i Dowejce 329
163. Koncert nad koncertami 332
Konrad Wallenrod: Adam Mickiewicz
164. Pieśń Wajdeloty 336
165. Trybunał tajemny 338
166. Wykonanie wyroku 341
Ojciec zadżumionych: Juliusz Słowacki
167. Śmierć ostatniego dziecka i matki 343
Marya: Antoni Malczewski
168. Śmierć Miecznika 347
Podole: Maurycy Gosławski
169. Napad tatarski 349
Wiesław: Kazimierz Brodziński
170. Wesele 353
Margier: Władysław Syrokomla
171. Śmierć Łutasa 357
W tym roku: Kazimierz Laskowski
172. Pod Lipskiem 360
Pan Balcer w Brazylii: M. Konopnicka
173. List Jana Grudy do rodziców 365
174. Ziemio ty nasza 368
175. W kościele 372
Pieśń o domu naszym: Wincenty Pol
176. Wszystko człowiek zdobyć musi 374
Pieśń o ziemi naszej. Wincenty Pol
177. Nasz lud 377
178. W polskim domu 380
Racławice: Teofil Lenartowicz
179. Niewidomy przewodnik 384
180. Loterya — Władysław Orlon 390
Sonety wojenne: Stefan Garczyński
181. Natarcie konnicy na konnicę 393
182. Posterunek na stracenie 393
183. Ostatni kanonier 394
184. Przeczucie śmierci 394
185. Treny (X.) — Jan Kochanowski 395

Znaczniejsze omyłki druku.

Str. 7 w. 14 *ma być* sklepienie, *zam.* sklepienie.
„ 9 „ 12 „ „ ciszy „ ciszej
„ 29 „ 14 „ „ szczupłym „ szczupłem
„ 89 „ 13 „ „ stawiamy „ sławimy
„ 96 „ 1 „ „ chaty „ chwaty
„ 117 „ 15 „ „ ojczysta „ ojczysto
„ 132 „ 18 „ „ gminu „ gminnu
„ 156 między 14 a 15 wierszem opuszczono jeden wiersz; ma być:

Że pomiędzy tem wszystkiem, co mnie tu otacza,
I *mną — jest dusza moja, która przeinacza*
Rzeczywistość — i sprawia, że złudzony snami...

„ 157 między 17 a 18 w. opuszczono jeden wiersz: ma być:

Staś kłusuje na krześle z pałasikiem w ręku.
Ty, mamo, jak to zwykle, szyjesz przy okienku,
A w kącie ja i Zosia gwarzymy oboje. —

„ 174 w. 13 *ma być* oprawny *zam.* oprawiony
„ 193 „ 10 „ „ uściśnieniem *zam.* uśmiechem
„ 212 „ 17 „ „ nory *zam.* nocy.

3000 -

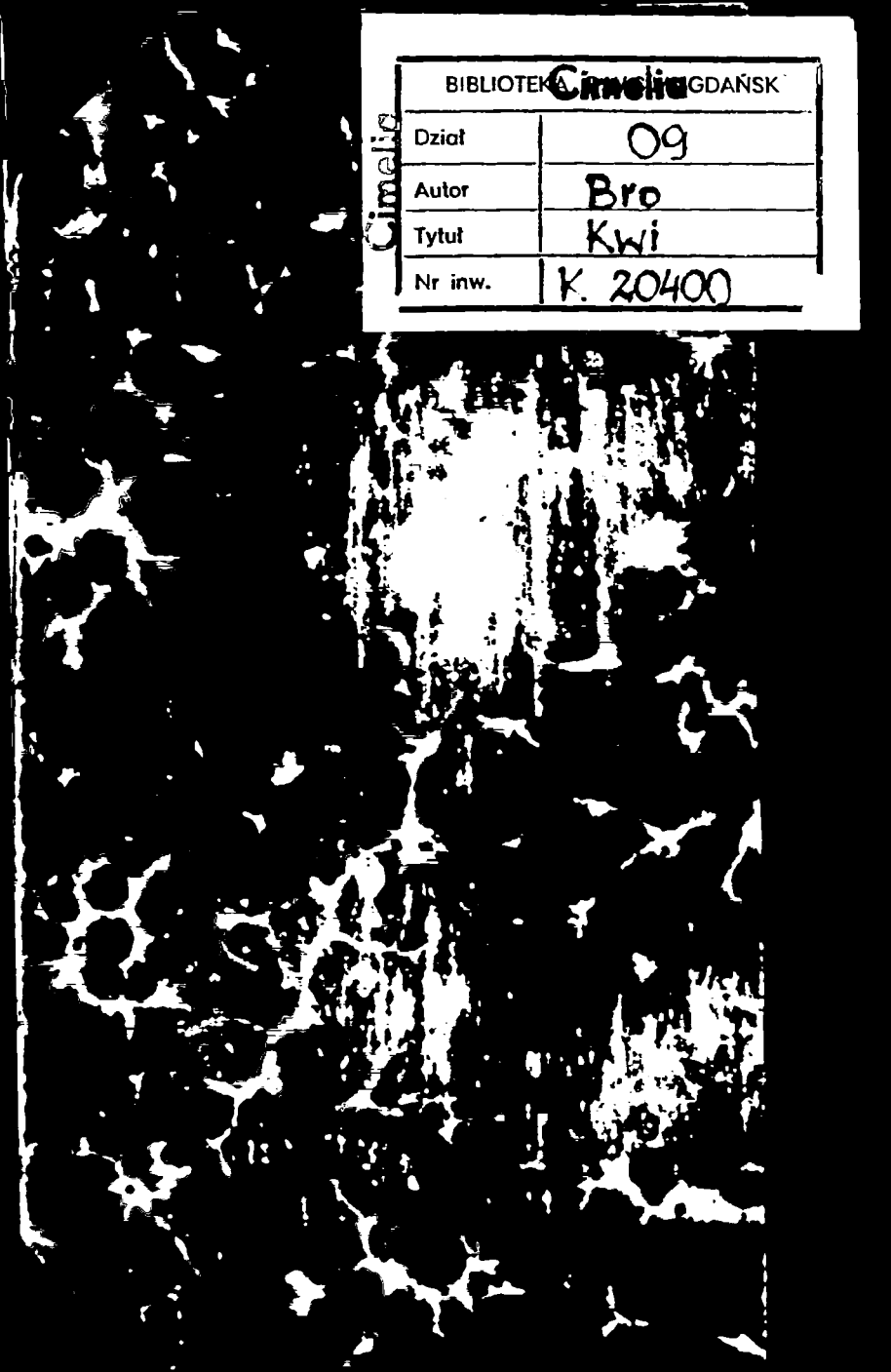
BIBLIOTEKA GDAŃSK
Dział 09
Autor Bro
Tytuł Kwi
Nr inw. K. 20400
Cimelia